



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

POSZUKIWANIA

Nr 3 (84) Zielona Góra 2023 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

W numerze wykorzystano prace artystyczne uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze: Aleksandra Białogłowy, Alicja Dżumyło, Maja Hawrylczak, Julia Kowalska, Adrian Lewkowicz, Hanna Łotocka, Julia Piotrowiak, Wiktoria Słomka, Pamela Woźniak, Małgorzata Żmuda

Copyright by

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2023

Redakcja

Andrzej Buck (redaktor naczelny), Ewa Mielczarek (sekretarz redakcji), Mirosława Szott, Joanna Wawryk, Adrian Lokś (redakcja techniczna strony internetowej prolibris.net.pl)

Stale współpracują

Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak

Fotografie

Archiwum Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze, archiwum WiMBP im. Cypriana Norwida, Anna Polak, Katarzyna Poryszko

Wydawca

Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru

Danuta Morawska

Druk i oprawa

GRAF MEDIA

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji

WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl www.wimbp.zgora.pl www.prolibris.net.pl

Publikacja współfinansowana ze środków Miasta Zielona Góra



Od redakcji

Żyjemy w świecie kultu młodości. Kojarzy się nam ona z tym, co najbardziej pożądane – ze zdrowiem, urodą, sukcesem, witalnością. Jest też jednym z ważniejszych etapów w życiu człowieka. To wówczas kształtuje się charakter, psychika, rodzą się zamiłowania. To także czas nauki, nie tylko instytucjonalnej, ale także proces odkrywania siebie i rozpoznawania, jaki jest świat, jakimi prawami się rządzi. Często poznawaniu otaczającej rzeczywistości towarzyszy odkrywanie własnych pasji, predyspozycji, które bywają zabawą, chwilową fascynacją, często zaś są zapowiedzią przyszłej życiowej drogi.

Redakcja „Pro Libris” od początku istnienia ma szczęście współpracować z młodymi twórcami. Niektórzy z nich, wraz z Pismem, nabrali dojrzałości twórczej (m.in. Krzysztof Koziółek, Mirosława Szott, Przemysław Grzesiński, Andrzej Kotin, Karol Graczyk, Marcin Mielcarek, Konrad Krakowiak). Jedni są z nami do dziś, inni poszli swoją drogą. Są też tacy, którzy debiutując w naszym kwartalniku, zajęli się profesjonalną działalnością krytycznoliteracką, by dzisiaj współtworzyć z nami „Pro Libris”.

Numer POSZUKIWANIA tworzą ludzie młodzi, także bardzo młodzi, począwszy od uczennicy szkoły podstawowej, poprzez licealistów, studentów, a skończywszy na badaczach literatury czy osobach już pracujących, a parających się pisaniem. Zgodnie z założeniem redakcyjnym tym razem publikujemy teksty twórców, którzy bądź to dopiero wkraczają w świat literatury, bądź też mają osiągnięcia, które warto promować i upowszechniać.

Do współpracy zaprosiliśmy znanego w kraju poetę, krytyka i animatora kultury Rafała Gawina, który w szkicu *Wraca temat, ironia się tępi* omawia najnowsze trendy w polskiej poezji. Mirosława Szott natomiast przygląda się autorkom i autorom

z regionu lubuskiego, wskazując na ważne zjawiska w ich tworzeniu, także na aktywność literacką młodych. Z kolei Joanna Wawryk dokonała przeglądu dorobku wydawniczego środowiska studentów Uniwersytetu Zielonogórskiego. Wśród autorów znajdują się poeci i prozaicy wyłonieni w regionalnych i ogólnopolskich konkursach, w tym w Konkursie na Debiut „Pro Libris”. Prace Patrycji Mierzejewskiej, Barbary Wauben-Czekalskiej, Ewy Franków, Barbary Czyżewskiej, Emilii Ćwik i Anny Cichej, najwyższej ocenione przez jurorów wspomnianego Konkursu, publikujemy w numerze. Łamy Pisma wypełniają ponadto utwory poetyckie Julii Kruszakin i Zofii Ścigaj, które znakomicie zaprezentowały się podczas finału 53. edycji Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Są także z nami młodzi autorzy, którzy kilkakrotnie publikowali w „Pro Libris”, a których rozwój obserwujemy z życzliwością i z podziwem: Marcin Mielcarek, Dorota Grzesiak, Julia Gwóźdź, Piotr Gulewski, Natalia Haczek, Joanna Nawlicka, Weronika Nawrocka, Joanna Marcinkowska i in. Warto ponadto sięgnąć do działu RECENZJE I OMÓWIENIA, w którym m.in. ocenie została poddana książka Jolanty Fainstein, debiutującej dramaturżki. Z kolei wytrawni krytycy starszego pokolenia – Czesław Sobkowiak i Robert Rudiak – zrecenzowali tym razem twórczość młodych autorek – Darii Walusiak i Joanny Marcinkowskiej.

Aby idee przewodniej tego numeru stało się zaśadość, do współpracy zaproszeni zostali uczniowie Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze, których rysunki, obrazy i rzeźby zapewniły oprawę graficzną numeru.

Nie wszyscy twórcy zostali wymienieni z nazwiska, ale wszyscy stanowią nasz potencjał, który – mamy nadzieję – również Państwo docenią.

Spis treści

Rafał Gawin , Wraca temat, ironia się tępi. O najmłodszej poezji.	6
Patrycja Mierzejewska , Wiersze [Na urlopie nie stroniłam od gramatyki, Książki miewają poważne braki, Humanitarne narzędzie do uśmiercania węgorki, Bezokoliczniki ratują życie, podobno]	11
Mirośława Szott , Młodzi Zielonej Góry i okolic – dwadzieścia jeden nazwisk i kilka refleksji ogólnych	15
Barbara Wauben-Czekalska , Drenthe dla Ukrainy	18
Ewa Franków , Wiersze [Prośba, Zamieniłam twoje słowa w poezję]	19
Barbara Czyżewska , Wiara i ufność	21
Emilia Ćwik , Wiersze [Chciałam, Pion].	24
Anna Cicha , Czech, Rus i Lech, czyli opowieść o trudnej wyprawie i miłości braterskiej	26
Joanna Wawryk Publikacje zbiorowe studentów dziennikarstwa i komunikacji społecznej Uniwersytetu Zielonogórskiego	28
Weronika Lenart , Droga odkupienia	33
Zofia Ścigaj , Piosenki [Noc nad Rodanem, Samotni ludzie, Abstrakcja, Atawizm]	42
Anna Błaszczak , Zbrodnia, ale kary dziś nie będzie	46
Natalia Haczek , Wiersze [Fotografia, Świeża strawa, Jeśli]	53
Monika Gryglewska , For a better life, Huragan, Okno	56
Julia Gwóźdź , Wiersze [depersonalizac-, manifest, próby]	59
Dorota Grzesiak , Drzewo	62
Michał Kaczmarek , Wiersze [Najpopularniejszy, Zimowy spacer, Okno, Pamięć po wuju Jerzym]	66
Piotr Gulewski , Deformator	70
Paulina Sacharczuk , Wiersze [wargi, dwadzieścia tysięcy oddechów mniej]	73
Joanna Kuczak , Rycerz i Bestia	75
Julia Kruszakin , Wiersze [chwila przed północą, wieczór w pustkach, pod sklepieniem drzew, preludium świtu]	77
Szczepan Macholak , Kino	81
Adrian Lokś , Wiersze [Karolina, Grünberg, Gwieździsta noc]	84
Konrad Pruszyński , Akcja Hiacynt (fragment dramatu)	87
Iza Smolarek , Wiersze [Nic, Najdłuższa noc, Ű, Dromadery]	93
Daria Walusiak , Po prostu idealnie	97
Bartosz Konopnicki , Wiersze [Niepewność, Z dnia na dzień, Czysta fizyka, Wejście wyjście]	101
Marcin Mielcarek , Julia	105
Marcin Lenartowicz , Wiersze [Tuż przed, Koi no Yokan]	110
Mateusz Walusiak , Uwięzieni	112
Liwia Galek , Niewi(a)doma	114

ZBLIŻENIA

Małgorzata Mikołajczak , 29. Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii poezja dla Michała Banaszaka (laudacja).	117
Karolina Paramonczyk , Kozzi Film Festiwal 2023 oczyma licealistów	119

VARIA

Weronika Nawrocka , Klasyczna literatura rosyjska a współcześni czytelnicy	122
---	-----

KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Anna Polak , Walory krajoznawcze Doliny Lubszy od Lubska do Gębic. Część II	125
--	-----

PREZENTACJE

Przegląd twórczości uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze	131
--	-----

RECENZJE I OMÓWIENIA

My, dzieci bloków	
Jolanta Fainstein, <i>mama ma szorstkie ręce</i> (Joanna Marcinkowska)	133
Przypomnij zapomniane	
Judith Schallansky, <i>Spis paru strat</i> (Weronika Nawrocka)	135
Szkoła od wewnątrz, czyli słów kilka o <i>Dzwonku na przerwę</i> Darii Walusiak	
Daria Walusiak, <i>Dzwonek na przerwę</i> (Robert Rudiak)	136
Filozof na czterech nogach	
Aleksandra Kurzawa, <i>Przypadki pewnego konia</i> (Natalia Szatkowska-Dyjas)	138
Piękna i groźna	
Mateusz Pojnar, <i>Rzeka ma zawsze rację. Nowa Sól i powódź 1997</i> (Aleksandra Bedka)	140
Przemijanie	
Paulina Korzeniewska, <i>Mniej</i> (Gabriela Matkowska)	142
Kobieca (powojenna) Polska	
Barbara Wysoczańska, <i>Siła kobiet</i> (Joanna Nawlicka)	143
Przyzwotym być, ale jeszcze nie dziś	
Maurycy Dudek, <i>Przyzwoci ludzie</i> (Anna Błaszczak)	145
Życie stawia ultimatum	
Joanna Marcinkowska, <i>Przemilczenia</i> (Czesław Sobkowiak)	147

KSIĄŻKI NADESŁANE	149
--------------------------------	-----

AUTORZY NUMERU	150
-----------------------------	-----

Wraca temat, ironia się tępi O najmłodszej poezji

Chodziłem o chlebie i wodzie, dlatego wiem,
jak to jest stąpać po kruchym lodzie.

Piotr Gajda, *Sto takich samych państw*

To się zadziało punktowo, lub odcinkowo, w co najmniej kilkunastu miejscach jednocześnie, dlatego nie mogę precyzyjnie określić, kiedy nastąpił przełom i kto jest za niego odpowiedzialny. Temat wrócił do poezji polskiej niczym koń na białym rycerzu, gotowy, żeby dobić zmierzający antropocen, jęczący, zwłaszcza w socialach, dziadocen, a także raz na zawsze rozprawić się ze zbyt schematycznie narzucaną tożsamością. Możliwe, że wpływ miały wydarzenia ostateczne, których jednak dla najmłodszych roczników (późniejszych dziewięćdziesiątych i wczesnych zerowych) nie stanowią pandemia i wojna, a zmagania z własną tożsamością w zmierzchowym etapie kapitalizmu, zmiany klimatyczne, depresja wynikająca ze świadomości, że – parafrazując świadków Jehowy – jest później, niż nam się wydaje.

Już nikt raczej, za Andrzejem Sosnowskim, nie krzyknie: gdybym chciał coś przekazać, poszedłbym na pocztę! Poczta tradycyjna działa coraz gorzej, poetycka wysyła coraz precyzyjniejsze komunikaty. Oczywiście jako istotny fundament jawi się tutaj tak zwana poezja zaangażowana. Według niektórych krytyków (Paweł Kaczmarek) nie tyle wyciszona, co w rozpoznaniach, recenzjach i szkicach niepodnoszona z racji jej oczywistości, w myśl hasła: każda poezja jest zaangażowana.

Ale nie każda w charakterystyczny, ultralewicowy, prospołeczny i antykapitalistyczny sposób. Nie każda autorka inspirowana anarchoindykalizmem Szczepana Kopyta, anarchistyczną gawędą Konrada Góry czy sprawozdawczą precyzją prawną Kiri Pietrek. Niemniej to wciąż nośna linia, niekoniecznie twórczo przetwarzana. Andrzej Woźniak czy Misza Sagi wręcz czerpią garściami ze sprawdzonych konceptów „wiersza rewolucyjnego, który nie musi nic zmieniać”; w systemie, najczęściej, „prawie 4K”: kapitalizm, klimat, komunizm i wkurw. Ten pierwszy, w *Aikido* (2022), upodobał sobie społeczno-polityczne tło, nadużywając długich mott. Ten drugi, natomiast, w *Doomer wave* (2023), narkotyczną jazdę – wyzyskując flow na miarę wspomnianego Kopyta i quasi-stonerową jazdę bez trzymanki, bliższą jednak Harlenderowi (*Nielegalne kopie*, 2022) niż, ostatnio skonkretyzowanemu i skupionemu na szczególe, Patrykowi Kosendzie. Rozprawia się ze schyłkową fazą kapitalizmu raczej po sprawdzonych i wielokrotnie wyzyskiwanych ścieżkach. Tymczasem ten ostatni, zwłaszcza w *Największym na świecie drewnianym coasterze* (2021), rozkłada kapitalizm na łopatki i inne drewniane części nie tylko memicznie i oznaczając najbardziej jego cringe'owe obszary, ale też konstruktywną krytyką z pozycji zaangażowanego papierowo i ekranowo proteśniącego i antygrechciarza.

Młodsze roczniki nie muszą dla siebie definiować pojęć, ta praktyka wiązała się z wchodzeniem do literackiego obiegu zaraz po '89 roku. Najmłodsi, posługując się tymi pojęciami, lub je odrzucając, często

z premedytacją, definiują swoją tożsamość. I niezależnie od zastosowanej kreacji w tym jednym punkcie osoba autorska i podmiot najczęściej stanowią jedność.

Ironia postrzegana jest jako narzędzie opresji, kojarzonej choćby z „Brulionem” (czytaj: patriarchatem). A jeżeli już się pojawia w wierszu, jego ostrze kierowane jest autodestrukcyjnie we własną istotę. Chyba tylko Tomasz Bąk ufa mu, niebezgranicznie, okraszając wiersze prozy i eseje (Fiszki, 2023) wiecznym podawaniem w wątpliwość: coraz rzadziej na bazie gier językowych, coraz częściej – tych trwalszych i dotkliwych, znaczeniowych. Choć w tym kontekście *Bailout* (2019) jawi się już jak postironiczny traktat o upadku w wszystkiego, w tym, niczym w *Jokerze*, poczucia humoru.

Jan Baron również nie wycofuje się z prześmiewczych postulatów, ale sięga po nie w duchu refleksyjnego minimalizmu. *Psińco* (2020) stanowi wręcz modelowe odwzorowanie takiego podejścia. I, oczywiście, autor-laureat Kościelskich nie ucieka od tematu (wbrew pozorom i tytułowi – nie tylko śląskiemu), temat go wręcz prowadzi i wyznacza mu granice wiersza.

Miłość nigdy z wierszy nie zniknie, ale jej rola, funkcja ewoluuje chyba najszybciej. Najbardziej w stronę – tak właśnie! – tożsamościową. Rewolucja jako siostra miłości raczej została wygaszona. Prawdopodobnie jedynie Kamila Janiak, z istotnych propozycji ostatnich lat, wyznaje miłość konwencjonalnie, nawet jeśli ta staje się motorem napędowym wydarzeń wręcz tragicznych (Miłość, 2022).

U Rosińskiego, gdzieś w tle rozważań o naturze związku, majaczy, charakterystyczna dla roczników z dwójką z przodu, ale wciąż jeszcze niedoreprezentowana w najnowszej poezji polskiej (dajmy jej kilka lat!), depresja klimatyczna. Efekt schyłku cywilizacji, najambitniej chyba zasygnalizowany przez Bąka w *XXI nagim wodniku w śródmieściu* (2021). Wpisałbym w analogiczną orbitę dwóch debiutujących w tym roku Szymonów: Domańskiego i Kowalskiego – ale ich książki (odpowiednio: *Daj mi ten sandbox* i *Konopeum*) dopiero się ukazują. Mogę jedynie Państwa do nich odesłać. Biorąc pod uwagę dynamikę przemian, tak będzie wyglądać poezja w Polsce już pewnie za kilka lat.

Katarzyna Fetlińska w *Nie ma nic o piłce nożnej* (2022) normalizuje związek między kobietami, pokazując go jako najbardziej oczywisty pod słońcem i księżycem. Brakuje takich odwzorowań poetyckich; proza, jakby, radzi sobie tutaj sprawniej. A gdy jeszcze dodamy subtelną, nienaruszającą się formę klasycyzującą (te niedokładne rymy, których przy mniej krytycznej lekturze można w ogóle nie zauważyć!), dostajemy niemalże klasyczną rozprawę o dolach i niedolach w obliczu pierwszych oznak starzenia.

A Laura Osińska w *Zmysł[/]zmysł* (2021) po prostu zawiera swoje wiersze miłości jako konstruktywnej sile. To do tej pory najsilniejsze z poetyckich wcieleń Anny Adamowicz, której dotychczasowe książki poetyckie to chyba najbardziej kompleksowy przegląd tematyczny w polskiej poezji najnowszej: od historycznych rozwiązań (głód w Ukrainie, łajka w kosmosie), po posthumanistyczne no future (*Nebula*, 2020).

Problemem pozostaje tożsamość, niemierzalna dwudziestowiecznymi kategoriami-matkami. Płeć, orientacja, światopogląd czy nawet środowiskowa przynależność (nie do pomyślenia jeszcze dla roczników siedemdziesiątych i wielu osiemdziesiątych) mają charakter nieostry, płynny. Łukasz Kaźmierczak/Łucja Kuttig, Ada Rączka, Marta Stachniątek, Anouk Herman... i możemy wymieniać. Herman w *Right into pod tramwaj* (2022) zмага się z narzuconą binarnością i związanymi z nią schematami. Rączka w *Chciałobyśmy* (2022), mantrując i powtarzając czasowniki niczym zaklęcia, szuka złotego środka języka, który nie wyklucza nie tylko znaczeń. Stachniątek, w toku poetyckiej narracji *Polskiego wrapa* (2021), zmienia podmiot na męski, jakby sygnalizując, że w tak ustawionym świecie obyczajowych i tożsamościowych konserw w ten sposób „uniwersalnie” może opowiedzieć o kobieco-kobiecy doświadczeniu. Stanisław Kalina Jaglarz w debiutanckich *Sójkach* (2022) oddaje rzecz mniej deklaratywnie. Kwestie tożsamościowe rozgrywane są na poziomie obrazów przyrodniczych i wędrówek ptaków, bardziej przejmujących niż u Damiana Kowala, autora wręcz topiącego się w ptasich trelach, nie tylko ze względu na inklinację muzyczne w *Ostatnich przebojach Tristan la Cunha* (2016).

Kaźmierczak/Kuttig to, znowu, projekt totalny. Na styku nauk humanistycznych i ścisłych, na nieoznaczonym odcinku, który w polskiej myśli XXI-wiecznej dopiero zaczyna istnieć. *Kokosty* (2018) szukały miejsca na osi płynności płci, korzystając z próz poetyckich, zawieszonych między ostro definiowanymi rodzajami literackimi. *Agresty* (2019) rozwijały te wątki, nicując kolejne recepty językowe na łatwe, więc zwodnicze samoodokreślenie. *Orzechnia* (2021) otarła się o nową naukę, postulującą zbadanie stanu nadpłynnego: tożsamość to proces, zdecydowanie niekoniecznie punktowy, na poziomie najbardziej hermetycznych wierszy analityczno-afektywnych. Ale dopiero w tym roku zadebiutuje najmocniej odrzucająca system binarny osoba poetycka i podmiocie liryczne (prawie) w jednym: Łęko ZygmuntoŹne. Zresztą płynność zawędruje tu również do warstwy tekstowej – wiersze i inne formy poetyckie jawnie i z premedytacją wchodzą w związki z ilustracjami, a osoba malarska wpływa na kształt i rozmieszczenie tekstów. *Hiobby* (2023) powinny się okazać kijem włożonym w mrowisko robotnic-krytyczek nastawionych na łatwe, słuszne i nośne rozpoznania genderowo-queerowo-feministyczne.

Oczywiście, takie rzeczy jak ekfrazowość i synkretyzm występowały od lat, nawet w Polsce, jednak dopiero ostatnio obserwujemy wzmożoną aktywność na styku sztuk, pojawia się coraz więcej hybryd gatunkowych. Grzegorz Wróblewski nie jest już samotnym astronautą w wieloskładnikowej atmosferze. Ciężko wyobrazić sobie książki Joanny Mueller bez ilustracji Joanny Łańcuckiej, jak w przypadku *Hista & her sista* (2021). Natalia Malek tak silnie oddziałuje plastycznie (kwestie językowe celowo pomijam, ponieważ rozwijają się miarowo i naturalnie, poza tematem tego tekstu), że w *Obręczach* (2022) obrazy Basi Bańdy są wręcz koniecznym rozwinięciem wierszy, a wiersze – obrazów.

A pochodzenie versus „status” wiersza? Tak zwana tożsamościówka, jak chce krytycznoliteracka młodzież? Katarzyna Szweda za *Bosorkę* (2021) otrzymała tu nie lada cięgi. Których oszczędzono Antoninie Tosiek za *Storytelling* (2021). A to przecież ten sam temat ponownego grzebania przodków przy wykorzystaniu podobnych narzędzi. Tyle że Szweda nie udaje tutaj wnikliwej badaczki, pozostaje empatyczną obserwatką. Tosiek, natomiast, przeprowadza wiwisekcję na poziomie formy, jakby przedstawiając wyniki wieloletnich działań naukowych.

Gdzieś na stykach tożsamości, ego i wiwisekcji *ja* zmieści się Jarosław Dudycz. Jego *Czarna skrzynka* (2020) to swoiste opowieści-monologi, pewna i silna pespektywa podmiotu wręcz retorycznego, który nie dał się usidlić na usługach teorii i ideologii: zatrzymał się na etapie samonapędzających się i ustanawiających jako wiersze anegdot i dygresji. Mówi coś, co samo by się nie mówiło.

Zmierch antropocenu ukazywany bywa z perspektywy futurologicznej czy – jak twierdzą złośliwi – sci-fi, z czasów posthumanistycznych. Radosław Jurczak w *Zakładach holenderskich* (2020) konstruuje podmiot pozaludzki, by opowiadać o tym, co zostało po człowieku w przestrzeni kosmicznej. Zostało niewiele, ale autor wcześniej, nomen omen, *Pamięci zewnętrznej*, robi to w sposób kunsztowny i śpiewny. Ta książka powinna się zachować jedynie na dysku przenośnym. Rojewski w *Ocalałych 2030* (2022) szuka mostu między zmierzchem antropocenu a kreacją Jurczaka. Znajduje go, umownie, w okolicach tytułowego roku. Opowiada, nie zatrzymując się, a trzymając w ryzach prozodycznych, o tym, jak świat jego bohatera rozpada się mimo rozpadu świata. Stroniąc od radykalizmów i polityczności, nie unika ich pułapek: w końcu to nie futurolog, a wieszcz.

Odmianą strategię opiewania upadku, śmierci i zniszczenia połączeń cywilizacyjnych, ale i nerwowych, kultywuje Anna Matysiak. Jakby szukając przyczyn obecnego stanu (a raczej płynności) rzeczy w historii, która bezustannie powtarza się i przetwarza (*Na setkach wioseł*, 2021), albo w osobistych tragediach małych, lecz istotnych śmierci spoza historii człowieka (*Komandor Rattus*, 2022). Tylko czy, niczym w serialu *Dark*, nie jesteśmy świadkami ostatniego obrotu koła rzeczywistości?

Pandemia nie odcisnęła tak silnego piętna, jak można się było spodziewać. Jeśli już, pojawia się w pojedynczych wierszach, zaprzęgniętych w pracę na innych odcinkach walki o byt (nie warto poświęcać im

więcej uwagi). Najprędzej działa jako historia choroby. Najpiękniej i najstraszniej u Pauliny Pidzik. *Miejsca ich jesiony* (2022) to chyba najuczciwszy i najbardziej przejmujący opis doświadczenia pandemii przez pryzmat COVID-19. Temat, w oderwaniu od ostatnich lockdownów, podejmują choćby Justyna Kulikowska, zwłaszcza w *Tabs* (2020), i Karolina Kapusta w debiutanckiej *Fuzji bordo* (2023) i Tytania Skrzydło. Od czasu „halopopierdolu” Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego wiele się zmieniło. Zniknął nośny cynizm, pojawiła się praca nad sobą podmiotek lirycznych z konkretnie działającymi lekami, nazywanymi w wierszach po imieniu. Ta ostatnia, natomiast, której wiersze traktują o fizyczności z perspektywy skończoności i niedoskonałości ciała, zadebiutuje dopiero w przyszłym roku pod prawdziwym imieniem i nazwiskiem.

A rosyjska inwazja na Ukrainę? Aneta Kamińska rozwiązała kwestie ewentualnych roszczeń terytorialnych *Pokojem z widokiem na wojnę* (2023), gdzie – skrupulatnie, ze swadą czułej i precyzyjnej kronikarki – portretuje makabrę i okrucieństwo z punktu widzenia konkretnych jednostek. To bardzo niemodne, archaiczne wręcz podejście, które zdecydowanie się sprawdza w obliczu kataklizmów, ufundowane – a jakże! – na zgłiszczach poezji zaangażowanej. Wątek porusza w zamknięciu premierowego *Halalu* (2022) również Ivan Davidenko; ale to w jego przypadku raczej punkt wyjścia do następnej, dotkliwie wojennej książki.

Wyróżniłbym jeszcze koncepty osobne. Agatę Ludwikowską i jej wspinaczkowy, korzystający ze specjalistycznego żargonu, *Granit* (2021). Agnieszkę Tarnowską i koncept bezdomnościowy w *Uliczance* (2021). Polebdowe zmagania z figurami ojca lub matki w wykonaniu Moniki Gromali (*Matka jest*, 2021) i Michała Szymaniaka (*Dziury w policzkach*, 2018). Niezależnie od konfesyjnego podglebia, niezależnie od życiopisania, które nie umiera w świetle kolejnych mód i krytycznoliterackich prób nowego zaszufładowania starych problemów. Oczywiście, zgadzam się z Jerzym Jarniewiczem: jeśli w wierszach występuje pierwsza osoba liczby pojedynczej, nie dość, że nie chodzi o autora, to również *ja* z jednego tekstu nie jest tożsame z *ja* z innego. Multiplikacja i palimpsest *ja* składają się na indywidualną metaopowieść, gdzie autor jedynie programuje tematy i rozkłada afektywne akcenty, o ile wyrósł już z szarad językowych na rzecz formy bez znaczeniowego dna.

Gdzieś tam tli się poezja miejsca, po jawnie łódzkich poematach Przemysława Owczarka (*Cyklist*) i Macieja Roberta (*Nautilus i Demologos*): *Za lasem*/ Michała Domagalskiego (2021) to oryginalna, hybrydalna synteza tego, co pomiędzy wsią a miastem, próba zapisu przestrzeni, której nie da się oswoić nawet jako największej metropolitarnej sypialni bez kościoła. Łukasz Barys, tymczasem, oswaja wieś. *Wysokie słońca* (2020) mylnie linkują do Rafała Wojaczka, to raczej eskapizm podmiotu, który pragnie nieskrępowanej miejskimi konwenansami przestrzeni, przygód przyrody, nawet jeśli sprowadzonych wyłącznie do krótkich, bezbolesnych epifanii (nie mylić z prozą laureata Paszportu Polityki).

Przestrzeń dziania się wiersza interwencyjnego ma, zdaje się, ustaloną Jakub Pszoniak. „Bytom określa świadomość” podmiotu, który w *Chyba na pewno* (2019) trzyma się kurczowo, ale ze świadomością jej złożoności i wszelkich pęknięć na obliczu, śląskości jako punktu wyjścia do działania i niebezpiecznej przystani przed dalszymi wędrówkami, uprawianymi ochoczo w *Lorem ipsum* (2022), zestawie wierszy zaangażowanych w bieżącą w starym stylu, z uwzględnieniem rozmaitych katastrof i wypadków okołokapitalistycznych, kryzysu graniczno-uchodźczego i mylenia rzeczywistości z dzikiem.

Michał Muszalik, natomiast, w *Hotelu Globo* (2021), prowadzi swoistą wiwisekcję śląskości, jej rewizję z uwzględnieniem polskiej racji stanu. Osobliwa to postawa, która przy autonomii treści postuluje integralność ogólnopolskiej formy. To, zresztą, jedna z nielicznych udanych podróży w przeszłość: modernizm, klasycyzowanie i ponadczasowe korzenie jakiegokolwiek twórczości. Poezja podróżnicza, nie tylko w tym retrospektywnym ujęciu, bardzo podupadła. Jeszcze może tylko Tomaszowi Fijałkowskiemu w *Stronie biernej* (2020) udało się wyruszyć i skutecznie odbijać od brzegów, w tym przypadku, trzech cywilizacji: Bizancjum, Grecji i Rzymu. Nieco inaczej, współcześnie, radzi sobie z mentalnością i dziedzictwem konfucjańskim Chin Jakub Sajkowski. Pradawne prawa filozoficzne i logiczne wpisuje w sytuacje codzienne, również

związane z nauką języków obcych (zwłaszcza *Zestaw do kaligrafii*, 2018). Z klasyką, acz zdecydowanie późniejszą, dialoguje w *Apokalipsie psa* (2020) Adam Leszkiewicz: tak wierne, nawet jeśli podrasowane hiphopowym feelingiem, trawestacje choćby Pounda znajdują się na antypodach zainteresowań najświeższej poezji w tym kraju, więc tym bardziej je tutaj uwzględniam.

A ponadto, jeszcze, gdzie indziej prześwituje tło po nurcie ośmielonej wyobraźni, choćby skierowanym w stronę przyrodniczego klasera: Klaudia Pieszczoch w *Ruń* (2023) stąpa Romanowi Honetowi po piętach, nie zważając na jego odciski. A my, jednak, kręcimy się w kółko. Wyobraźniowo blisko lokuje się Lula Sarnia, w *Wiśni mi się* (2022) rozgrywając na płaszczyźnie wyobraźniowej również tematy ze spektrum stosunków międzynarodowych.

Osobne miejsce zajmuje nadświadomie rozwijana, nicowana i przesuwana sosnowszczyzna: *Mountain View* (2022) Marcina Czerkasowa. To intrygujący przekaznik, nadający ostatnie audycje z upadku kapitalizmu. Serio bezironicznie. Podmiot pozwala się uprzedmiotowić. Soundtrack długiego zdania nie pozwala zakłócać szumami i trzaskami, tak często serwowanymi przez młodszych zaangażowanych i zaniepokojonych. A na poziomie formy mistrzowsko pracuje maszynieria przeczutni. Przekazałbym rozwinięcie tych wątków do innego tekstu, ponieważ takie książki zasługują na zdecydowanie więcej niż „szybko przez wszystko” dla mniej czytających akademików.

*

Informacje bibliograficzne i inne przypisy ograniczam do minimum. Skupiam się na osobach autor-skich, które debiutowały w ostatnich dziesięciu latach. Wyjątki niczego nie potwierdzają. Na konkretne cytaty nie starczyło miejsca.



Adrian Lewkowicz

Na urlopie nie stroniłam od gramatyki

powiedz mi coś
wystarczającego
rzuciłam od niechcenia
choć sierpień
miał się całkiem w porządku

kostki lodu
roztapiały zwątpienie
a wyschnięta kałuża zachwycała
mozaiką spękanego błota

czas zmarnowany
jest czasem przyszłym

Książki mają poważne braki

na przykład
w żadnym podręczniku
nigdy nie wyjaśniono
dlaczego

ludzie starzeją się
dużo bardziej
od zwierząt

Humanitarne narzędzie do uśmiercania węgorzy

postawa etyczna
za niecałe trzydzieści złotych

kup teraz
blikiem
do paczkomatu

wije się
posolne współczucie

Bezokoliczniki ratują życie, podobno

obowiązek
w myślach powtarzać

nigdy o nic
nie prosić

mieć zajęte kończyny
robić

Młodzi Zielonej Góry i okolic – dwadzieścia jeden nazwisk i kilka refleksji ogólnych

Kiedy myślę sobie o młodych, zdolnych i dostrzeganych autorkach i autorach Zielonej Góry, którzy są w stanie zaistnieć też poza tym miastem, to przychodzi mi do głowy przede wszystkim tych troje: **Paulina Korzeniewska**, **Michał Banaszak** i **Marcin Mielcarek**. Wszyscy zostali dostrzeżeni podczas tegorocznej gali Lubuskich Wawrzynów (Paulina i Marcin – nominowani do Wawrzynu Literackiego, Michał – laureat w kategorii poezji). Paulina i Michał ukończyli studia poza Zieloną Górą, ale wrócili tu po kilku latach, obronili swoje doktoraty z literaturoznawstwa i wydali kilka książek w wydawnictwach spoza regionu. W najnowszym tomiku Korzeniewskiej *Mniej znaleźć można przejmującą relację z pogranicza życia i śmierci*, bardzo mocny i kobiecy język. U Banaszaka z kolei w *Exicie* sporo lęków współczesnego świata, dylematy i poszukiwanie sensu. Świetny rytm, przy którym trudno czasem złapać oddech (podobnie jak bohaterowi jego wierszy). Natomiast Marcin Mielcarek, który dopiero od kilku lat mieszka na zachodzie Polski, to absolwent zielonogórskiej filologii polskiej, prozaik, który ma na swoim koncie debiut w „Twórczości” (2020) oraz debiut powieściowy (*Parada myśli nocnych. Sztuka latania*). Ostatnio laureat ósmej edycji Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka”. Warto też wspomnieć o **Dorocie Grzesiak**, która choć nie mieszka już na Ziemi Lubuskiej, chętnie tu publikuje. Bywa też dostrzegana w prestiżowych konkursach w całej Polsce (np. zajęła drugie miejsce w konkursie im. Kazimierza Ratonia, gdzie notabene Banaszak został laureatem). Przywołam też **Bartosza Konopnickiego** (ongis studiującego w Zielonej Górze), autora czterech tomików poetyckich, obecnie związanego z Krakowem. Jest też **Natalia Haczek**, która wprowadza moim zdaniem nową jakość do lubuskiej poezji – jej teksty charakteryzuje czarny humor i podejmowanie problemów tożsamościowych. Jest też autorką ciekawych krótkich form prozatorskich (większość jeszcze przed wydaniem). Ciekawi mnie też bardzo **Jolanta Fainstein**, o której zrobiło się głośno za sprawą dramatu *mama ma szorstkie ręce* – dotarł on do finału pierwszej edycji Konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza, a został niedawno wydany przez Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP. Warto jeszcze zaznaczyć, że to twórcy urodzeni w latach 80. i 90. Co z młodszymi? Czy oni są widoczni w tym mieście lub poza nim?

Pamiętam dosyć dobrze tekst Roberta Rudiaka sprzed równo dziesięciu lat („Pro Libris” 2013, nr 1), w którym autor utyskiwał na stan literatury lubuskiej i jej starzejący się charakter (wyliczył średnią wieku członków lubuskich stowarzyszeń i otrzymał takie oto liczby: 61,2 w oddziale zielonogórskim ZLP; 61,3 w gorzowskim oddziale ZLP; 55,3 w Klubie Literackim w Żarach i 63 w SPP). Wyniki jego analiz (prowokujące – bo odpowiedziało na nie kilkunastu autorów) wynikały właśnie z brania pod uwagę jedynie zrzeszonych twórców. A warto dodać, że już wtedy prawie nikt z ówczesnej młodzieży nie działał w związkach i stowarzyszeniach. Ta tendencja wydaje się utrzymywać – młodzi wybierają niezależność. I co ciekawe, ani Korzeniewska, ani Grzesiak nie zostały wskazane przez Roberta Rudiaka (Paulina wydała arkusz poetycki już w 2006 r., Dorota Grzesiak – w 2009 r., pozostali, których wymieniam, byli jeszcze przed debiutem), za to niektórzy opisani przez badacza zdążyli już zawiesić pisanie poezji (np. Karol Graczyk, Jakub Rawski).

Myślę, że numer „Pro Libris” ph. *Poszukiwania* to świetna okazja, żeby przyjrzeć się młodym twórcom Zielonej Góry, których jest sporo, choć działają oni nieco inaczej niż ich starsi koledzy po piórze. Rzadko kiedy publikują swoje teksty indywidualnie w formie książki. Wyjątek od reguły stanowi np. **Daria Walusiak**, licealistka, dwukrotna stypendystka Prezydenta Miasta Zielona Góra w dziedzinie literatury. W 2022 roku wydała ona swój prozatorski debiut, na który składa się kilka opowiadań.

Na pewno najprościej zauważyć młodych poprzez konkursy i publikacje zbiorowe. Szósta edycja Konkursu na Debiut Pro Libris pozytywnie nas zaskoczyła. Konkurs został wznowiony po pięciu latach (w piątej edycji nie wyłoniono laureata, bo liczba zgłoszeń była zbyt mała, a jakość tekstów – niezadowalająca). Formuła konkursu uległa w 2022 roku rozszerzeniu, bo zaproszeni do udziału zostali twórcy w dwóch kategoriach wiekowych: 15-25 lat oraz powyżej 26 lat. Ponadto przyjmowano teksty poetyckie, prozatorskie i dramatyczne. W sumie nadesłano 11 zgłoszeń w pierwszej kategorii wiekowej i 14 zgłoszeń – w drugiej. Laureatkami zostały: **Barbara Czyżewska**, licealistka z Sulechowa, oraz **Patrycja Mierzejewska**, mieszkanka Kęszycy Leśnej, która w tym roku została także finalistką *Połowu* Biura Literackiego. W obecnym numerze zaprezentowane są fragmenty ich tekstów, które jeszcze w tym roku zostaną wydane w formie książki. Na uwagę zasługują też bardzo ciekawe utwory pozostałych nominowanych.

Myślę, że ciekawe teksty pisze także **Roksana Bach** (przed debiutem książkowym), która często zostaje laureatką imprez poetyckich i slamów, a także konkursów ogólnopolskich. Niecierpliwie czekam na jej książkę.

Ale być może konkursy to mylący trop? Wydaje się, że ta forma zaistnienia powoli odchodzi do lamusa, bo – jak zauważam od kilku lat – wielu studentów prowadzi własne blogi, videoblogi, kanały oraz działa w mediach społecznościowych. Nie interesuje ich tak bardzo papier. Zapewnia im to większe zasięgi niż wydanie – mogłoby się wydawać – najlepszej książki. Bo kto ze współczesnych autorów np. poezji może liczyć na 100 tys. odbiorców? Całe szczęście, bo gdyby patrzeć jedynie na tradycyjną aktywność literacką (wydawane czasopisma, publikacje indywidualne i zbiorowe) studenckiego środowiska literackiego, to nie napawa mnie ona optymizmem. Podam jeden przykład z brzegu: od paru lat zostają wydawane książki zbierające opowiadania studentów I roku dziennikarstwa Instytutu Filologii Polskiej (do tej pory ukazały się dwa tytuły: *Piętnaście czarnych sukienek* i *W lustrze snów*). Niestety myślę, że wypadałoby zadbać o lepszą ich jakość. Co innego, gdyby Instytut Filologii Polskiej wydawał co roku antologię najlepszych tekstów studentów UZ (bez względu na kierunki, wydziały). Wymagałoby to zapewne różnych działań redaktorów, którzy musieliby dotrzeć do studentów i dokonać wyboru najlepszych tekstów. Wyjątkiem jest zdaje się **Julia Gwóźdź** (przed debiutem książkowym), która bywa na turniejach jednego wiersza i promocjach książek, a ponadto publikuje swoje teksty w lokalnych czasopismach. Wielu innych zapewne potraktowało to jako jednorazową przygodę pisarską bez zobowiązań, w ramach projektu na zaliczenia jakiegoś przedmiotu w planie studiów. Mam nadzieję, że się mylę, bo kilka z tych osób ma potencjał.

Na oddzielną uwagę zasługują siostry **Tola Grupa** i **Zuzanna Grupa** – znane na YouTube jako „Za książkowane”. Śledzi je w mediach społecznościowych ponad 200 tys. osób. Popularne polskie booktuberki i bookstagramerki opowiadają o książkach, czyli uprawiają krytykę literacką lub bardziej może popkrytykę. Są skuteczne, błyskotliwe, zabawne i potrafią przyciągnąć rzesze odbiorców. Mieszkają w Zielonej Górze, ale znane są w całej Polsce. Czy krytyka akademicka potrafiłaby zrobić dziś to, co one? Gdyby tylko zielonogórskie szkoły (i nie tylko szkoły) potrafiły i chciały wykorzystać ich talent do mówienia dzieciom i młodzieży o literaturze.

Warto też wspomnieć o **Weronice Nawrockiej**, **Joannie Nawlickiej**, **Annie Madaj** czy **Gabrieli Matkowskiej**, piszących systematycznie swoje teksty krytycznoliterackie lub relacje z artystycznych wydarzeń do lokalnej prasy. To także ważna część literackiej działalności, niszowa, choć równie autorska i oryginalna, pokazująca subiektywny odbiór i interpretację, dająca czasem drogocenny dla twórców feedback. Zauważę też **Joannę Marcinkowską**, teatrolożkę i ciekawą poetkę, która już drugi sezon prowadzi cykl warsztatów

recenzenckich (pt. Lubuska Siła Krytyczna) w Lubuskim Teatrze i która regularnie pisze teksty do portalu dziennikteatralny.pl. Dla swojej własnej twórczości wybrała już drugi raz pozainstytucjonalny selfpublishing. Moją uwagę wśród jej podopiecznych zwraca szczególnie **Zofia Ścigaj**, tegoroczna absolwentka liceum, dwukrotna finalistka Olimpiady Literatury i Języka Polskiego oraz Olimpiady Artystycznej, autorka wielu tekstów recenzenckich dotyczących wydarzeń teatralnych. Przed nią wybór studiów, zapewne gdzieś poza regionem, mogą mieć jedynie nadzieję, że kiedyś powróci do Zielonej Góry i będzie mogła się tu rozwijać.

Na koniec jeszcze kilka refleksji z warsztatów literackich, które miałam okazję prowadzić w I LO im. Edwarda Dembowskiego i zielonogórskiej bursie, a do których chciałabym zaprosić w przyszłym roku szkolnym kolejne placówki. Najbardziej owocne były zdaje się zajęcia w bursie – pewnie dlatego, że przychodziła na nie grupka kilkunastu naprawdę zainteresowanych osób w swoim czasie wolnym (nie podczas zajęć szkolnych, co istotne, bo motywacje opuszczenia zajęć bywają różne). Byli bardzo kreatywni podczas warsztatów, prowadzili ciekawe dyskusje i spory. Mieli dużo do powiedzenia. Wydaje mi się jednak, że propozycja publikacji ich tekstów w czasopiśmie nie była dla nich dość atrakcyjna, żeby chcieli jeszcze nad nimi pracować. Choć są wyjątki – własne teksty zaprezentował **Szczepan Macholak**, który próbuje swoich sił w poezji, prozie i dramacie.

Mam jeszcze poczucie, że ci najbardziej ciekawi twórczo młodzi ludzie po prostu mają też inne niż humanistyczne plany na życie. Na szczęście. Trudno nie zgodzić się z Kornelem Filipowiczem, który przestrzegał młodych pisarzy przed studiowaniem polonistyki i radził, żeby wybrać biologię, matematykę, chemię lub zawody mające bliski związek z żywiołem, jak rolnik, kamieniarz lub marynarz.

*

Wypada na koniec spuentować te dość chaotyczne refleksje na temat młodych twórców i twórczyń. Najważniejsze to chyba dać im czas. Niczego nie przyspieszać, nie oczekiwać, po prostu się przyglądać i dać swobodę działania. I mieć nadzieję, że nic nie zaszkodzi talentowi (a z drugiej strony największy literacki coach nie uleczy grafomanii). Patrzę z wielką ciekawością w przyszłość.



Aleksandra Białogłowy

Drenthe dla Ukrainy

Dziurawa skarpetka, patyczek do czyszczenia uszu, lalka z podrapaną twarzą – przeglądam podarowane rzeczy. Odkładam je na lewą stronę korytarza. Ryż, kasza, anyżowa herbata z arabskim napisem. Przedmioty te wędrują na prawą stronę. Otwieram kolejny karton – pełen szamponów z napisanym ręcznie przesłaniem i ukraińską flagą namalowaną niewprawną, dziecięcą ręką. Karton jest ciężki. Gdy go przesuwam w prawo, czuję ból w odcinku lędźwiowym kręgosłupa.

Jak się w to wpakowałam? Zastanawiam się przez chwilę, wchodząc po schodach na górę po kolejny worek na śmieci. Przez chwilę widzę pakunki z góry, z innej perspektywy. Spoglądam na nie niczym anioł na ziemię, klnąc na zło tego świata, wszystkie wojny i przeszywający ból prawej łopatki. Widzę wielkie, czarne worki, kartony, plecaki, śpiwory. Stos pieluch – cierpienie dzieci najbardziej porusza serca. Dostrzegam posegregowane kartony z krzywo przyklejoną etykietą w trzech językach. Przypomina mi się kobieta, która w pośpiechu wręczyła mi trzy półpuste buteleczki z żelem do dezynfekcji rąk – w zmierzchu pandemii zbędnych. „To na akcję!” – rzuciła od niechcenia.

Skąd pomysł? Kees musi posiać kukurydzę. Kees zostaje na Ukrainie. Nie, Kees wyjechał z Ukrainy. Brakowało kukurydzy na posiew. Krowy muszą jeść. Bez paszy nie będzie mleka, cielęciny, zakład nie będzie produkował. Bez produkcji nie ma pracy, a światowy głód zagraża ludzkości. Bomby spadły wprawdzie w sąsiedniej miejscowości, lecz jeszcze nie na teren zakładu, 200 kilometrów od Kijowa. Będzie dobrze. Żona i dzieci wyjechały do dziadków do Niderlandów, na wszelki wypadek. Tęsknią, nie są przyzwyczajone rozmawiać z innymi dziećmi po niderlandzku. Dostawa kukurydzy na posiew nie dojechała. Brakowało diesla do ciągników. Kees ogarnięty wizją mondialnego niedoboru żywności pod koniec marca spakował golarkę i parę majtek do samochodu i wyjechał przez Rumunię do rodzinnego kraju, lobbować przeciw tej okrutnej wojnie. Oraz po parę ton kukurydzy do posiania. Trzeba zasiać do pierwszego kwietnia, inaczej nie weździe.

Kolejny worek lepi się od czekolady. Zdrapuję resztki klejącej papki z palców. Kawałek ucha czekoladowego zająca wkładam do ust, słodka nagroda za mrówczą pracę. Wielkanocna figurka poległa pod ciężarem podarowanych kołder i pościeli. W trzecim kartonie odkrywam trzy smartfony, baterie i powerbanki. Rzeczy, których nie było na liście. Każdy kreatywnie przynosi to, co sam sądzi, że się przyda w kraju ogarniętym wojną. Moje skupienie na sortowaniu przerywa dzwonek do drzwi. Zanim dojdę do drzwi przez kartonowo-workowo-pakunkową entropię, dojrzę w oddali dwóch niskich mężczyzn o śniadej skórze, którzy zostawili przed domem dwa worki pełne dziecięcych kurtek, swetrów i czapek. Oraz kolejny zestaw syryjskiej, anyżowej herbaty.

Kolejna dziurawa skarpetka męska, czarna w niebieskie paski. Znoszone dziecięce buty, pojedyncza rękawiczka. Zabawkowy piesek z oderwanym ogonkiem. Dlaczego zdecydowałam się udzielać w zbiórce? Czasami przypomina to sortownię śmieci. Czy dlatego, że znajomi Keesa z dzieciństwa byli tak przekonujący? Czy po prostu chciałam poczuć fizyczny ból, by w pewien sposób dzielić z uchodźcami ciężary tej wojny? Na lewo góra śmieci. Na prawo – pasty do zębów, mleko w proszku dla niemowląt. Jutro odjeżdża trzecia ciężarówka, dwie dotarły już na teren Ukrainy. Wiele rzeczy śmieciarka zabrała na wysypisko. Dzwonek do drzwi – matka z dwójką dzieci w wieku dziewięć i jedenaście lat przywoziła kilka palet zupy pomidorowej w puszkach. Za odłożone kieszonkowe, mówiła matka. Inicjatywa dzieci.

Ruch, akcja, udzielanie się daje ludziom poczucie, że coś robią, że nie są pasywnymi obserwatorami okrucieństwa transmitowanego na żywo na kanałach YouTube'a. Pozwala to wysublimować paralizujący lęk w poczucie kontroli. Dziurawa skarpetka łąduje po lewej stronie – ruch, akcja, niezgoda na wojnę. Rozlany szampon z ręcznie napisanym przesłaniem w cyrylicy – szus, szus, okrężnym ruchem wycieram plamę wstydu własnego człowieczeństwa.

Prośba

Pozwól
niech dojrzeje
w słodczy
twojej miłości
moje serce
niczym jabłko
pełne
cierpkich pestek

Zamieniłam twoje słowa w poezję

Gdybyś nagle
spadł z księżyca
skalpel światła
odciąłby ciebie
od siebie
w twojej lunarnej
przeszłości

I tylko
księżycowy blask
wytrzepany z kieszeni
spodni przed praniem
stałby murem
za twoim
prywatnym
Wielkim Wybuchem

Wiara i ufność

(fragment)

Ester przeniosła nieobudzony jeszcze wzrok w okno. Błyszcząca od kropelek mżawki mgła osiadała coraz niżej, otulając całe miasto swoją gęstością. Liście opadały z drzew, unosząc się w szalonym tańcu z wiatrem. Dziewczynę ogarnęła fala melancholijnych uczuć i przytapała się na myśli, że liście walczące z wiatrem nie chcą latać, jak on sobie życzy ani mieszać się z kurzem jesiennej ulicy. Obserwowała, jak jasna plama słońca gubiła się w szarości nieba. Czuła, że smutek pochłania ją, a wszystko traci sens. Ręka podtrzymująca podbródek opadła, więc Ester położyła się na ławce. Leżąc i patrząc w okno, powtarzała w kółko słowa z ostatnio omówionej lektury „*Vanitas vanitatum et omnia vanitas*”, myśląc, że to najprawdopodobniej najbardziej istotna rzecz, którą kiedykolwiek słyszała na lekcjach. Wprowadziła się w egzystencjalną huśtawkę. Siedząca obok Aurelia najwyraźniej myślała tak samo, ponieważ na jej twarzy również były widoczne niechęć i znudzenie. Patrzyła, jak za oknem wiatr i deszcz targają kolorowymi liśćmi. Podparła głowę ręką i zamyśliła się. Miała wrażenie, że kurczy się jak te liście, jednocześnie żółknąc i trzymając się gałęzi życia. Trudno było to wszystko zaakceptować i przeżyć. Wszyscy jesteśmy więźniami tęsknoty, której główną cechą jest wchłanianie...

– Ewidentnie są sprawy ważniejsze niż moja lekcja. Co powiedziałam przed chwilą? – odezwał się nagle głos nauczycielki, która stanęła tuż przed ławką dziewczyn. Aurelia szturchnęła Ester łokciem.

– Przepraszam, nie słyszałam...

Pani westchnęła, pokazując swoje niezadowolenie.

– Jeszcze jedna uwaga i przyjdiesz do odpowiedzi!

Ester skinęła głową, Aurelia pochyliła się ku niej i szepnęła:

– Damy radę, do przetrwania pozostały dwie lekcje.

Ester nic nie odpowiedziała, tylko leniwie wyprostowała się. Za oknem zaczął padać mocniejszy deszcz. Krople z hukiem rozbijały się o parapet, odlatując w różne strony. Ludzie otulali się płaszcami, otwierali parasole i biegnąc po kałużach, próbowali uciec przed nadchodzącą burzą. Wskazówki zegara nad tablicą przesunęły się nieznacznie, ale koniec lekcji wydawał się oddalać w nieskończoność. Ester zaczęła wybijać palcami jakiś rytm o ławkę, a Aurelia zamknęła oczy, odchylając się na tył krzesła. Monotonny głos nauczycielki usypiał, hałas wokół hipnotyzował, szeleściły zeszyty, ktoś coś zapisywał, szeptał. Ester poczuła przypływ dziwnego uczucia, nie niepokoju, lecz zmieszania. Nagle obróciła głowę w prawo – na ulicy zatrzymał się tramwaj. Spojrzenie w lewo – napotkało pytający wzrok Aurelii. I właśnie w tym momencie stanął przed nimi Robert. Robert, któremu zabroniono pojawiać się w tym świecie bez konkretnego powodu. Skoro się tu pojawił, musiał być powód. Ester podniosła zaniepokojony wzrok. Nie do końca rozumiała, co się stało, ale Robert wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

Ester rozejrzała się dookoła. Uczniowie słuchali nauczycielki bez większego zainteresowania. Robert odezwał się jako pierwszy.

– Czy moglibyśmy porozmawiać? – zapytał.

Nikt z klasy, oczywiście oprócz dziewczyn, nie widział Roberta, dlatego Ester uznała, że zdziwi wszystkich, jeżeli będzie rozmawiała z powietrzem. Wciąż zdezorientowana spojrzała w stronę Aurelii i kiwnęła głową porozumiewawczo, podnosząc rękę w górę.

– Przepraszam, czy mogłabym wyjść do toalety?

Nauczycielka przewróciła oczami i zgodziła się niechętnie.

Ester wstała z krzesła i wraz z Robertem udała się na zielono-biały, posępny, szkolny korytarz. Mężczyzna wyglądał na zestresowanego i widać było, że coś go w środku gnębi. Ester zmierzyła go wzrokiem. Miał roztrzepaną, krótką, jasną fryzurę, zielone oczy, które zazwyczaj posyłały miłe i ciepłe spojrzenia. Tym razem tak nie było. Zawsze ubrany elegancko, dzisiaj miał niechlujnie zawiązany krawat. Ester założyła rękę na piersi, wzrokiem próbując przeczytać myśli Roberta.

– Przecież nie przybyłeś tu tak po prostu? Mów, o co chodzi!

Robert uśmiechnął się, odwracając wzrok.

– Przepraszam, ale sprawa jest bardzo skomplikowana. Musiałem poukładać sobie wszystko w głowie. Dziewczyna westchnęła.

– Wiem, nie musisz się tłumaczyć.

Nastąpiła chwila ciszy. Dochodziła do nich tylko niewyraźna dyskusja z gabinetu obok. Robert długo się zastanawiał, nerwowo skubiąc brew, w końcu podniósł ponure oczy na Ester, oddając tym spojrzeniem cały ból mieszczący się w jego dużym, ale jednak małym sercu. Ester odczuła skurcz brzucha.

– Anżelika została ranna, jest w szpitalu... – wyszeptał, jakby bojąc się powiedzieć to na głos. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy. Edelwejs wysłał ją do imperatora w takim stanie!? I to po rzeźni w Sharlottcie?!

– Edelwejs, podlec! – krzyknęła w gniewie. Robert westchnął smutno.

– Wiem, co czujesz... ona przecież jest brzemienna... – dodał, cicho zaciskając zęby. – Brzemienna! – powtórzył desperacko. Jego oczy przeniosły się w głąb korytarza, widać było, że cierpiał. Dookoła panowała cisza, Robert chwycił dłonią brzeg koszuli, otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale w końcu złapał tylko ustami powietrze.

– W jakim stanie jest dziecko? Gdzie list? I co mamy teraz robić!? Cholera! – Oburzenie, rozpacz, odraza wobec Edelwejsa napełniała ją po brzegi jej ciała. Nerwowo przetarła ręką czoło.

– Dziecko żyje. To nie był postrzał w brzuch – odpowiedział Robert, a dziewczyna z ulgą odetchnęła, słuchając dalej. – Anżelika mówiła, że dwoje ludzi w kapturach (podobnych do tych, którzy zrobili rzeź w Sharlottcie), nagle wbiegło do wagonu i nie dając żadnych szans na reakcję i opór, zraniło ją w pierś. Ukradli też list. – Robert wykrzywił twarz.

– Czego Edelwejs się spodziewał? To było do przewidzenia. – Ester zirytowana rozłożyła ręce. – Po tej rzezi nietrudno się domyślić, że brzemienna kobieta, sama, z ważnym listem to bardzo łatwa zdobycz! Anżelika też zachowała się bardzo nierozsądnie. Czy jej tak zależało na tej misji, że prawie ofiarowała za nią życie swego dziecka?!

– Nie mów tak, ona była pewna swoich sił – próbował ją bronić Rober. Ester, mierząc go wzrokiem, uznała, że w środku jednak zgadzała się z nią. Anżelika była zbyt harda. Podejmowała ryzykowne decyzje, czasami zapominając o zdrowym rozsądku.

Ester spojrzała na wiszący na bladej ścianie zegar. Wiedziała, że za chwilę musi wracać do jakiejś nudnej lekcji.

– Dobrze, Robercie, co musimy zrobić?

– Edelwejs zarządził zebranie w siedzibie LZA. Jak skończycie lekcje, od razu przenoście się tam.

– Dobrze, powiem mu, co sędzę o tym wypadku. – Ester uśmiechnęła się ironicznie, próbując ukryć swój niepokój i odeszła kilka kroków, zostawiając Roberta stojącego samotnie pośrodku korytarza. Nagle młodzieniec krzyknął do odchodzącej dziewczyny:

– Uważaj, mogą być wszędzie!

Ester zatrzymała się. Migoczące cienie, tańczące i drżące od przejeżdżających za oknami tramwajów, odbijały się na bladej ścianie. Ester czuła, że jej ciało ogarnia niepokój.

– Wiem, co czujesz, ale musisz się trzymać! – odrzyknęła, znikając w głębi korytarza. Otwierała właśnie drzwi od klasy, gdy nagle rozległ się dzwonek na przerwę. Nauczycielka spojrzała na nią krzywo. Aurelia rzuciła Ester zaciekawione spojrzenie:

- Co się stało? – zapytała.
- Postrzelono Anżelikę... – odpowiedziała Ester, pakując rzeczy do plecaka.
- O Boże! A dziecku nic nie jest? – zawołała przerażona Aurelia.
- Na szczęście nie. – Ester stanęła przed ławką. Aurelia nadal patrzyła z niedowierzaniem.
- Chodźmy z tej szkoły jak najprędzej, do diabła z lekcjami!

Dziewczyny udały się do kantorka znajdującego się przy hali sportowej. Ester wyciągnęła kartkę i narysowała wielki okrąg. Aurelia milcząc, patrzyła w podłogę. Ester rzuciła koleżance bystre spojrzenie i obie, z poważnymi twarzami, przeniknęły nagle przez kartkę, która po sekundzie wirowała już w małym pokoju obok okrągłego stołu. Dziewczyny wyskoczyły z niej i stanęły na parkiecie, otrząsając ubrania. Przy stole siedziało kilka osób. Ich wzrok nie był skierowany na nie, lecz na jedno puste krzesło, na którym zawsze siedziała jasnawłosa Anżelika. W sali panowała kompletna cisza. Zaniepokojony Robert mierzył wzrokiem każdego po kolei i próbował odczytać z oczu siedzących w izbie, co myślą o sytuacji. Niektórzy, patrząc na Roberta, najwyraźniej oczekiwali wyjaśnień, ale on sam nie wiedział do końca, co powiedzieć, jak zacząć. Ester i Aurelia szybko usiadły na swoje miejsca. Edelwejs wyjął ręce z kieszeni i oparł się o stół. Był spokojny. Uważnie rozejrzał się po obecnych.

– Chyba już wiecie, dlaczego was tu zebrałem. – Ester spojrzała wrogo na lidera, który kontynuował swoje przemówienie:

– Nie będę przeciągał, powiem od razu. „Oni” przygotowują się do walki... Na razie nie da się niczego przewidzieć – powiedział po chwili ciszy Edelwejs, rozkładając ręce. – Nie wiemy, czego chcą od nas, jaki mają cel. Prześladują nas. Wszędzie czyha na nas... – zatrzymał się, patrząc, jak na twarzach obecnych pojawił się niepokój – ...niebezpieczeństwo! – dokończył.



Maja Hawrylczak

Chciałam

Chciałam napisać wiersz
Jak jesteśmy podobni do ptaków
Myślałam – do jakich porównać nas
Słowików i innych śpiewaków

Z pomocą przyszła pewna rozmowa
O dziewczynie z niemym imieniem
Powiedział ktoś, że widział
Jak w martwym gołębiu grzebie

Myślałam – moralnie bez znaczenia
Choć okrzyknęli ją dziwakiem
A przecież nas też ktoś rozdlubie
Gdy zostaniemy ptakiem

Pion

Jeśli nadczłowiek sugeruje przedrostkiem
Swoje miejsce w kosmicznej hierarchii
Muszę stwierdzić, że niewielu z nas będzie nad
Za to na pewno każdy pod

Według religii też będziemy nad-, ateistów – pod, rodziny – między, ziemi – w,
A kiedyś byliśmy po prostu na porządku dziennym

Czech, Rus i Lech, czyli opowieść o trudnej wyprawie i miłości braterskiej

(fragment)

Szykował się kolejny upalny dzień. Na dworze było już zupełnie jasno i niezmiernie gorąco. Mimo że bracia zdecydowali się na przejażdżkę konną, droga do wioski zajęła im trochę czasu.

Mijali pozbawione zieloności tereny: bujne niegdyś trawy, krzewy i dumnie prezentujące się drzewa, zastąpiła szara i rachityczna roślinność. Gdy książęta wraz ze służbą dotarli już na miejsce, zsiadli z koni i zostawili je na uboczu.

Kiedy zadania zostały rozdzielone, każdy z członków pochodu ruszył w stronę innego domu. Lech już wcześniej wybrał ten stojący nieco z boku, ten, który był z niemal każdej strony otoczony przez brzozy.

„Tam z pewnością muszą mieszkać kobiety”*, pomyślał Lech, zachichotał i zapukał do drzwi. Najwyraźniej się nie mylił, ponieważ otworzyła mu młodzianka dziewczyna. Na oko był od niej niewiele starszy. Gdy tylko jej się przedstawił, cofnęła się o krok i ukloniła.

– Nigdy chyba nie miałem przyjemności zjawić się w tak pięknym domu – odezwał się Lech, wchodząc głębiej do środka. – Jak wam na imię?

– Mojmira, jestem Mojmira – odparła dziewczyna i obdarzyła Lecha najpiękniejszym, najdelikatniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widział.

Dziewczyna była wysoka, miała ciemne długie lekko kręcone włosy, do tego ubrana była w jasną zwiewną sukienkę. Wyglądała w niej zupełnie jak jakieś bóstwo.

– W czym wam pomóc? – spytał usłużnie Lech i uśmiechnął się.

– Matula jest chora, potrzebowałabym...

– Co dzieje się mamie? – spytał Lech, przerywając dziewczynie. Mojmira wskazała łóżko.

– Dzień dobry! – przywitał się Lech.

– Nie odpowie wam – powiedziała dziewczyna. – Zupełnie straciła siły i nie ma apetytu. Książę uśmiechnął się gorzko.

– Próbowaliście ziół? Przyniosłem wiele rodzajów. Pomagają na różne dolegliwości – przerwał na chwilę, po czym dodał: – Kiedy ja byłem chory, pomógł mi na przykład...

– Próbowalam – odparła dziewczyna. – I dalej będę próbować. Mam zaufaną zielarkę w sąsiedztwie, ona ustaliła już plan kuracji.

Lech kiwnął głową.

– A więc ziół masz pod dostatkiem. W takim razie przydałaby ci się pewnie pomoc w domu? – Ni to powiedział, ni to spytał książę.

* Brzoza w religii Słowian symbolizowała kobietę, delikatność i zdrowie.

– O, tak, bardzo!

Po tej krótkiej rozmowie Lech od razu przystąpił do działania. Najpierw wraz z Mojmirą wyczyścili cały dom. Następnie wyszli na zewnątrz i Lech przyniósł parę wiader wody ze studni, żeby dziewczyna miała czym umyć siebie i matkę. Mojmira w tym czasie wyrywała na podwórku zwiędłe rośliny. Po jakimś czasie Lech się do niej przyłączył. Wzięli grabie, własnoręcznie wykonane przez ojca dziewczyny i spulchniali ziemię. Lech był zdania, że to sprawi, że nasiona wreszcie zakiełkują. W pewnym momencie Mojmira, chcąc przerzucić liście, zamachnęła się i zgarnęła trochę ziemi. Nim się zorientowała, ta poleciała w stronę Lecha i ubrudziła go.

Młodzieniec spojrzął na nią, roześmiał się, po czym również obrzucił ją suchymi grudkami.

Po chwili zapomnieli o pracy i zaczęli się bawić, zupełnie jak małe dzieci. Biegali wokół domu. Mojmira wymachiwała grabiami, Lech posypywał ją ziemią. Ich oczy się śmiały. Trwało to dłuższą chwilę.

Gdy już przestali się wygłupiać, padli wykończeni na ziemię. Odwrócili twarze do siebie, uśmiechnęli się, po czym wybuchnęli śmiechem.

– Dawno się tak dobrze nie bawiłem – wyznał Lech. – W pałacu mamy surowe reguły, które określają, jak powinniśmy się zachowywać. Co wypada księżętom, a co nie i tak dalej. Zupełnie jakby wszyscy nagle zapomnieli, że też jesteśmy ludźmi.

– Ja też nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak miło spędziłam czas.

Znów na chwilę wybuchnęli śmiechem. Gdy się uspokoili, Mojmira rzekła:

– Patrzcie, jak późno, już po górowaniu słońca. Gdy spędza się czas, z kimś tak wyjątkowym, nie czuć upływu dnia.

Lech poderwał się nagle.

– Co się stało? – spytała dziewczyna. – Coś nie tak?

– Muszę iść pomóc też innym mieszkańcom. Obiecałem Czechowi, że przejmę dziś jego obowiązki. – Zasmucił się Lech. – Znowu zawiodę jego zaufanie! – jęknął.

Chcąc jakoś pocieszyć młodą kobietę, Mojmira powiedziała:

– Nie martwcie się, na pewno zdążycie ze wszystkim na czas.

– Nie mów tak do mnie – odparł Lech.

Mojmira spojrzała na niego zdziwiona.

– Chcę żebyś zwracała się do mnie po prostu Lech – powiedział, jednak po chwili się zawahał: – Oczywiście... w razie gdybyśmy się jeszcze spotkali.

Mojmira uśmiechnęła się szczerze.

– Będę pamiętać!

Lech pomógł jeszcze tylko uprzątnąć podwórkę po zabawie. Gdy zamierzał się oddalić, usłyszał głos Mojmiry:

– Poczekaj, jesteś cały w suchych liściach!

Dziewczyna zbliżyła się do niego i otrzepała go. Jej dotyk był miły. Lech objął ją delikatnie, a zarazem krótko. Dziewczyna odwzajemniła uścisk.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – rzekł Lech. I oddalił się, nie oglądając się więcej za siebie.

Joanna Wawryk

Publikacje zbiorowe studentów dziennikarstwa i komunikacji społecznej Uniwersytetu Zielonogórskiego

Od trzech lat (akademickich) na Uniwersytecie Zielonogórskim studenci dziennikarstwa i komunikacji społecznej (diks), na zajęciach z twórczego pisania, a od 2022 także kultury wypowiedzi dziennikarskiej i stylistyki dziennikarskiej, prowadzonych przez prof. UZ dr hab. Monikę Kaczor, piszą książki. Wyrażenie „piszą książki” jest tu oczywiście dużym skrótem, bowiem każdorazowo jest to proces skomplikowany i wykraczający poza ramy realizowanego przedmiotu, niekończący się wraz z uzyskaniem zaliczenia.

Do tej pory w ramach zajęć powstały trzy książki literackie: *Piętnaście czarnych sukienek*, *W lustrze snów* i *29 podejrzanych*, a także – jedna pozycja językoznawcza: *Leksykon lubuskiej kreatywności nazewnictwa*. Prof. M. Kaczor to *spiritus movens* przedsięwzięcia. Czuwająca nad harmonogramem, oceniająca na bieżąco postęp prac, udowadnia, że powstanie wieloautorskiej książki w tak krótkim czasie jest możliwe.

W te projekty są zaangażowani też inni pracownicy Instytutu Filologii Polskiej UZ. Prace redakcyjne i promocyjne mocno wspiera prof. UZ dr hab. Radosław Szytber, który był także recenzentem *W lustrze snów*. Opinię wydawniczą *Piętnastu czarnych sukienek* napisała prof. dr hab. Marta Ruszczyńska, która odpowiedziała studentom też kilka rozwiązań. Recenzentką *Leksykonu lubuskiej kreatywności nazewnictwa* była dr Kaja Rostkowska-Biszczanik. Z ciekawością podjęłam się napisania recenzji wydawniczej *29 podejrzanych*, która to rzecz ukaże się w drugiej połowie 2023 roku. Wszystkie książki powstają przy życzliwej współpracy z Oficyną Wydawniczą Uniwersytetu Zielonogórskiego. Autorką okładek do tych czterech studenckich publikacji (jak również monografii M. Kaczor *Siedem grzechów głównych w dyskusjach publicznych*) jest Joanna Nawlicka, obecnie studentka trzeciego roku diks.

Zacząło się od *Piętnastu czarnych sukienek*, napisanych przez studentów diks w roku akademickim 2020/2021. Autorami są: Anna Błaszczak, Aleksander Buchowiecki, Sara Gawel, Roksana Gotfryd, Kamila Grygorczuk, Klara Kiraga, Weronika Kopania, Bartosz Kuc, Małgorzata Kuna, Eryk Malinowski, Justyna Sieradzka, Daria Zytynska.



Natalia Matuszczak, Joanna Nawlicka, Justyna Sieradzka, Daria Żytyńska. Czternaście osób pisało równocześnie swoje rozdziały, później dopracowano powiązania między nimi. Na marginesie, który wydaje się tu kluczowy: świat przedstawiony, cechujący się multikulturowością i używaniem aplikacji, wyrósł zbiorowym wysiłkiem studentów pierwszego roku w warunkach pandemicznych. Grupa pracowała zdalnie, miała szansę zobaczyć się na żywo dopiero po napisaniu całości. Pomysł, aby opublikować książkę też nie był odgórny. Gdy efekt przerósł oczekiwania, prof. M. Kaczor podjęła starania, by wydać ponaddwustustonicowy zbiorczy tekst.

Studenci stworzyli powieść w konwencji kryminalnej, osadzając akcję w „mieście miłości” – Paryżu. Nie zabrakło też wątków obyczajowych i miłosnych. Na te aspekty zwróciła uwagę recenzentka, pisząc: „Autorki i autorzy skupiają się przede wszystkim na stronie obyczajowej kryminalnych historii, bardzo z życia wziętych, gdyż takich zbrodni pod każdą szerokością geograficzną nie brakuje. Oddaje to już sam tytuł zbioru, skupiający się na »czarnych sukienkach«, gdyż jest to swoisty dress code randkowych spotkań. Paradoksalnie wieczorowa sukienka staje się w rezultacie sukienką żałobną”¹. Kim jest morderca kobiet i czy uda się go ująć? Odpowiedź zostawiam czytelnikowi.

Piętnaście czarnych sukienek wyszło drukiem w 2021 i w tym samym roku prof. M. Kaczor zaangażowała kolejny pierwszy rok „dziennikarki” do pisania wspólnej książki. Tego zadania podjęli się: Jakub Antkowiak, Weronika Baran, Oliwia Białota, Magdalena Bogiel, Kornelia Branowicz, Anna Buczak, Izabela Budokowska, Julia Gradziuk, Julia Gwóźdź, Paulina Hajduk, Natalia Hardel, Magdalena Jagiełło, Piotr Jagiełło, Julia Kolendrowicz, Kornelia Kluwak, Martyna Kobierska, Maciej Lehmann, Julia Lepak, Weronika Łuczak, Klaudia Mazurek, Wiktoria Nemochód, Paulina Prusinowska, Szymon Olenderkiewicz, Beata Roszak, Martyna Sulima, Katarzyna Waszkowiak, Filip Wielemborg, Kamil Zajac. We *Wstępie* do wydane go w 2022 roku *W lustrze snów* prowadząca zajęcia z twórczego pisania tak scharakteryzowała projekt: „Aby przygotować tę publikację, studenci zmagali się z niezależnymi ćwiczeniami, pomocnymi w rozpoznawaniu własnego warsztatu pisarskiego i uświadamianiu sobie potencjału w tym zakresie, a także uzmystawiali sobie zdolności pozwalające rozwijać kreowane przez siebie sylwetki bohaterów, otaczając ich przestrzeń oraz perypetie, jakie stały się ich udziałem. W ten sposób również odkrywali aspekty procesu opowiadania, reguły, determinujące akt pisania i umożliwiające budowanie wyjątkowej relacji autor–historia. Wyzwalali swoją kreatywność, by kierować twórczość na oryginalne ścieżki pracy nad tekstem”². Można podejrzewać, że przed analogicznymi wyzwaniem stanęli studenci zarówno wcześniejszego, jak i następnego rocznika, realizując swój projekt pod opieką prof. Kaczor.



¹ M. Ruszczyńska, [w:] *Piętnaście czarnych sukienek*, [praca zbiorowa], Zielona Góra 2021, s. [4] okładki.

² M. Kaczor, R. Szytyber, *Wstęp*, [w:] *W lustrze snów*, [praca zbiorowa], Zielona Góra 2022, s. 7.

W przypadku historii zawartej w drugiej publikacji również kluczowy do interpretacji jest tytuł. I to też zwróciło uwagę recenzenta. Sen i lustro stały się punktem wyjścia rozważań zawartych we *Wstępie* do książki. Większość zamieszczonych w tomie opowiadań dotyczy historii Rozalii, ale nie w tym prof. R. Szyber widzi największy ich atut: „To cenne świadectwo, niepozbowione otwartości, szczere. [...] Ciąg opowiadań wyraża tęsknotę za bliskością, przyjaźnią, miłością, wzajemnym zrozumieniem, szacunkiem, dobrem. To marzenie o takim, a nie innym wyobrażeniu o człowieczeństwie. O tym jest ta książka”³.

Również dla mnie, przy recenzji ostatniej z literackich książek, tytuł – *29 podejrzanych* – był wskazówką czy raczej już na wstępie sprofilował oczekiwania. Od pierwszych stron wiadomo, że zginęła studentka Laura Przybylska, a osoby z jej grupy będą przesłuchiwane. Kolejne rozdziały pisane przez innych autorów koncentrują się wokół zeznań i pozwalają na próbę rekonstrukcji zdarzeń sprzed śmierci dziewczyny. Czy klucz gatunkowy – kryminał – to jedyny sposób odczytania tekstu? To pytanie postawiłam w posłowniu zatytułowanym *29 (nie)winnych*. Nie zdradzę okołokryminalnych elementów fabuły, ale i w tym wypadku cały zestaw tekstów zdaje się dużo mówić o współczesnym pokoleniu. Co ciekawe – są też w tej publikacji tropy zielonogórskie, a autorzy używają swoim bohaterom własnych imion i nazwisk. Co jeszcze dali z siebie postaciom? Historię Laury opowiadają: Milena Algert, Natalia Fagasińska, Weronika Gaczyńska, Oliwia Gałka, Weronika Gryglewska, Justyna Kiwka, Agata Kolasa, Natalia Kolbusz, Amelia Konrad, Natalia Kosmowska, Natalia Kolbusz, Alina Melnychuk, Weronika Lenart, Khrystyna Mashtalir, Wiktoria Morawska, Magda Mucharzewska, Mikołaj Podbereski, Izabela Polańska, Karolina Rentel, Tymoteusz Tronowicz, Anastazia Urban, Julia Urbańska, Kacper Waśkowiak, Miłosz Weryszko, Aleksandra Więclawska, Oliwia Wolska, Weronika Wieloch, Tomasz Zamojski, Maria Zagórska, Sara Zatryb.

Powyższe trzy książki tworzą nieformalną serię. Powstawały w ramach tych samych ćwiczeń w kolejnych trzech latach, ale efekt zależał od kreatywności poszczególnych osób oraz tego, na ile wpasowały się w nadrzędną narrację wynikającą ze wspólnych ustaleń. Warto czytać te teksty ze świadomością genezy, a czas pokaże, czy wśród zestawu autorów są nazwiska przyszłych literatów. Wymienione tu projekty studenckie to z jednej strony wynik zajęciowego „przymusu”, z drugiej – duża szansa, tym bardziej że efektem jest publikacja przechodząca przez profesjonalny proces wydawniczy.

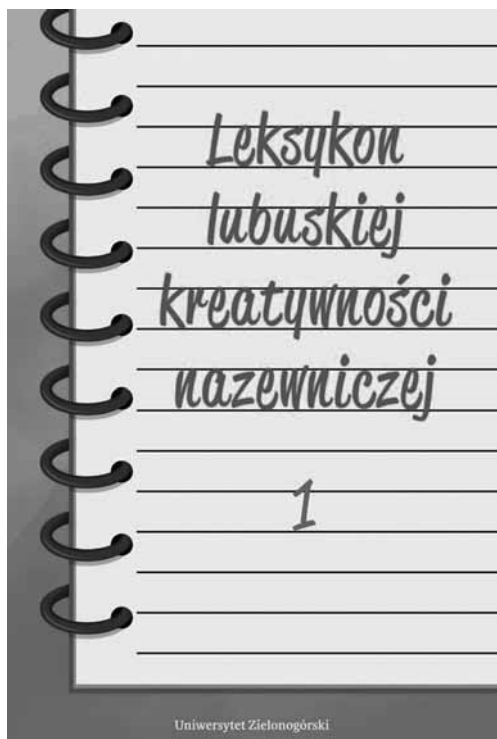
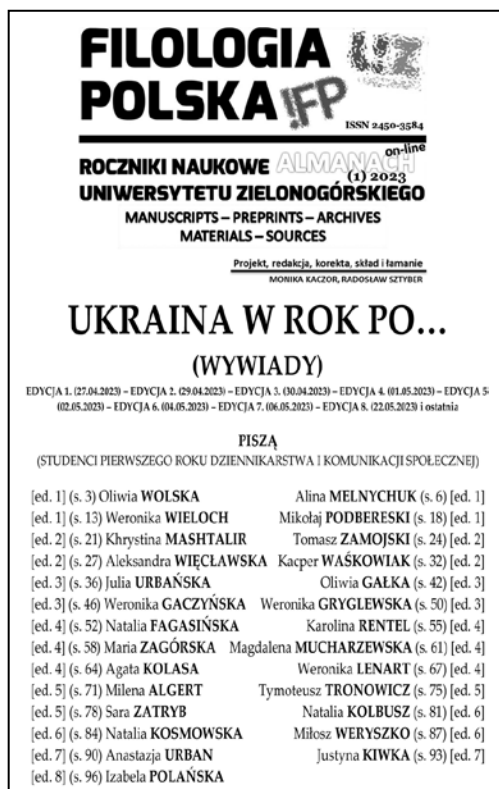
Z kolei szansą na pierwsze szlify naukowe jest *Leksykon lubuskiej kreatywności nazewniczej*, powstały również jako pokłosie zajęć, tym razem z kultury wypowiedzi dziennikarskiej. Autorami są studenci drugiego roku diks (w roku akademickim 2022/2023), czyli grupa, która rok wcześniej pisała *W lustrze snów*. W tym wypadku zadanie nie było już literackie, lecz językoznawcze, a polegało na przeanalizowaniu nazw własnych funkcjonujących w lubuskiej przestrzeni. W recenzji tomu dr Kaja



³ Tamże, s. 9.

Rostkowska-Biszczanik stwierdziła: „*Leksykon lubuskiej kreatywności nazewniczej* winien dotrzeć nie tylko do Lubuszan, ale i poza wojewódzkie granice jako inspiracja dla studentów, by krytycznie i świadomie przyglądać się funkcjonowaniu języka w różnych obszarach komunikacji. W końcu każda mapa pomaga w lepszej orientacji w przestrzeni, a czasami nawet pomaga znaleźć skarb. Może jest nim polszczyzna?”⁴. Recenzentka podkreśliła krytyczny i uważny ogląd skomercjalizowanej rzeczywistości przez młodych badaczy. Tytuł – pomyślany jako wydawnictwo ciągłe – to flagowa inicjatywa Zakładu Dziennikarstwa i Nauk o Mediach działającego w Instytucie Filologii Polskiej UZ. Oznacza to, że kolejne roczniki mają szansę kontynuować tworzenie leksykonu w ramach zajęć z kultury wypowiedzi dziennikarskiej.

Jeszcze w tym roku został opublikowany pod auspicjami „Roczników Naukowych UZ. Filologia Polska” almanach *Ukraina w rok po...* Wypełniają go teksty powstałe na zajęciach ze stylistyki dziennikarskiej, realizowanych z pierwszym rokiem diks (tj. grupa odpowiedzialna za *29 podejrzanych*). Tym razem studenci przeprowadzili wywiady z osobami z Ukrainy rok po wybuchu wojny, również – ze swoimi rówieśnikami, którzy podjęli studia w Polsce. Obywatele Ukrainy opowiadają o życiu sprzed i po 24 lutego 2022 roku, także o tym, jak obecnie radzą sobie w Polsce. Studenci zmierzli się z konkretnym gatunkiem prasowym, jakim jest wywiad, ale przede wszystkim z ciężarem opowiadanych historii. Odczytanie zbioru tekstów jako świadectwa czasu i jednostkowych losów na tle trwającej w Ukrainie wojny wydaje się szczególnie istotne



⁴ K. Rostkowska-Biszczanik, [w:] *Leksykon lubuskiej kreatywności nazewniczej*, [praca zbiorowa], Zielona Góra 2023, s. [4] okładki.

(autorzy wywiadów razem ze swoimi respondentami wypełniali oświadczenie potwierdzające, że materiał jest autentyczny). Przygotowaniem almanachu (projekt, redakcja, korekta, skład i łamanie) zajęli się Monika Kaczor i Radosław Szyber, a jest on dostępny na stronie internetowej „Roczników”⁵.

Prof. M. Kaczor angażuje studentów do wspólnej pracy, która powinna być cennym doświadczeniem dla młodych/przyszłych dziennikarzy, dodatkowo pozwalającym poznać w praktyce, czym jest zarówno sam proces twórczy – literacki, naukowy, dziennikarski – jak i proces wydawniczy: od pomysłu po produkt finalny. A i na tym się nie kończy. Organizowane są promocje, które z kolei wspiera WiMBP im. Cypriana Norwida i Biblioteka Uniwersytetu Zielonogórskiego. Spotkania z autorami *Piętnastu czarnych sukienek* (22 maja 2022 roku) i później *W lustrze snów* (13 stycznia 2023 roku) odbyły się w mediotece Góra Mediów, moderowała je Magdalena Faron. Kolejną promocję *W lustrze snów* (16 grudnia 2022 roku) w Bibliotece Uniwersyteckiej UZ) poprowadziła Kaja Rostkowska-Biszczyńska. Te spotkania autorskie też pokazują, jaką satysfakcję młodym autorom daje fakt opublikowania swojego tekstu, zaś same książki od momentu ukazania się drukiem żyją własnym życiem w obiegu czytelnicznym. I w tym miejscu można by już na indywidualnego odbiorcę scedować ocenę pracy poszczególnych autorów.

*

W niniejszym numerze publikowany jest tekst Weroniki Lenart. Tu – jako samodzielne opowiadanie *Droga odkupienia*, zaś w 29 podejrzanych – to 27. rozdział.

⁵ Zob. <http://www.rocznik.ifp.uz.zgora.pl/index.php/fprnuz/almanach>.



Julia Kowalska

Droga odkupienia

Mrok. Moje oczy widzą tylko mrok, nie są już w stanie rozszyfrować, co jest rzeczywistością, a co urojeniem. Usta sięgają zamęt, przez co każdy, kto usłyszy mój głos, uważa mnie za obłąkaną. Uszy słyszą jedynie szepty za plecami, które kontrolują każdy mój ruch. A gdy się obracam, nie widzę żywego człowieka, lecz cienie, które mówią mi o zgubie. O tym, że wewnętrznie jestem już martwa, że nie ma dla mnie ratunku. Moja dusza tak rozpaczliwie płacze. Chce się uwolnić z tego ciała, które wydaje się najgorszym więzieniem. Ale czuję, jakby mieszkaly we mnie dwa demony, które toczą wojnę o moje wnętrze. Jeden chce mej zguby, pragnie, abym zniknęła z powierzchni ziemi. Rozpłynęła się tak, aby nigdy nie musiał ponownie ujrzeć mojej twarzy. Czuję w jego intencjach nienawiść, której nie potrafię uzasadnić, a pomimo tego tak rozpaczliwie się z nim zgadzam. Drugi trzyma mnie przy życiu, bo śmiesz go to całe przedstawienie. Lubi oglądać, kiedy cierpię i najchętniej znęcałby się nade mną wieki, abym tylko zapewniła mu upragnioną rozrywkę. Wykrzywia swoją twarz w uśmiechu za każdym razem, kiedy widzi moje łzy, a w tym momencie zaczynają spływać po policzku. Jednak pomimo tego mój wzrok jest pusty. Oczy zapadnięte, nie przypominają już człowieka, a jakby jedynie zjawę, która szuka oczyszczenia. Kroki, które stawiam, z każdym pokonanym stopniem schodów stają się coraz cięższe. Ruchy wydają się nieludzkie, podobne do trupa, który dopiero co powstał z martwych i podejmuje swoją ostatnią podróż. Podróż, która ma odkupić jego duszę. Czuję się jak skazaniec, który już tak bardzo pragnie zbawienia. Mój kat czeka na samym szczycie. Stopy coraz wolniej unoszą się nad ziemią, co sprawia, że moim ciałem rządzi niemoc i pustka. Każdy stopień jest jak cierń, który wbija się w serce, nie dając zapomnieć, dlaczego kieruję się na dach budynku. Myślałam, że demon z czasem odejdzie, da mi spokojnie egzystować. Jednak demony niecierpliwie mnie obserwują. Oceniają każdy krok. Każdy błąd. Każdą porażkę. Nie dając nigdy cieszyć się ze zwycięstw. Teraz już nawet nie wierzę, że one istnieją. Przepadły, jak moja dusza. Dlatego tak boję się codzienności. Mój oddech jest coraz cięższy. Myśli szaleją w mej głowie. Charakterystyczna woń stęchlizny zaczyna się pogłębiać. Podróż chyli się ku końcowi. Tam, na górze jest mój wyczekiwany raj. Upragniona utopia, której od momentu opętania umysłu tak bezlitośnie pożądałam. Kiedy nareszcie stawiam ostatni krok w tej podróży, pierwszy raz kieruję ku górze do tej pory wbite w podłogę oczy. Wypatruję wyjścia. Pomieszczenie, w którym się znajduję, pogrążone jest w półmroku, dlatego moje źrenice są rozszerzone. Ściany pokryte pleśnią wydzielają cholernie duszący zapach, który z każdym wdechem pozbawia mnie sił. Rozglądam się, próbując znaleźć drogę wyjścia. Na końcu korytarza rozciąga się mała strużka światła. Przyciąga mnie. Stawiam ku niej ostrożne kroki, które niespodziewanie zaczynają boleć. Opadam z sił. Dopiero teraz zauważam, że moje nogi się trzęsą. Jakby zaczynały siać w mej głowie niepewność. Odpycham te myśli, skupiając się na celu podróży. Kiedy jestem wystarczająco blisko, staram się po omacku znaleźć klamkę. Chwytam pewnym ruchem i gwałtownie naciskam. Mrużę oczy, kiedy dociera do nich niewielka ilość światła. Pomimo nocy na zewnątrz panuje półmrok, który przyprawia mnie o dreszcze. W powietrzu unosi się ciężar oczekiwania i nadchodzącej rewolucji. Jakby czekało tu na mnie przeznaczenie, pospieszając do ostatecznego czynu. Znajduję się na dachu opuszczonego budynku, którego przez lata nikt nie używał. Nie ma tu-

taj już nawet żadnej barierki. Niczego, co mogłoby mnie uratować. Jestem prawie pewna, że żadna żywa dusza nie odważyłaby się nawet tu zajrzeć. To miejsce swoim wyglądem aż krzyczy „uciekaj”. Podchodzę bliżej krawędzi. Gdy widzę odległość od szczytu budynku do ziemi, miękną mi nogi i tętno zaczyna przyspieszać. Przełykam głośno ślinę i stawiam kolejny krok, który sprawia, że od krawędzi dzieli mnie jedynie dwadzieścia centymetrów. Biorę głęboki wdech, zamykam oczy i wyciszam umysł. „To właśnie moment, na który czekałaś”, odpowiada mi demon. Czuję jego wzrok na sobie. Wiem, że dogląda każdego mojego ruchu. Wciąż z zamkniętymi oczami wysuwam stopę i po omacku staram się poczuć krawędź. Sprawia to, że tracę równowagę i niewiele brakuje, by moja śmierć, zamiast samobójczego czynu, stała się jedynie żalonym wypadkiem. Jak dobrze, że nikt nie widzi tego dziecinnego wyczynu. Moje serce wali jak oszalałe, aż czuję, że nie jestem w stanie miarowo oddychać. Staram się łapać w płuca najwięcej tlenu, jak to tylko możliwe, a i tak czuję, że moja wizja zaczyna się rozmywać. Ostatkiem sił biorę głęboki wdech, stoję pewniej na nogach i rozkładam ręce szeroko na boki. Czuję się, jakbym stała na piedestale ludzkości. Jakby celem mojej podróży było, aby wszyscy mogli podziwiać moją śmierć. Jak bohater, który ofiarując swą śmierć, miał zbawić setki żyć. Chciałabym, żeby ta wizja była prawdziwa, żeby moja śmierć naprawdę miała sens, wyższy cel. Ale tak naprawdę na dachu budynku stoi dziewczyna, której śmierć nie wzruszy żadną istotą. To będzie uczucie, jakby kropla spadająca z nieba wtopiła się w ziemię i stała się z nią jednością. I już nigdy nikt jej nie znajdzie. Wykrzywiam twarz w grymasie cierpienia, gdy o tym pomyślę. Tak bardzo chciałabym coś dla kogoś znaczyć. Chcę poczuć ból, chcę pozbyć się bólu. Chcę zarazem czuć wszystko, lecz nie potrafię czuć nic. Do tej pory jedynie cierpienie przypominało mi, że wciąż istnieję. Sięgam do kieszeni po żyletkę, która zawsze mi towarzyszy. Codziennie jest obok mnie. Jest mi najbliższa. Jej ślady będą ze mną już do końca. Spoglądam na nią, równocześnie widzę odległość dzielącą mnie od ziemi. Niestety, zdaję sobie sprawę, że niepokój, który czułam, odnajdując drzwi na dach, nie opuszcza mnie. Tak bardzo chciałabym ulgi, zapomnienia. Ale czuję, że jestem zbyt słaba, zbyt tchórzliwa. „Zrób to, przecież i tak nie masz dla kogo żyć”, odpowiada demon, chcący mej zguby. „Przeżyłaś tę drogę, bo masz cel do spełnienia. Trzymaj się go”. Zamknij się, przestań się wtrącać. Dokładnie to chciałabym mu odpowiedzieć, ale głosy nigdy nie cichną, czegokolwiek bym nie zrobiła. Mam dość. Przestańcie, błagam. Zakrywam uszy rękami, chcąc chociaż na chwilę przestać słyszeć ich głosy.

– Mam dla kogo żyć! Jest przecież ona! – wykrzykuję, chwytając mocniej żyletkę. Przykładam ją do szyi. Stanowczym ruchem podcinam nią szyję, wydając z siebie głuchy krzyk. Moje ciało bezwładnie oddala się od krawędzi.

Miłość. Dziecko bez miłości i kontaktu fizycznego w najmłodszych latach rozwoju umrze. Lub nie będzie w stanie funkcjonować jak rówieśnicy, którzy otrzymali ten dar od losu, jakim jest druga osoba, pomagająca w rozwoju, troszcząca się. Ja przeżyłam, lecz mój dar odszedł. Teraz doglądają mnie tylko dwa demony, które siedzą na mych ramionach. Nikt inny. Nie mam dla kogo wstać z łóżka. Jedynie wytwór mej wyobraźni, który wciąż potrzebuje rozrywki, zmusza mnie do ciągłej walki. Jednak od zdarzenia na dachu codziennie jest przy mnie blizna, która już do końca życia będzie mi przypominać o tym żalonym czynie, którego chciałam dokonać. Żałuję, że mi się nie udało. Teraz, cztery miesiące później, blizna zrobiła się już bledsza, jednak jej wypukłość na szyi jest wciąż widoczna i wyczuwalna. Na moje nieszczęście, rana nie pozbawiła mnie wtedy przytomności i jak żalony pies z podkulonym ogonem zeszłam o własnych siłach z pola bitwy. Tym razem przegrałam tę walkę. Blizna wykluczyła mnie ze społeczeństwa. A ja nie mam nawet siły, żeby ją zakrywać. Szczere mam to gdzieś, jak wygląda moje ciało. Ludzie patrzą na mnie z odrazą i nie pytają, co się stało. Wszyscy omijają mnie szerokim łukiem, jakbym była zarazą, której dotknięcie sprawia, że ciało gnije. Dlatego jeszcze głębiej wewnętrznie umieram. Na uczelni mam renomę wariatki. Gdy tylko przechodzę korytarzem, szepty za plecami stają się coraz głośniejsze. Nigdy nie opuszczają mej głowy, są wewnątrz i na zewnątrz. Biorę głęboki wdech, starając się zebrać myśli. Czasami, gdy nie mam

siły, żeby uczestniczyć w ćwiczeniach, siedzę w kącie korytarza i czytam książki. I tak właśnie robię od samego rana. Jakbym starała się wtopić w tło i choć na chwilę poczuć się niewidzialna. Niestety rzadko się to udaje, ponieważ blizna jest zbyt widoczna, żeby przejść obok niej obojętnie. Jeszcze do niedawna były to zazwyczaj oczerniające uwagi lub beczelne śmiechy. Dzisiaj na uczelni jest inaczej. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, kiedy idę korytarzem. Wszyscy wydają się poruszeni i spanikowani. Wzrokiem wodzę dookoła, jednak nie znajduję żadnego źródła zamieszania. Spora część studentów kieruje się w stronę wyjścia.

– Ona tam jest. Na zewnątrz – mówi z przerażeniem i jakby przez mgłę brunetka o błękitnych oczach. Nie znam jej. Nie mam też pojęcia, o kim mówi. Kieruję się ku wyjściu i szukam tej domniemanej „jej”. Zaskakuje mnie błysk świateł karetki oraz wozu policyjnego. Mrużę oczy pod wpływem światła, ale nic nie rozumiem. Co tutaj się dzieje? Jak wiele zdarzyło się podczas zajęć, które ominęłam? Jeszcze rano, kiedy wchodziłam przez drzwi główne, nikt oprócz nałogowców tutaj nie stał. Wszystko wydawało się być w zwykłym porządku. Zauważam ludzi z mojej grupy. Kilka dziewczyn płacze. Przytulają się do siebie, starając znaleźć pocieszenie. Podchodzę do jednej z nich i pytam:

– Co tu się dzieje? Skąd to zamieszanie? – Blondwłosa odwraca się do mnie i w jej oczach natychmiast pojawia się pogarda. Marszczy brwi i przewraca oczami, jakby rozmowa ze mną to było ostatnie, co chciałaby w tym momencie robić. Nie wzrusza to mnie kompletnie. Widziałam już gorsze reakcje. Jak krzyki, gdy ludzie obserwują moją szyję. Szczepnie mówiąc, czasami wydaje mi się to zabawne. Jakbym była czarnym charakterem, który wzbudza we wszystkich strach i respekt. No dobrze, z tym ostatnim przesadziłam, ale pierwsze idealnie pasuje.

– Gdybyś była na zajęciach, nie musiałabym z tobą zamieniać ani słowa. A tak, to zobacz, do czego jestem zmuszona. – Wzdycha aż nazbyt dramatycznie. – Laura nie żyje. – Mózg powoli przyjmuje tę informację do siebie. Moje oczy ciemnieją, a powieki lekko opadają, gdy dochodzą do mnie te słowa. Puls zaczyna przyspieszać. – Jest podejrzenie, że ktoś zepchnął ją z dachu. Patrząc na to, że nikt nie widział cię na zajęciach, nie zdziwiłabym się, gdybyś była to ty. – Stwierdza, robiąc lekki krok w tył. – O dziesiątej rozpoczną się przesłuchania podejrzanych z naszego kierunku. Każdy ma obowiązek się stawić. Nawet ty, kretynko – oznajmia, ofiarując mi jeden ze swoich najbardziej pokazowych, szyderczych uśmiechów, jakie widziałam. Nie wiem, czy mówi do mnie coś więcej. Mój umysł jest już w transie. Oczy pusto patrzą przed siebie. Wszystkie szумы, zapachy i światła w jednym momencie całkowicie zniknęły. Teraz liczyła się tylko ta jedna informacja. Laura jest martwa. Dusza, dla której jeszcze do niedawna żyłam, odeszła. Na mojej twarzy pojawia się uśmiech, który w połączeniu z pustymi oczami sprawia wrażenie, jakbym postradała zmysły. Ale właśnie tak jest. Zatraciłam swoje człowieczeństwo. To jest uczucie, jakby pewien diabeł pobłogosławił mnie tą wiadomością. Jakby nareszcie coś dobrego miało wydarzyć się w moim życiu. Jeszcze niedawno moją reakcją byłby żałosny płacz na podłodze, lecz nie tym razem. Nie po tym, co mi zrobiła.

Człowieczeństwo. Co to właściwie jest człowieczeństwo? Czy człowiek, który cieszy się ze śmierci drugiej osoby, ma jeszcze je w sobie? Czy jest jakieś usprawiedliwienie, którego mogłabym użyć, wypowiadając prawdę na głos? I jeśli ta myśl wyklucza moje człowieczeństwo, co mi jeszcze pozostało? Pewnie po tym sama zamieniam się w demony, jak te, które żyją na moich ramionach. A tak cholernie ją kochałam. Byłabym nawet w stanie sprzedać duszę diabłu, aby tylko odwzajemniła moją miłość, zapłacić najwyższą cenę, nawet doszczętnie zatracić się w swoim umyśle, gdyby tylko przyszło nam złączyć usta w pocałunku. Wierzyłam, że jesteśmy takie same. Obserwując ją z daleka, zawsze dostrzegałam w jej oczach ten sam ból, który występował w moich. Wydawała się moją bratnią duszą. Kobiętą mi przeznaczoną. Lecz nie mogłam mylić się bardziej. Okazała się zmiłą, tak jak wszystkie inne otaczające mnie gnidy. Liczę na to, że wcale nie znalazła upragnionego raju. Mam nadzieję, że cierpi nawet gorzej niż ja. Bo właśnie na to zasługuje po naszym jedynym spotkaniu twarzą w twarz.

Miesiąc wcześniej

Nadzieja. To właśnie czułam, gdy dowiedziałam się o imprezie organizowanej przez ludzi z mojego kierunku. Jako pogrążona w sobie introwertyczka, która przy okazji jest niepoczytalna, nigdy nie byłam fanką ani imprez, ani innych osób. Zwłaszcza tych debili. Jednak tym razem przyszła mi do głowy myśl, jak mogę wykorzystać tę sytuację na swoją korzyść. Jak nareszcie zbliżyć się do Laury. Wykorzystam szansę i rozkocham ją w sobie. Moim ciałem przechodzi przyjemny dreszcz oczekiwania, gdy tylko o tym myślę. Niedługo będzie moja. Nie przyjmuję nawet słowa „nie”, bo wiem, że nasze dusze są sobie przeznaczone. Wiem, że gdy tylko usłyszy mój głos, oszaleje na moim punkcie. To będzie jak rozkosz, której tak bardzo mi brakowało całe życie. Jakby te lata cierpienia miały być nareszcie wynagrodzone. Ręce wręcz zaczynają drżeć z podniecenia, tak bardzo tego pragnę.

– Nareszcie będziemy razem – wyszeptuję, szczerząc zęby.

Jedynym problemem, jaki napotykam, jest mój wygląd. Nie może mnie poznać, bo wtedy cała gra będzie spalona. Potrzebuję przebrania, ale już dawno wszystko przemyślałam. Cały plan długo krążył w mojej głowie, a teraz jestem nareszcie w stanie go zrealizować. Podchodzę do szafy w poszukiwaniu ciemnoniebieskiej peruki, która różni się kompletnie od moich naturalnych, mysich włosów. Z wyglądu wcale nie należą do najbrzydszych, ale blizna na szyi wystarczająco mocno mnie szpeci, żebym mogła nazywać siebie szkaradą. Poza tym w moich oczach i tak jestem nikim. Z blizną czy bez, nienawidzę siebie. Dlatego dziś narodzi się nowe życie. Tej nocy Weronika umiera, a rodzi się Jinx. Stworzenie, które pozwoli mi przypieczętować cel. Dziś gram jedynie rolę, jak postać teatralna. Rolę pewnej siebie, pięknej istoty, która jest w stanie zawładnąć sercem mojej wybranki. Jestem pewna, że kiedy wytłumaczę Laurze, co mną kierowało, wszystko mi wybaczy. Będzie wiedziała, że zrobiłam to z czystej miłości do niej. To tylko i wyłącznie dla jej dobra, aby nareszcie nasze smutne oczy połączyły się w jedność. Wkładam na siebie uprzednio przygotowaną czerwoną obcisłą sukienkę pokrytą brokatem, który mieni się w kontakcie ze światłem. O dziwo, dobrze wygląda na mojej filigranowej sylwetce, połączona z peruką. Aby dokończyć dzieła, zakładam na szyję czarny matowy choker, który idealnie zakrywa bliznę, sprawiając, że staje się ona niewidzialna dla nieświadomych jej osób. Gdy tylko Laura mnie zobaczy, pewnie rzuci mi się na szyję z wrażenia. Uśmiecham się dumnie, będąc pewna powodzenia tego planu. Po nałożeniu lekkiego makijażu jestem gotowa do wyjścia. Staję przed lustrem i oglądam efekt końcowy. Ani trochę nie przypominam siebie. Jakbym była obcym człowiekiem. Jinx jest kompletnym przeciwieństwem mnie. I tak właśnie tej nocy mam się zachowywać. Jedynie mam nadzieję, że nie zatracę swojego poprzedniego wcielenia. Że będę w stanie odzyskać Weronikę z powrotem i Jinx nie pochłonie mojego umysłu dla siebie.

Trzydzieści minut później docieram pod ustalony adres. Już z daleka słysząc, że to tutaj. Głośnie muzyka wręcz dudni, sprawiając, że moje ciało wibruje. Nie do końca czuję się pewnie wśród dużych zbiorów ludzi, lecz dla Laury jestem w stanie poświęcić wszystko. Jinx nie przejmuje się czymś takim jak stres, więc z podniesioną głową wchodzę przez drzwi wejściowe, sprawiając, że wszystkie oczy skierowane są na mnie. Moje serce zaczyna przyspieszać, a oddech staje się coraz szybszy. Co jeśli ktoś mnie rozpozna? Wtedy cały plan legnie w gruzach. Przewracam oczami, kiedy znowu wątpliwe myśli wkradają się do mojego umysłu. Wczuj się w rolę, idiotko. Utrzymanie na wodzach dwóch osobowości już okazuje się niełatwym zadaniem. Ludzie zaczynają komentować moje wejście, jednak przez muzykę nie jestem w stanie nic usłyszeć. Wydają się zainteresowani nową twarzą. Przez moje ciało przechodzi dreszcz, kiedy czuję na sobie pewien nieprzyjemny wzrok. Jakby ktoś przecinał mnie wzrokiem na wskroś. Rozglądam się dookoła, starając się znaleźć źródło. Większość obecnych tutaj ludzi kojarzę ze studiów. Jednak nie interesują mnie teraz oni. Dzisiejszej nocy liczy się tylko moja kobieta. Na szczęście wygląda na to, że nikt nie rozpoznał we mnie Weroniki, ponieważ nie słyszę dookoła żadnych krzyków czy szyszających śmiechów. Rozglądam się, szukając ukochanej. Jednak jedyne, co widzę, to rażące kolorowe światła i ludzi o wiele zbyt pijanych, niż

są w stanie to znieść. W powietrzu unosi się zapach wódki i papierosów. Marszczę przy tym nos, bo nienawidzę obu z tych rzeczy. Jedynym nałogiem, któremu się oddaję, jest ból. Kiedy zyletka przesuwana się po nadgarstkach, to jakby tlen wlewał się w moją duszę, dając ukojenie. Reszta używek nie interesuje mnie w żadnym stopniu. Niestety, aby przetrwać dzisiejszy wieczór, muszę się napić. Kieruję się w stronę stołu, na którym stoją kieliszki z shotami. Biorę dwa do rąk i dwukrotnie przechylam głowę, pozwalając, aby palący napój spłynął po moim gardle. W pewien sposób sprawia to ból, co zaczyna mi się podobać. W tym samym momencie nieznajome dłonie łapią mnie od tyłu za talię i przyciągają do siebie. Moje całe ciało sztywnieje, kiedy ktoś przykładą swoje usta do mojego ucha.

– Co taka ślicznotka robi na imprezie całkiem sama? Jeśli się nudzisz, jestem pewien, że byłbym w stanie zapewnić ci rozrywki – bełkocze jakiś męski głos, przyciskając swoje krocze do moich pośladków. Moje ciało wręcz wrze z gniewu. Oczywiście natychmiast pokrywają się mrokiem i już jedyne, o czym myślę, to o chęci jego śmierci. Gwałtownie obracam się i wymierzam natrętowi najsilniejszy policzek, jaki jestem w stanie. Ciężko oddycham, patrząc na swojego obleśnego oprawcę. Moja ręka pulsuje.

– Właśnie dlatego nienawidzę mężczyzn. Jesteście tylko bandą napaleńców, którzy jedyne o czym myślą, to gdzie włożyć swojego penisa – cedzę przez zęby, patrząc na niego z pogardą. Mężczyzna dopiero po chwili zdaje sobie sprawę z tego, co się stało. Lekko pociera dłonią policzek, analizując całe wydarzenie. Powoli odwraca się w moją stronę, a na jego twarzy zaczyna rodzić się furia. Jednak w mojej głowie nie ma ani cienia żalu za to, co zrobiłam. Mężczyzna marszczy brwi, po czym gwałtownie rzuca się na moją szyję, pozbawiając mnie oddechu. Jego dłonie coraz mocniej zaciskają się na mojej krtani, sprawiając, że mam ochotę łapczywie złapać tlen. Szarpnię go, ale jego silne ręce nie chcą odpuścić. Jak na pijanego faceta jest silny jak cholera.

– Jak śmiałaś, ty głupia babo!? Zaraz odszczekasz wszystko, co powiedziałaś. – Uścisk na szyi sprawia, że powoli przestają dochodzić do mnie jego słowa. Moja wizja zaczyna się rozmywać. Coraz bardziej opadam z sił. Jakie to żałosne. Jeszcze parę miesięcy temu myślałam, że przyjdzie mi samej odebrać swoje życie, a teraz okazuje się, że odbierze je jakiś obleśny, pijany gość. Chyba nie mógłby mnie spotkać bardziej żałosny koniec. Jednak niespodziewanie sytuację przerywa znajomy głos.

– Dość tego! Zostaw ją, do cholery jasnej, zaraz ją zabijesz. – Mój umysł nie jest jeszcze w stanie kontaktować, więc nie widzę mojej wybawczyni. Ręce oprawcy rozluźniają się na mojej szyi. Wraca przepływ powietrza, zaczynam okropnie kaszleć, starając się złapać tlen. O Boże, jeszcze chwila i byłoby po mnie. Nogi odmawiają posłuszeństwa, powolnie opadam na kolana. Po chwili uspokajam się i umysł zaczyna się klarować. Biorę kilka głębokich wdechów, po czym spoglądam na kobietę, która mnie uratowała. Moje serce na chwilę gubi swój rytm. Przeznaczenie. To właśnie moje przeznaczenie stoi przed moimi oczami. To jest ten moment, na który tak długo czekałam. Nareszcie jest moja.

– Chodź, słońce. Musimy się stąd wydostać. Potrzebujesz świeżego powietrza. – Laura delikatnie chwytając moją rękę, sprawiając, że umysł kompletnie zapomina o otaczającym mnie świecie. To nasz pierwszy kontakt fizyczny. Czuję, jakby moje serce miało zaraz wyskoczyć z piersi. Laura pomaga mi wstać z kolan, szepcze coś do obcego mi wysokiego mężczyzny, stojącego obok, po czym prowadzi mnie na piętro, gdzie po paru schodach odnajdujemy wyjście. Styczniowy wiatr sprawia, że do moich płuc przedostaje się rześkie powietrze, dając ukojenie. Jednak wciąż nie dochodzi do mnie, co się właściwie dzieje. Moja ukochana rzeczywiście sama do mnie przyszła. Jak tylko mnie zobaczyła, podała mi dłoń. Sama zrobiła pierwszy krok. To uczucie, jakby właśnie przed chwilą wyznała mi miłość i oznajmiła, że spędzi ze mną resztę życia. Wszystko idzie po mojej myśli. Jestem tak podekscytowana. Już zawsze będziemy razem. Pomimo natłoku myśli, które kłębią się w mojej głowie, staram się zachowywać spokojnie. Nie wzbudzać na razie podejrzeń. Dopóki nasze usta nie złączą się w pocałunku, pieczętując tę miłość.

– Jak się czujesz? Co tam właściwie się wydarzyło? – pyta z nieudawaną troską w głosie. Tak jak myślałam. Troszczy się o mnie, co świadczy o jej głębokiej miłości do mnie. Cichy śmiech demona rozlega się w mej głowie, jednak szybko go uciszam. Ta sytuacja to czyste przeznaczenie.

– Ciężko stwierdzić. Napalenie, który mnie napada, to nieczęsta dla mnie sytuacja. Ani mój umysł, ani ciało nie doszły jeszcze do siebie – stwierdzam szczerze, wystawiając przed siebie dłoń trzęsącą się z powodu jej obecności. Kiedy zdaję sobie sprawę, że bacznie mi się przygląda, mam ochotę w tym momencie ją pocałować i uczynić moją.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało. Gość nieźle przesadził z alkoholem. Już na dole poprosiłam znajomego, żeby go stąd wyrzucił – mówi, pocierając swoje skronie opuszkami palców, ukazując zestresowanie. – Nie chciałam, żeby komukolwiek stała się tu krzywda. Przepraszam. – Na mojej twarzy pojawia się zdziwienie, gdy to słyszę.

– Czemu mnie przepraszasz? Przecież to ja wpakowałam się w kłopoty. Już czuję się lepiej. – Obdarowuję ją jednym z najbardziej pokazowych uśmiechów, jakie mam w swojej kolekcji. Chcę, żeby uwierzyła w moje szczerze intencje. Że wszystko, co się wydarzy tej nocy, jest dla jej dobra. Laura lekko się uśmiecha, a jej zielononiebieskie oczy w nocnym świetle wydają się błyszczeć. To właśnie moja kobieta.

– Wierzę ci na słowo. – Robi małą przerwę, wypowiadając te słowa. – Chyba nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy – zakłada nieświadomie. Ja za to znam cię bardzo dobrze. Codziennie cię obserwuję. Wszystko, aby cię chronić. – Tak właściwie, jak masz na imię?

– Jinx – odpowiadam po chwili namysłu. Laura lekko się śmieje, słysząc moją odpowiedź.

– Jinx? Jak ta postać z „League of Legends?” – Uśmiech wciąż nie znika z jej twarzy. Dla tego widoku mogłabym przeżywać każde cierpienie raz za razem, przez całą wieczność. To wynagradza cały mój wysiłek. – No tak, twoje włosy wiele tłumaczą. W takim razie, Jinx, opowiedz mi, co tak właściwie robisz na tej imprezie? Nie wierzę, że przyszedł tutaj, żeby szukać towarzystwa na jedną noc. – Mruży oczy, patrząc na mnie, nie kryje przy tym zaciekawienia. To jakbym śniła na jawie. Jakby wszystkie moje pragnienia jednej nocy miały się ziścić. Nieświadomie robię krok w jej stronę, aby być czuć jej obecność jeszcze bliżej. Nasze ciała dzieli już tylko półtora metra. Czuję, jak moje ciało zaczyna się lekko trząść z natłoku emocji. To tak jakbyśmy w tym momencie liczyły się tylko my i nasza miłość. Jakby na tej planecie nie istniał nikt oprócz naszej dwójki, a jedynym obserwatorem był księżyc i jego blask, który nas oświetla. Prawie zapominam o jej pytaniu. Lekko wpatruję się w nią, w jej usta. Skup się, Jinx.

– Szczerze, szukałam kogoś. – Chcę pozostać tajemnicza, nie wzbudzać na razie podejrzeń. Nie chcę spłoszyć mojej ukochanej.

– Ach tak? W takim razie przeszkodziłam ci w poszukiwaniach? – Lekko przechyla głowę w bok, ukazując kawałek swojej szyi. O cholera. Czy ja w jej głosie słyszę cień flirtu?

– A co, jeśli ty byabyś osobą, której szukam? – obniżam swój ton głosu. Staram się podejść jeszcze o krok bliżej, żeby sprawdzić, na jak wiele jest w stanie mi pozwolić. Laura wciąż nie rusza się z miejsca, co daje mi zielone światło do działania. – Szczerze, jesteś bardzo w moim typie. – Wysuwam rękę, sprawiając, że moja dłoń muska jej policzek. Dziewczyna lekko przymyka oczy przy naszym kontakcie. Chwyta za rękę i sprowadza ją w dół, jednak ani na chwilę jej nie puszcza.

– Jesteś urocza, ale na razie skupmy się na twoim zdrowiu, dobrze? – Pochyla się w moją stronę i delikatnie całuje mnie w policzek. Moje nogi o mało nie ugięły się, gdy poczułam jej usta na swoim ciele. Nie wiem, czy będę w stanie się powstrzymać. Serce bije tak gwałtownie, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Moje usta pragną połączyć się z jej wargami. Biorę głęboki wdech, chcąc kontrolować sytuację. Wszystko idzie po twojej myśli, uspokój się.

– Niestety, niepokoi mnie jedna rzecz. Twoja szyja jest cała czerwona. Od nacisku tamtego mężczyzny zaczęła robić się wręcz sina. Trzeba przyłożyć lód.

– Spokojnie, to nie będzie konieczne. Moje rany szybko się goją. Nawet nie czuję bólu – mówię zgodnie z prawdą, jednak z tytu głowy boję się, że jeśli zdejmie mi choker i dowie się, kim jestem, odrzuci mnie. Nie. To niemożliwe. Pokazała mi tej nocy wiele dowodów swojej miłości i myślę, że jest gotowa na tę wiadomość. W końcu mnie kocha i przypieczetowała to pocałunkiem.

– Nie ma mowy. Musimy przemyć twoją ranę i nieważne, czy czujesz ból, czy nie, twoje ciało jest rane. – Kręci głową z niezadowolenia. – Zaraz pójde po coś do zdezynfekowania miejsca. Najpierw musimy pozbyć się chokera, żeby zobaczyć rzeczywistą ranę. – Przykłada ręce do mojej szyi, chcąc go ze mnie zdjąć. Pozwalam jej na to. Czas nadszedł. Wszystko będzie dobrze. Takie jest nasze przeznaczenie. „Ty głupia, ludzka istota”, odzywa się demon w mojej głowie. O co mu chodzi? Przecież wszystko idealnie się układa. Zaraz wszystko jej wytłumaczę. Na mojej twarzy pojawia się szczerzy uśmiech, kiedy słyszę dźwięk odpinania chokera. Zamykam oczy, kiedy materiał zsuwa się po mojej szyi. To ten moment, na który czekałam.

– Co to do cholery jest?

Gwałtownie kieruję na nią wzrok. Co? O czym ona mówi?

– To ty jesteś tą wariatką z uczelni? – Robi krok w tył, sprawiając, że nasze sylwetki oddalają się od siebie. Marszczę brwi, niczego nie rozumiejąc.

– O czym ty mówisz? Przecież wszystko, co zrobiłaś dla mnie tej nocy, było twoim wyznaniem miłości. Może jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jesteś we mnie zakochana! Nie musisz już tego ukrywać. Kocham cię taką, jaka jesteś.

– Ty chyba jesteś śmieszna. Po co był ten cały teatrzyk? Naprawdę myślisz, że zakochałabym się w takim wyrzutku jak ty?! – podnosi głos. – Chciałam być dla ciebie miła i pomóc, a okazuje się, że przez cały czas byłam oszukiwana. Jesteś żałosna i nie zrównoważona psychicznie, jeśli byłaś w stanie wymyślić coś tak upokarzającego, jak ukrycie swojej tożsamości.

Teraz rozumiem już zbyt wiele. Mrok. Tak dobrze znane mi uczucie. Ono znów pojawia się na mojej twarzy. Oczy pusto patrzą na istotę, która jeszcze chwilę temu była warta mojej uwagi. Teraz jedyne na, co zasługuje, to śmierć. Nie należy się jej nic poza tym. Po tym, co zrobiła, dla mnie jest już martwa. Odepchnęła moją bezgraniczną miłość. Sprzeciwiła mi się. Żałosna kobieta nawet nie wie, w co się wpakowała. Moje usta są w stanie wypowiedzieć szeptem tylko to jedno zdanie.

– Jeszcze pożałujesz, że znieważałaś moje uczucia do ciebie.

Teraźniejszość

Nienawiść. To jedyne uczucie, które po tym, co zrobiła mi ta idiotka, jestem w stanie czuć do niej. W moich oczach jest już skończona. Jej śmierć jest mi kompletnie obojętna. Takie myśli krążą w mej głowie, kiedy docieram na posterunek policji. Cholernie nie chcę tu być. Nawet nie jest mi jej szkoda. Cieszę się, że nie żyje. Nie mam ochoty w żaden sposób pomagać im w znalezieniu sprawcy. Ta dziewczyna pewnie sama jest sobie winna, jeśli z taką łatwością, w ciągu jednej nocy, jest w stanie narobić sobie wrogów. Pewnie wpłatała się w jakieś ciemne interesy i takie są konsekwencje. Tak jak mówiłam. Jeszcze tego pożałuje i jak widać, wszystko pięknie układa się w jedną całość. Moje usta wykrzywiają się w uśmiechu na samą myśl o tym idealnym zakończeniu. Trzeba było nie lekceważyć mojej miłości. Wtedy chroniłabym ją całą sobą. Jednak jej szansa przepadła. Wracam myślami do miejsca zeznań.

Kiedy w końcu odnajduję salę przesłuchań, czuję się nieswojo, jakbym musiała się przed czymś ukryć i nie dać się znaleźć. Korytarz jest słabo oświetlony, przez co dookoła panuje półmrok, a jedyne dźwięki, jakie słyszę, to tykanie zegara. Siadam na ławce przed salą w oczekiwaniu na policjanta. Moje serce jest dziwnie niespokojne. Po chwili oczekiwania drzwi się otwierają. Wychodzi z nich mężczyzna około trzydziestu lat, ubrany w służbowy mundur. Przeraża mnie myśl, że zaraz będę zmuszona do przebywania sam na sam z obcym facetem. Policjant czy nie policjant, to wciąż mężczyzna, który jest nieobliczalny.

– Proszę za mną – mówi niskim głosem, sprawiając, że chcę jak najszybciej opuścić to miejsce.

W sali zeznań panuje taki sam półmrok jak na korytarzu. Pomieszczenie oświetla lampa, stojąca na biurku, która jest jedynym źródłem światła. Nie podoba mi się ta cała ciężka atmosfera, wisząca w powietrzu. Chociaż mój umysł jest już tak przeżarty, że od dawna nie wiem, co w moim życiu jest prawdą, a co urojeniem. Może jednak nic mi tutaj nie grozi i to tylko demony w głowie podpowiadają mi uczucie niepokoju? Co, jeśli tak naprawdę nigdy nie poznałam Laury? Co, jeśli cała sytuacja na imprezie była tylko wymysłem mojej wyobraźni? W tym momencie mojego życia czuję, że mój umysł już kompletnie zatracił się w sobie. Jakby nie było już miejsca, w którym ktokolwiek by mnie przyjął, zaakceptował, naprawił. Po prostu podał pomocną dłoń. No tak, w końcu rodzimy się sami i tak samo umieramy. Zawsze samotnie. Siadam na krześle przy biurku, obserwuję bacznie każdy krok mężczyzny. Dołącza, siadając naprzeciwko mnie. Przy okazji zwraca uwagę na moją bliznę, co sprawia, że staję się bardziej czujny, jakby miał do czynienia z niebezpiecznym zwierzęciem.

– Nazywam się Robert Piskorz. To ja przeprowadzę dzisiejsze przesłuchanie. Została pani wezwana, aby złożyć zeznania dotyczące śmierci pani Laury Przybylskiej. Jest podejrzenie, iż ktoś umyślnie spowodował jej zgon. Chcemy zebrać jak największy materiał dowodowy, aby dojść, kto dopuścił się tego czynu.

Przewracam oczami po usłyszeniu tych słów. Od razu mam ochotę powiedzieć, że nic mnie to nie interesuje i wyjść tymi samymi drzwiami, którymi weszłam.

– Na początku proszę się przedstawić – informuje mnie policjant, stanowczo wbijając we mnie wzrok. Cholernie denerwuje mnie to, że tak bezkarnie może na mnie patrzeć.

– Weronika Lenart – odpowiadam niechętnie, poprawiając się na krześle. Mężczyzna chwyta za długopis i na kartce papieru notuje to, co mówię.

– W porządku. Proszę podać swój adres zamieszkania, datę urodzenia oraz imiona rodziców.

No i co jeszcze mam mu podać? Może obwód w talii? Na co mu te informacje?

– Do czego ci to wszystko potrzebne? Jeszcze imię i nazwisko rozumiem, ale po co mam dzielić się z tobą tak poufnymi danymi? – Zaczyna denerwować mnie ta cała sytuacja. Na twarzy policjanta pojawia się zdziwienie połączone z urazą.

– Po pierwsze, nie jesteśmy na „ty”, młoda damo. Po drugie, to podstawowe informacje i podejrzany jest zobligowany do ich udzielenia – odpowiada mi stanowczym głosem, co jeszcze bardziej mnie irytuje. Nienawidzę, kiedy ktoś ma nade mną władzę, ale nie chcę mieć problemów z policją, więc ostatecznie się zgadzam.

– Mieszkam przy ulicy Wojska Polskiego 30/2. Urodziłam się 18 lutego 2003 roku. Imiona rodziców to Antoni i Żaklina, ale oboje nie żyją – mówię z niewzruszoną twarzą. Ręka mężczyzny zapisuje każde moje słowo.

– W takim razie z kim pani mieszka? – pyta zaciekawiony policjant.

Mierzę go najbardziej nienawistnym spojrzeniem, na jakie mnie stać. Po co się tak wtrąca? Niech wykonuje swoje obowiązki, a nie dopytuje o prywatne życie.

– To już nie jest podstawowa informacja i nie zamierzam nawet na nią odpowiadać. – Wciąż nienawistny wzrok nie schodzi z mojej twarzy. Gość przypomina mi faceta z imprezy, dlatego nie należy mu się ani gram szacunku. Pewnie ma tak samo okropne myśli jak on.

– Dobrze, w takim razie przejdźmy do rzeczy. Co łączyło panią z Laurą Przybylską? – pyta, licząc na odpowiedź.

– Odmawiam składania jakichkolwiek zeznań. Nie chcę być w żaden sposób powiązana z tą sprawą. – Tym razem to mój głos jest stanowczy. Nie miałabym żadnych korzyści z zeznawania mu czegokolwiek. Pewnie jedyne, czego by się dowiedzieli, to że jestem niepoczytalna i wysłaliby na badania psychiatryczne, żeby sprawdzić wiarygodność moich słów. W tym momencie najkorzystniejszą sytuacją jest odwrót. I tak nie jestem już w stanie stwierdzić, co rzeczywiście stało się tamtej nocy. Co, jeśli to nie Laura mi wte-

dy pomogła? Co, jeśli Jinx nigdy nie istniała? Nie wyszła nawet na światło dzienne? Co, jeśli ja nawet nigdy jej nie kochałam? Nie. Tego akurat jestem pewna, bo skąd byłoby to uczucie nienawiści, które do niej żywię po odrzuceniu? To prawdopodobnie też potwierdza, że tamta noc się wydarzyła. Mój oddech staje się płytki. Powietrze w pomieszczeniu z każdym wdechem jest coraz gęstsze, nie jestem w stanie normalnie oddychać. Cholera, ja już naprawdę tracę rozum. Czy ja kiedykolwiek rzeczywiście byłam na dachu budynku, chcąc odebrać sobie życie? Czy rana na szyi naprawdę została zadana przeze mnie? Czy może to ktoś chciał zamordować mnie, tak jak Laurę? Może to sprawka seryjnego mordercy? Moje emocje nagle są na skraju wytrzymałości, a oczy zaczynają piec. Nic już nie rozumiem. Co się ze mną dzieje?

– Czy Laura naprawdę nie żyje?! – Prawie że wykrzykuję do policjanta, podnosząc się z krzesła i uderzając przy tym rękami o biurko. Pojedyncza łza spływa po moim prawym policzku.



Noc nad Rodanem

Pod niebem wciąż
Uśpione miasto
Tym samym snem
Chce znowu zasnąć
Tylko my tu
Idziemy sami
W gwiazdzistą noc
Pod latarniami

Nad nami są
Fale błękitne
Złoci się smuga
Nim znowu zniknie
Czekamy na
Świt purpurowy
Oświećli nam
Ścieżki i drogi

Świat jeden mam
Który też minie
Ludzie i kwiaty
To wszystko płynie
Tylko my wciąż
Idziemy sami
W gwiazdzistą noc
Pod latarniami
Płyniemy tam
Gdzie znów się przyśni
W tę cichą noc
Pod niebem gwiazdzistym
Świat, co wśród fal
Odpływa w dal
To co przepadło
Spłynie jak deszcz, spłynie jak łza
Świat, który ma
W sobie ten blask
To co przepadło
Zapomnij mi

Samotni ludzie

Niektórzy ludzie są wiecznie sami
Samotny duch, samotnych miast
Szukają kogoś wśród miliona gwiazd
A potem znów ruszają w świat

Znów szary świt
Zwyczajnych dni rytm
Zwyczajne myśli
Ten szary bruk
Książka i stół
Znudzone wszystkim

Niektórzy ludzie są wiecznie sami
Samotny duch, samotnych miast
Szukają kogoś wśród miliona gwiazd
A potem znów ruszają w świat

Widzisz, wstaje dzień
Dotykam słów z twych powiek spędzam sen
A potem znów codzienność topi nas
W morzu bezradnych, wyblakłych lat
A przecież wiesz
Szczęście jest tam, gdzie już nie jesteś sam
Pójdziemy w świat
Tam w pusty świat
Świat, gdzie już nie ma nic

A samotni ludzie są zawsze sami
Samotny duch, samotnych miast
Szukają kogoś wśród miliona gwiazd
A potem znów ruszają w świat

Abstrakcja

Powiedz mi,
że chociaż jestem Twym kłamstwem
Tylko wspomnieniem i światłem
Nagłym pragnieniem i wiatrem
Ty będziesz wciąż wierzył, że

Czuję i nawet czasem rozumiem
Ten świat, który już
Nigdy nie będzie mój
Widziany przez karty słów

Jestem
Abstrakcją Twych wyobrażeń
Twojego strachu i marzeń
Z których stworzyłeś właśnie mnie

Jestem
Przechodniem, burzą i morzem
Aniołem, ptakiem i ogniem
Bo tak stworzyłeś właśnie mnie

Napisz mnie
Ze swoich snów i pamięci
Wiecznej miłości i śmierci
Niedokończonych Twych wierszy
Tylko nie zostawiaj mnie!

Jestem
Abstrakcją Twych wyobrażeń
Twojego strachu i marzeń
Z których stworzyłeś właśnie mnie

Jestem
Przechodniem, burzą i morzem
Aniołem, ptakiem i ogniem
Bo tak stworzyłeś właśnie mnie

Atawizm

Idę przez świat, usłany marzeniami
Które niczemu już nie wierzą
Pułapką naszą jest stan nazywany
Przez poetów nadzieją

Idę przez świat, przez współczesne miasta
Ta chwila zaraz stanie się historią
Pułapką naszą jest stan nazywany
Przez filozofów wolnością

Idę przez świat przewartościowany
Sztucznie stworzoną wartością
Pułapką naszą jest stan nazywany
Przez artystów miłością

Idę przez świat, przez ścieżki wojny
Przez miasta ognia i krwi
Pułapką naszą jest stan nazywany
Nazywany czasem moralnością

Za mało chcemy wiedzieć
I za dużo chcemy mieć...

Zbrodnia, ale kary dziś nie będzie

Twarde siedziska z obszernymi przetarciami jako pamiątką po poprzednich podróży. Mogliby je choć raz na pięć lat wymieniać, aby nie szpeciły i tak już dość obskurnych pociągowych wagonów. Bilety co raz to droższe, a nic nie próbują dać ludziom w zamian – pomyślał William, wybierając najmniej zużyte skrawki materiału na swoje lokum na czas tej jakże urokliwej i wyczekiwanej podróży. Było to miejsce przy samych drzwiach prowadzących do przedziału, gdyż każdy najchętniej zajmuje miejsce przy oknie, aby obserwować piękne widoki, jakby to miało być ostatnie koło ratunkowe w tej podróży do betonowej pustyni, pełnej żywych trupów ciągnących za sobą aktówki i przemykających z jednego wieżowca do drugiego.

Leniwe tykanie zegarka ciasno oplatającego kościsty nadgarstek powoli przepędzało wspomnienie dzisiejszego dnia, pozostawiając jedynie irytujący ból głowy, pulsujący z każdym tyknięciem. William przetarł wierzchem dłoni zaspane oczy i niechętnie spojrzał na zmyślnie złożone trybiki. Kwadrans przed siedemnastą. Pociąg jak zawsze ma opóźnienie, przez co William bez wątpienia nie zdąży załatwić swoich spraw. Czasami żałował, że wybrał pracę w innym mieście, lecz widok konta bankowego zdawał się dobrą rekompensatą kilkugodzinnej podróży. Od kiedy sprzedał siłą wydarty w spadku po babce samochód, tylko tak najtaniej mógł dotrzeć do miejsca kilkunastogodzinnej harówki i z powrotem. Nie był skąpy, o nie, lubił sobie dogadzać, dlatego też nie zdecydował się jeszcze na mozolne pedałowanie zardzewiałym rowerem. Cenił zdrowy tryb życia, ale jeszcze bardziej nieprzepoconą wyprasowaną koszulę. Jako handlowiec zmuszony był do pracy z ludźmi i wiedział, że nienaganna prezencja w znacznym stopniu może zaważyć na wyniku transakcji.

Nie Willi ani Will, tylko William, a najlepiej Pan William Cavendish był takim typem osoby, którą każdy spotkał w swoim życiu choć raz. Taka ludzka wsza – wielu mogłoby rzec, lecz nie do końca. William z pewnością był bardzo dumną i egoistyczną osobą. W pracy pomimo wspaniałych wyników, niejednokrotnie podważających zakładaną normę, nie był zbyt lubiany nawet przez szefa, który był jego dalekim krewnym. Jego współpracownicy mieli dość przechwałek o pięknym domku z basenem, corocznych wakacjach w Tajlandii i sielskim życiu. Nie były to jednak opowieści aż tak dalekie od prawdy. William do niedawna jako wzorowy pracownik zjawiał się w biurze godzinę przed czasem, licząc na dodatkową premię jako uhonorowanie jego starań, teraz wyobrażana kwota malała z każdą minutą opóźnienia powolnego porannego składu. Jako pracownik roku zasłynął za sprawą cichej poczty, którą sam zresztą praktykował. Punkt dwunasta każdego dnia odchodził zza swojego biurka pod pretekstem lunchu i wędrował z nowymi plotkami do szefa. Nikt wtedy nie czuł się bezpieczny, bo mężczyzna często dodawał coś od siebie tak dla podkreślenia akcji. Cóż się dziwić, William był odpowiedzialny w firmie za sprzedaż, więc jak sam się chwalił: „gadki to i sam diabeł by mu pozazdrościł”. Mężczyzna nie był jednak takim pierwszym lepszym sprzedawcą, który wędruje od drzwi do drzwi z zestawem garnków, zachwalając produkt tak, jakby na widok błyszczących rondli zupa sama się ugotowała, a kurczak z podziwu aż schował się do piekarnika. No nie. William nie nadawałby się do tego. Przez tyle lat jego podejście do ludzi nieco się zmieniło. Niewprawne oko po sposobie bycia uznałoby go za buraka pod krawatem, jednak było dużo gorzej. Znienawidził ludzi, z nieliczny-

mi wyjątkami, pozwolę sobie wtrącić. Wszak jak ktoś mógłby być równy takiemu ideałowi jak on? Dlatego zajmował się grubymi rybami, które, o dziwo, nie dorównywały mu pychą.

Cichy zgrzyt przerwał mozolne układanie kolejnej doskonałej oferty biznesowej dla umówionego na następny dzień klienta. Drzwi lekko się uchyliły i przez powstałą szparę do środka wsunął się siwy łeb, a zaraz za nim – długa chuda szyja.

– Dzień dobry. Wolne czy zajęte? – ciepły głos staruszka zawirował niczym liść w powietrzu i usiadł na czerwonym ze złości uchu.

W głowie Williama tkwiło krótkie i zwięzłe „nie”, lecz powstrzymał się, mając w pamięci słowa matki, aby hamować swoje humory i pozostawać uprzejmym dla ludzi, nawet kiedy są ewidentnie zbędni w jego przedziale.

– Tak, wolne – wydusił szybko i niechętnie.

Widocznie uradowany mężczyzna otworzył szerzej przejście, wypychając do środka drobnego chłopaka. Blondynek ubrany był skromnie, lecz schludnie w za luźne szare spodenki, podtrzymywane dzielnie przez szelki, błękitną koszulę z kołnierzykiem odstającym niesfornie i czarne jak węgiel buty, których stukot wprawiał Williama w irytację. Chłopak, wchodząc, potknął się o nogi handlowca i przed niechybnym spotkaniem z podłogą uratowały go refleks oraz silna dłoń opiekuna. Staruszek przeproszał wielokrotnie, spoglądając to na lisa biznesu, to na speszonego młodzieńca.

Pospiesznie zajęli miejsca po drugiej stronie przedziału. Po chwili siwy mężczyzna tkwił z nosem przy szybie, a chłopak siedzący u jego boku nawet nie spojrzał na szybko zmieniający się krajobraz za szklaną taflą. William przymrużył oczy, chcąc odpocząć po całodniowej nagonce, jednak panującą ciszę przerwał cichy i nieśmiały głos.

– Dziadku, gdzie jesteśmy? Daleko jeszcze?

– Właśnie przejeżdżamy przez piątą wydmnę, jeszcze chwila i miniemy pustynię. Jest wprost cudowna, tyle tu piasku, że starczyłoby nam na zbudowanie miliona zamków – wyliczał z zachwytem, William aż uniósł głowę ze zdziwienia. Czyżby rozum tracił. Zerknął ukradkiem, aby nie zwracać na siebie uwagi. Łąki, nic więcej. Cóż ten starzec wygaduje, oszalał? Takie głupoty chłopakowi wmawiać.

– Właśnie wjechaliśmy do dżungli. Ach, jakie gęste są te korony drzew, prawie słońca nie widać, nawet najmniejszy promyk się nie przecisnie. I te liany, obyśmy dachem wagonu nie zaczepili. W zaroślach stado małpek pałaszuje ze smakiem banany. Ooo... Jaka szkoda, spłoszyły się, pewnie przez stukot żelaznych kół. No nic, może to i lepiej, jedzenie w hałasie jedynie niestrawności służy. – Uśmiechnął się pogodnie do młodzieńca.

William potarł kilkudniowy zarost, wypuszczając powoli zalegające w płucach powietrze. Nie wytrzymał, przełamał swój wstręt do obskurnych siedzeń i przesiadł się pod samo okno, chcąc zrozumieć słowa wariata. Wyjrzał podejrzliwie. Nic tam nie było, nic prócz paru samotnych drzew, które powinni przeznaczyć do wycięcia, bo straszą i grożą załamaniem.

– W oddali widać już miasto! – zawołał uradowany starzec. – Jestem ciekaw, czy uda nam się kupić wszystkie przyprawy i rzeczy, o które poprosiła nas babcia. Znając pomysłowość tych niezwykłych ludzi, będzie wszystkiego w zapasie. Jak załatwimy wszystko przed czasem, to zawitamy do twojej ulubionej cukierni, co ty na to? – zagadywał siedzącego spokojnie chłopca.

Ten jedynie energicznie pokiwał głową, zalewając drobną twarzą szerokim uśmiechem.

– Kupimy ptysie, ale to będzie nasza słodka tajemnica. – Zaśmiał się tubalnie. – Później pójdziemy do zielarza i... Ach, im bliżej jesteśmy, tym blask kryształowego muru jest coraz jaśniejszy i te wspaniałe strzeliste budowle. Zaraz dotkną samego nieba, aż chmury muszą ustępować im miejsca, zachwycając się ich majestatem. Kolory domów coraz różniejsze, w całym swoim życiu nie widziałem aż tylu naraz – mówił z zachwytem, a oczy błyszczały się zachłannie.

William nabrał powietrza w płuca. Nigdy przesadnie nie przejmował się życiem innych, lecz teraz narosła w nim wściekłość, która pragnęła nagłej ucieczki, wszak jak można postradać zmysły do tego stopnia, by niewinnemu dziecku opowiadać takie brednie.

– Jak pan może robić wodę z mózgu temu biednemu chłopcu? – wycodził przez zęby. – Najpierw jakaś pustynia, potem dżungla może i cała Amazonia? A teraz co? Kryształowy mur? To rury kanalizacyjne ciągnące się wzdłuż tego śmierdzącego spalinami miasta. Jakie kolory? Wszystko jest szare i brudne, a ludzie uciekają we wszystkie strony, jak najdalej od tego betonowego więzienia. Powinieneś iść do lekarza, człowieku, jak jesteś taki ślepy i wymyślasz chore bajeczki!

Ręce drżały mu z wściekłości, a powietrze z trudem odnajdywało drogę do płuc. Z emocji pociemniało mu przed oczami, aż przymknął na chwilę powieki. Starszy mężczyzna słuchał pokornie świszczącego wybuchu frustracji, obdarzając handlowca smutnym spojrzeniem zamglonych oczu. Nie odpowiedział na atak, ze spokojem odwrócił się do wystraszonego chłopca, który mocno ścisnął jego dłoń.

– Spokojnie, wnosiu. – Ton jego głosu przypominał płynny miód, który oblewa serce, łagodząc wszystkie, nawet najdrobniejsze ranki. – Nie bój się, pan miał dzisiaj po prostu zły dzień i nie dostrzegł piękna, jakie przyniósł świt, ale któregoś ranka je dojrzy. Wstań ostrożnie, zaraz wysiadamy, tylko uważaj pod nogi.

Gdy chłopczyk wstał, William spostrzegł białą łaskę w jego ręce, która tym razem baczniej wyszukiwała potencjalnych przeszkód. Drzwi zapiszczały i nieproszeni współpasażerowie z przepaszającym kiwnięciem siwizny zniknęli. Williama naszyły dawne okrutne w swej naturze rozważania, którymi wołał się głośno nie dzielić, aby nie ryzykować prościnny swego nosa. Gdyby miał władzę, uczyniłby świat lepszym, piękniejszym, usunąłby wszelkie choroby. Nie magicznym zaklęciem czy życzeniem złotej rybki, a razem z właścicielami owych niedoskonałości. Jaka byłaby to ulga dla wszystkich, myślał sobie. Nikt by już nie cierpiał. Ani chory, ani bliscy chorego. Wszyscy byłiby szczęśliwi, nieprawdaż?

Nim się obejrzał, skład z żelaznym hukiem wjechał na główny dworzec, a pierwsi niecierpliwi wylali się na puste perony. Rozbiegane mrówki szukały pośpiesznie drogi do właściwego mrowiska. William z mozołem wyszedł, oślaniając oczy przed jaskrawym światłem zachodzącego słońca. Poprawił marynarkę i wygładził pośpiesznie materiał białej koszuli. Z westchnieniem przyspieszył kroku, kierując się w stronę jednego z wielu mniej urokliwych zakamarków miasta.

Uliczka była wąska, pozastawiana przepełnionymi koszami z wylewającymi się odpadami, których zapach rozpruwał nozdrza i wywracał żołądki na drugą stronę. Pojedyncze stare neony uparcie upierały się przy życiu, przypinając swymi epileptycznymi podrygami o zawroty głowy. William niechętnie spojrzał na poszarzały od brudu szyld lombardu i naparł na klamkę. Drzwi ugięły się pod ciężarem, wpuszczając go do środka. Wnętrze było wypełnione zastawionymi bibelotami za szkłem, które kuszyły niewygórowaną ceną. Handlowiec podszedł do lady, za którą na obrotowym krześle baczny okiem śledził go dobrze mu znany tysielec. Właściciel przybytku o harpim nosie i jadowitym spojrzeniu nie wzbudzał większego zaufania, lecz nie miało to znaczenia dla mężczyzny.

– Witaj, drogi Willi! – zawołał wymuszoną radością, odsłaniając poźółtkłe kły.

– Mam na imię William, mówiłem już to z tysiąc razy, może umyłyś uszy, Becker – wysyczał zirytowany.

– Księżniczka znów nie w sosie – kpił z satysfakcją. – Co cię tym razem sprowadza w moje skromne progi? Potrzeba gotówki, czy chcesz odebrać tamten zastaw?

– Chcę sprzedać.

Spojrzał na kościsty nadgarstek, na którym spoczywał złoty zegarek. Miał go od dziecka, był to prezent od samotnie wychowującej go matki, ostatni zresztą, gdyż niedługo później zmarła. Zawsze pilnował go jak oka w głowie, gdyby spoglądał na cieniutkie wskazówki, każde ciche tyknięcie zamieniało się w koci śmiech, którym go obdarzała po powrocie z pracy. W tarczy zawsze odbijały się oczy, jego oczy, oczy, które odziedziczył po matce, czuł, jakby to ona doglądała jego poczynąń każdego dnia. W trudnych chwilach spoglądał na drobne cyferki i pytał o radę, licząc, że jak przed laty odpowie zatroskanym głosem. Teraz jednak potrzebował pieniędzy, bardziej niż ciepłych wspomnień. Westchnął ciężko. Chciał wierzyć, że ona to rozumie, że on nie ma wyboru i musi oddać ostatnią jej część. Zdjął pośpiesznie zegarek, wiedział, że im

dłużej będzie na niego patrzył, tym więcej wątpliwości wkradnie się do resztek dziecięcego serca. Podał go pulchnym, lepkiem od potu dłoniom, które zachłannie przyjęły podarek.

– Ładny zegareczek. Złoty, no no... Góra tysiak, ale to i tak po znajomości.

– Żartujesz sobie. Jest wart dużo więcej, dobrze o tym wiesz!

– Casy są ciężkie, też muszę zarobić. To nie organizacja charytatywna, żebym pieniądze rozdawał – mówił z irytującym spokojem Becker. – Nie pasuje ci, możesz iść gdzie indziej, proszę bardzo, ale nikt nie da ci więcej za niego. Nie płacimy za sentyment czy inną wartość osobistą, tylko za realny towar. Moda na takie modele już dawno przeminęła, w takiej formie go nie sprzedam, będę musiał go przetopić, a to także dodatkowe koszty.

– Człowieku, dorzuć choć trochę. Tyle już razy zdarłeś ze mnie, że choć raz pokaż, że masz sumienie.

– Drogi Willi, tacy jak my nie mają sumienia, dobrze o tym wiesz. – Wyszczерzył się pogardliwie. – Obaj dobrze wiemy, że potrzebujesz tych pieniędzy, dlatego bierz tego tysiąka i daj mi w spokoju zarabiać.

William zagotował się, nie mógł jednak wyjść. Nie bez pieniędzy. Z bólem serca zabrał plik banknotów, który równie szybko wydał. Spojrzał do papierowej torby, w której niewielkie kartonowe pudełko było więcej warte niż jego ukochany zegarek. Nie powinien żałować, to było coś dużo bardziej cennego niż odległe wspomnienie, które z każdym dniem zacierało się coraz bardziej. Przyspieszył kroku, chciał być w domu jak najszybciej, zapominając o ograniczeniach ludzkiego ciała, które już po paru minutach łapczywie łapało powietrze, świszcząc niczym lokomotywa.

Mieszkał w starej kamienicy na drugim piętrze. Ciemne cegły kontrastowały z białymi okiennicami i kolorowymi kwiatami wylewającymi się z balkonów. Okolica na pierwszy rzut oka wydawała by się mogła sielską, wręcz bajkową, lecz przezorny ze słusznością nie poddałby się pozorom. Liczne zamieszki, burdy i awantury były podstawą ubogiej dzielnicy, której codzienną rozrywką były przepychanki z policją.

William pospieszenie wdrapał się po schodach, stanął przed odrapanymi z farby drzwiami i ze zdziwieniem spostrzegł, że nie może umieścić klucza w zamku. Spojrzał podejrzliwie na numer mieszkania, a następnie wyrzwał zza strzelistego okna klatki na zewnątrz, chcąc się upewnić, czy ze zmęczenia nie pomylił budynków. Wszystko się jednak zgadzało, prócz klucza, który trwał w konflikcie z zamkiem. Coś zaskrzyphiało po drugiej stronie drzwi i przywarło do ich powierzchni, skanując stojącego na wycieracze intruza. Zamek zazgrzytał, klamka drgnęła, a drewniana ściana odchyliła się, ukazując w powstałej szczelinie niezdrowo bladą, wychudłą twarz. Oczy tliły się radośnie, a szeroki uśmiech ukazał białe zęby.

– Przyjechałeś wcześniej, niż myślałem. Nie zdążyłem dokończyć kolacji, mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale jeszcze chwilę będziesz musiał bratać się z głodem.

Pogodny ton zmieszał się z delikatną wonią czekolady i zawirował w powietrzu, otulając Williama. Niższy szatyn otworzył szerzej przejście, wpuszczając zdziwionego handlowca do środka, po czym ponownie ruszył przez niewielkie, skromnie umeblowane mieszkanie wprost do kuchni, skąd wydobywało się ciche bulgotanie, a aromat przypraw wraz z obłoczkami pary bezkarnie wędrował po pomieszczeniach.

William zamienił niewygodne buty na miękkie kapcie, a wygniecioną marynarkę na popielatą szlafrok, z pojemnymi kieszeniami. Zawiedziony zapachami zawędrował do kuchni, gdzie na wąskim stole położył zakupione wcześniej pudełko z drogocenną zawartością. Z westchnięciem usiadł, czując, jak ciężar dnia uchodzi z niego jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Poprawił włosy i uniósł wzrok, by po chwili na nowo go spuścić, chcąc zatrzeć targające nim emocje.

– Co się stało, że jesteś tak wcześniej? Co z badaniami, coś nie tak z nimi? Co powiedział lekarz? – wstał gwałtownie, podchodząc do szatyna i odcinając go od pracy. – Dobrze wiesz, że nie powinienes się prze-męczać. Siadaj. – Usadził go na dębowym krześle, nie uznając sprzeciwu. – Mogłeś zadzwonić, kupiłbym coś lub przyjechałbym szybciej i ugotował.

– Nie jestem z porcelany. Nic mi nie będzie, jeśli pokroję kilka marchewek. – Zaśmiał się słabo, gdyż po chwili zaniósł się dławiącym kaszlem.

William szybko doskoczył do niego z kubkiem wody. Wcisnął mu do buzi kolorową pastylkę i zmusił do popicia. Odetchnął z ulgą, widząc, jak oddech wraca do dawnego płytkiego rytmu. Spojrzał niepewnie w przyciągające krystaliczne tęczaówki.

– Jest w porządku, spokojnie – odpowiedział mu ochrypły głos. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj, nie masz za co, ale nie chcę, żebyś się przemęczał, dobrze wiesz, że nie możesz. – Ucałował go w czubek głowy i powrócił do siekania warzyw, od czasu do czasu mieszając w srebrnym rondelku. – Jak badania?

– Mogło być lepiej. – Skulił się.

– Co powiedział lekarz? Przecież muszą coś zrobić, nie możesz dłużej czekać – zaprotestował William, nieświadomie podnosząc ton, czego zaraz pożałował.

– Mówi to, co zawsze. – Łzy napłynęły do niebieskich oczu. – Willi, ja mam już dość. To chore, że muszę czekać na czyjąś śmierć, na tragedię jakiejś rodziny, tylko po to, żeby moje nic niewarte istnienie mogło trwać.

William wstrzymał oddech, gdy jego serce rozdzierało się na kawałki. Najchętniej wyrwałby je z piersi i wręczył lekarzom, zmuszając do przeszczepu. Spojrzał na wychudłą twarz, której policzki zapadały się z każdym dniem coraz bardziej, skóra dawniej oliwkowa, dziś niezdrowo blada i usiana ciemnymi prześwitującymi żyłami czy siniakami. Czy dawniej żywe, z iskrą przygody dziś zamglone pogrążone w odległej krainie. Ubrania powiewały na wychudłym ciele, które z coraz większym wysiłkiem wprawiało się w ruch. Gdyby nie był światkiem, nie uwierzyłby, że to ten sam człowiek co przed laty.

– Tommy, przestań tak mówić. Jesteś najważniejszą osobą w moim życiu, gdzie ty, tam i ja. Razem poradźmy sobie ze wszystkim. Z każdym dniem będzie coraz lepiej. Wiem, że to chore, cały świat zwariował już dawno temu. To nie ty odbierasz tym ludziom życie, nie możesz też im go zwrócić, możesz za to cieszyć się swoim ze świadomością, że tamta tragedia dała początek nowej nadziei dla osoby w potrzebie. I nie chcę słyszeć już żadnych smutków. Na stole masz leki. – Wskazał na niewielkie kartonowe pudełko cenniejsze od złotego zegarka. – Bierzesz je, zdrowiejesz, znajduje się serce i lecimy do Afryki podziwiać lwy. Rozumiemy się?

Rozbawiony szatyn przetarł oczy i spojrzał z wdzięcznością na partnera. Starał się z całych sił ukryć ból i niemoc snujące się za nim każdego dnia niczym cień. Najprostsze czynności wydawały się abstrakcją, wyzwaniami rangi zdobycia Mont Everestu. Wiedział, że Willowi jest również ciężko, choć przykrywa to pod szorstkim charakterem. Wewnątrz, gdzieś głęboko umiera razem z nim.

William wyrwał się z ulotnej chwili, gdy nieprzyjemny swąd zatrutych płuc i przyciemnił pomieszczenie. Gwałtownie obrócił się, spostrzegając, że zawartość garneczka znacznie straciła na swojej objętości, paląc się i wydzielając siwy śmierdzący dym. Pochwycił rondel i wrzucił go do zlewu, zalewając zimną wodą, która zawrzała wściekle. Thomas otworzył szeroko okno, stając w przeciągu i zachłannie łapiąc powietrze w obawie przed kolejną serią kaszlu. Odetchnęli z ulgą, gdy powiewy wieczornej świeżości zwalczyły efekty kulinarnych popisów. Spojrzeli kolejno na przepalony rondel i ubrudzoną kuchenkę, po chwili ich wzrok się spotkał. Roześmiali się w głos.

– I po kaczce. To dobitny znak dla twojej kariery kucharskiej – zaczął szatyn.

– To znak, by dać zarobić restauracji, nic więcej. Moje zdolności kulinarne nie mają z tym nic wspólnego. – William udawał urażonego.

Kolacja, chwila odprężenia i wieczorna rutyna odgrywana automatycznie. Tak odległe i przyziemne, nie zwracamy na nie większej uwagi. Tak ulotne i piękne po czasie. Cofnąć czas o kilka godzin i napawać się pożornym spokojem, choć odrobinę dłużej, myślał William, ściskając zimną dłoń.

Karetką niespiesznie sunęła ulicami miasta. Miał wrażenie, że robią to specjalnie, trzymając stronę kosiarza. Prerażone oczy napastował powracający co rusz widok szatyna zalewającego się zimnym potem, miotanego przez drgawki i uciekający oddech, którego pragnęły zachłanne płuca. Szatyn, jak zawsze uparty, twierdził, że wieczorne zawroty głowy to tylko chwilowe pogorszenie, nic, czym powinno się martwić.

A jednak jego stan z minuty na minutę się pogarszał, uderzając jak fala tsunami i pochłaniając wszystko na swej drodze. Ratownicy faszerowali go nowymi obcymi nazwami medykamentów, podczepiali nowe kable i kabelki. Handlowiec wpychał im w ręce całą zgromadzoną adnotację medyczną, licząc, że choć trochę przysłuży się sprawie, a ich działanie nie będzie śmiertelną ciuciubabką.

William nie pamiętał, jak trafili do szpitala i jak lekarz wyrzucił go z sali, po tym, jak obrzucił medyką licznymi wiązkami epitetów, gdy ten bezradny czekał. W ośpieniu spoglądał przez szklaną taflę na płataninę kabli i rurek, które niczym macki opłatały ciało niebieskookiego. Leżał bezwładnie, z odkrytym zapadłym torsem zdany na łaskę losu. William prosił, aby okryć go, chociaż cieniutkim kocem, gdyż szatyn zawsze był zmarzluchem i dodatkowa ciepła warstwa z pewnością polepszyłaby jego stan. Męczącym uporem wyprosił odgarnięcie zlepionych przez pot pukli z bladego czoła. Nic wielkiego, ale mężczyzna czuł, że tak właśnie trzeba, wszak, gdy Tommy ocknie się ozdrowiały, nie powinien mieć opadających na oczy włosów, to zdecydowanie mało komfortowe. Wyczerpany sam tego nie uczyni, więc czemu by go nie wyręczyć?

Cieniutka linia niemrawo tańczyła na monitorze, kropłówki ociężałe skapywały, a tlen płynął kanalikami. William siedział bez ruchu już kilkanaście godzin, obserwując leżącego, niczym żołnierz na warcie. Odrętwiałe mrówki pełzły wzdłuż kończyn, przyprowadzając o irytację, pomału odcinały czucie. Oczy piekły go od słonych kropli i mrugających nierówno jarzeniówek. Powieki raniły podrażnioną taflę, lecz nie chciał ich przymknąć choćby na chwilę. Nie mógł sobie na to pozwolić, chwila słabości, niewinne mrugnięcie mogłoby zataić przed nim znaczący incydent. Oddychał cicho, łapiąc co drugi oddech. Wciągał powietrze powoli, aby nie zagłuszyć otoczenia. Z nerwów krew nie dochodziła do zaciśniętych na materiale spodni dłoni, przez co posiniały i lekko drżały. Widział, jak przemykający korytarzami lekarze spoglądają na niego z kpiną, że wciąż trwa przy nadziei. Tyle razy go oszukała i wywiodła podstępnie w pole, lecz dziś może tknie ją sumienie. Chociaż dziś... Jutro świat może się walić, ale dziś niech powstanie z kolan.

Przyspieszone pikanie przerodziło się w przeciągły pisk, który wwierał się w czaszkę, rozsadzając ją na kawałki. Zerwał się. Linia na monitorze wyprostowała się, zapominając o paradnych podskokach w górę i w dół. Wołał lekarzy, pielęgniarki, kogokolwiek, lecz głos wiał w gardle. Nikt się nie spieszył, stawiając ołowiane kroki. Rada decydowała o wyroku. Serce biło mu jak oszalone, a adrenalina wraz z krwią wyciekły z nosa, dając upust ciśnieniu. Trząsł się, nie mogąc zapanować nad ciałem, które niczym szmaciana lalka targane było wraz z wiatrem. Co chwila obraz przestaniał się i ciemniał. Zapomniał, jak się oddycha i dusił się aż do momentu ułtucia. Jedna z pielęgniarek zmęczona jego histerią z niemłą satysfakcją zaserwowała mu potrójną dawkę środków uspokajających. Odpłynął. Szumiało mu w głowie. Słowa lekarza odbijały się niczym od muru i powracały natrętnie. Nic nie mogą zrobić, nie wyczarują czerwonej pompy śmiertelnego ciała.

Piszcząco mu w uszach, gdy w odrętwieniu przyglądał się marnym staraniom lekarzy. Przywieźli kogoś do sali obok. Nie myślał, wszedł. Oblane bielą pomieszczenie było dokładną kopią dziesiątek innych rozsiadanych po całej placówce. Metalowe łóżko, szafka, kilka monitorów splecionych przewodami i ktoś, nieznajomy, nikt znaczący. William spojrzał na niego przymglonymi oczami. Ktoś w średnim wieku, po wypadku, posklejany szwami, bandażami i gipsowymi stelazami. Na tyle leniwy, że powierzył swoje funkcje życiowe maszynom, które bez wytchnienia pracowały. Ktoś, kto i tak miał zginąć, lecz ostał się złośliwie. Leżał teraz ten ktoś, cynicznie wdychając tlen tych, którzy go potrzebowali. Pozorna tragedia za iskrę życia. Złota myśl świdrowała umysł Williama, gdy ten kolejno uwalniał kłosa od zbędnych pnączy. Ciało wygięło się gwałtownie w łuk i podrygiwało teatralnie. Zirykowanie nawiedziło mężczyznę, gdy patrzył na to przedstawienie. Przyspieszył czynności i na oślep wyrwał kolorowe wstęgi, chcąc oswobodzić biedaka. Uwolnił się, leżał teraz spokojnie, z niemym grymasem wdzięczności na twarzy.

William uśmiechnął się w duchu zadowolony, że znalazł tak doskonałe rozwiązanie. Spojrzał ponownie na wyswobodzonego. Pociemniało mu przed oczami i musiał zakryć dłońmi usta, by żółć z żołądka nie znalazła ujścia. Zamarł. Rozejrzał się w panice po pustym pomieszczeniu. Już sam nie wiedział, cóż chciał urzeć.

Trzęsącą się ręką dotknął leżącego i nieznacznie nim potrząsnął, lecz ten uparcie trwał obrażony. William czuł, jak krew znalazła magiczne ujście i ulatuje z jego ciała, pozostawiając suchą skorupę. Trząś się, podpinając na nowo szpitalne pnącza. Na nic były jego starania, wolny duch nie miał zamiaru wracać do uwięzi.

Cofnął się. Mózg odmówił współpracy z ciałem, pozostawiając handlowca na łaskę ustawień fabrycznych, których jedyną podpowiedzią była rychła ucieczka. Światła zgasty nagle z cichym brzdękiem, zalewając ciemnością wszystkich szpitalnych więźniów. Zasilanie awaryjne dopiero po chaotycznej bieganinie personelu w labiryncie korytarzy łaskawie uruchomiło się. Aparatura zawyla rozwścieczona, gdy wcześniej kontrolowane funkcje życiowe nie ukazały się przed jej cyfrowy majestat.

William wyskoczył z pomieszczenia, niemo wołając najbliższego medyka. Zapomniał, jak mówić. Słowa straciły wartość, tylko ręce wymachiwały niezrozumiałe symbole w kierunku obcego leżącego. Lekarz, słysząc alarmujący ryk, zrozumiał, co się dzieje.

– Proszę pobiec na dyżurkę i zawołać kogoś! – wykrzyczał pośpiesznie. – Już!

William niesiony na uginających się pod ciężarem nogach wbiegł do wyznaczonego pomieszczenia i widząc niczego nieświadome twarze, resztkami świadomości wypułł niedbale przyczynę nagłego zjawienia. Chaos sięgał zenitu, gdy ślepo biegające pielęgniarki zderzały się groteskowo w szerokich łącznikach. Przeklinano nagły brak prądu i starą aparaturę medyczną, która nie współpracowała, zacinając się i dławiąc nierównymi dostawami energii.

William skulony siedział na korytarzu. Wpatrywał się przez szklaną taflę na leżącego szatyna. Spokój malował się na pobladłej twarzy. Ręce pokryły bandaże wspierające wenflony wbite w kruche żyły. Klatka piersiowa nieśmiało podnosiła się o kilka milimetrów i opadała z mozołem. Chory wyglądał, jakby spał. Dawno temu zła czarownica rzuciła wstrętne zaklęcie, a on nieświadomy czeka wytrwale na bajkowe wybawienie. William nie znośił bajek, kłamały bezczelniej od niego, a ich skutki dotkliwie rujnowały życie.

Potań drżące ręce, słysząc klnących lekarzy w sali obok.

– Już dawno mówiłem dyrekcji, że trzeba coś zrobić. Jak możemy leczyć ludzi takim przedpotopowym sprzętem. Musi dojść do tragedii, żeby coś zrobili – burzył się ochrypli głos.

– Zasilanie awaryjne też późno się załączyło. Do już drugi raz, jak ten szmeln nie podjął pracy po skoku napięcia – ciągnął drugi.

– To na onkologii ostatnio też? – dopytywał pierwszy zaskoczony.

– A jak myślisz? Pacjent był stary, to zwaliliśmy na wiek, teraz to nie przejdzie i krawaty będą musiały coś zrobić.

– Jak im się tyłki zapalą, to i spod ziemi pieniądze na nowy sprzęt wyciągną, o to się nie martw.

William ogłuchł przez napór myśli, który forsował jego pulsującą z bólu czaszkę. Chciał wyć jak dzikie zwierzę z żalu i wstrętu. Spojrzał na niepoczuwające się do winy dłonie, trwałe spokojnie uczezione biernego ciała. Gdyby odciął je szybko, zmazując historię. Poczuł krew w buzi, szczęką zacisnęła się stalowym zaciskiem i dźwięk krwawość przerażona.

Ruch wzmógł się wokół łóżka szatyna. Pielęgniarki mieszały makaron kabli i podawały kolejne specyfiki. Ospale wysunięto łóżko z pacjentem na korytarz aż w stronę obszernej stalowej windy. William wyrwał się ku zamieszaniu, nie rozumiejąc jego przyczyny. Nikt nie odpowiedział na jego pytania, aż sam zwątpił, czy one kiedykolwiek padły. Zesztywniał, prostując się nagle, gdy ciężka dłoń wylądowała na jego ramieniu. Rozbiegany wzrok napotkał uśmiechniętą twarz lekarza.

– Spokojnie, proszę się nie martwić. Będzie w dobrych rękach, nawet w najlepszych! – zawołał radośnie.

– Co cię dzieje? Gdzie go zabieracie? – handlowiec dławił się sylabami.

– Zabieramy go na blok operacyjny, znalazło się serce do przeszczepu.

Williamowi zaszumiło w głowie i gdyby nie refleks medyka, osunąłby się na ziemię. Serce zabiło mu szybciej, a oczy pojaśniały, przepędzając toksyczną mgłę. Dzisiaj podniósł groźbą nadzieję z kolan, a świat pojaśniał od kryształowego światła.

Fotografia

przeoglądam zdjęcia
z wystawy
w prawym górnym rogu
za rzędem wielobarwnych czupryn
to twoje ucho
nie mam pojęcia co u ciebie słychać
śniło mi się że zadzwoniłaś
tym razem w sprawie prywatnej
potem budzik nie dał nam się
sobą nacieszyć
no dawaj
obiecuję że odbiorę

Świeża strawa

kiedyś myślałam
że osełka to samica osła
młode umysły gardzą
systemami
miar i wag
twoja szyja wygląda
tak świeżo
smakuje lepiej od masła
to znaczy chyba
bo przecież muszę trzymać
język za zębami
śniło mi się że wypadły
zwiastun śmierci a może życia
doprowadzi nas
do ołtarza w stylu rustykalnym
kapłanką mianujemy owcę
która we własnej skórze czuje się wyśmienicie
body positivity
naszą religią

Jeśli

znowu rozważałam kwestię
zrewolucjonizowania twojego życia
przepraszam miało być
urozmaicenia
jeśli mnie zaprosisz
do działania
pozostanie nic
prócz nas przyssanych do siebie
w wilgotnym tunelu
na tym parszywym osiedlu

For a better life

Wakacje 1998. Cudowny czas w życiu każdego ucznia. No może nie dla tych, którzy mieszkają na małej wyspce, która co roku w wakacje zasypana jest przez bogatych turystów, traktujących ich jak część atrakcji. Jednak jak co roku pewna sześciuosobowa grupka licealistów miała mnóstwo planów. Grupka ta była samozwańczymi marynarzami. Inni z wyspy nazywali ich jednak bandą. Co roku ci sami ludzie, z takim samym nastawieniem na jak najlepsze spędzenie tych dwóch pięknych i ciepłych miesięcy. Co roku chcieli uciec z wyspy. Co roku mieli nowe pomysły, nad którymi myśleli od września. Co roku doświadczali porażki. Większość z nich nie miała nawet jednego rodzica, więc mowy nie było o pieniądzach na wyjazd.

Nienawidzili oni bogatych rodziców zwiedzających wyspę z ich rozpuszczonymi dziećmi, które miały wszystko. Tacy właśnie wytykali ich palcami, nie kryjąc odrazy, oraz mówili głośno przestrogi, aby ich dzieci nie stały się takie jak oni. Tacy to znaczy mający marzenia? Robiący wszystko, aby one się spełniły? Poświęcający zdrowie dla swojej przyszłości, nad którą przecież od tak dawna pracują? Nie zwracali uwagi ani nie brali do siebie krzywych uwag czy niemoralnych propozycji w stronę damskiej części grupy. Dziewczyny też czuły się bezpiecznie, gdyż mieli zasadę, iż jeśli któraś z nich gdzieś idzie, musi iść z nią któryś z chłopaków. Byli sobie oddani bardziej niż komukolwiek innemu. Nie pozwoliliby skrzywdzić nikogo z marynarzy. Żyją tylko dzięki sobie i tylko dla siebie.

Młodzi spotkali się pierwszego wieczoru wolności i przedstawili sobie swoje plany, siedząc na starych, drewnianych, kolorowych łodziach. Ułożyli je w kółku już parę lat temu. Każda z łodzi nieoficjalnie należała do jednego z nich, sami nadali im imiona i sami je ochrztili. Oczywiście nie było opcji na wypłynięcie nimi w daleki ocean. Patrząc na stan łodzi, nastolatki i chłopcy byli świadomi, że po przepłynięciu kilkudziesięciu metrów truchła, które pozostały z zapewne niegdyś pięknych i sprawnych łodzi, zaczęły tonąć. A na taką porażkę sobie nie pozwolą. Muszą się stąd wynieść wszyscy albo nikt. Zachodzące słońce, które oglądali wspólnie codziennie, popalając ukradzione papierosy, nie dawało im tym razem spokoju, raziło swoim blaskiem po oczach marynarzy. Pokazywali sobie na kartkach papieru plany ucieczki. Wszystkie rozrysowane. Każdy z nich po kolei opisywał dokładnie, co musieliby zrobić dla wolności od tego miejsca bez przyszłości. Niektóre pomysły zgodnie odrzucali już na początku, inne zachowywali. Nie tracili nadziei. Nie mogli się poddać. Nieraz podsłuchiwali rozmowy tych bogoli, jak to mówili o życiu poza wyspą. Nieraz oglądali wyblakłe zdjęcia, wyobrażając sobie, jak musi wyglądać obraz na nich zamieszczony w kolorze.

Tygodnie mijały, a żaden z planów się nie powodził. Czy to kolejne wakacje zakończone porażką? Czy po raz kolejny będą skazani na rok walki o przetrwanie w tej norze? Nie mogą na to pozwolić. Są marynarzami, muszą znaleźć drogę.

Po kilku dniach odnalazł ich stary Ben. Miejscowy rybak, za którym nie przepadali. Jak zwykle był pijany. Wygonił ich z miejsca spotkań i powiedział, że jeśli jeszcze raz ich tam znajdzie z ich głupimi planami na przyszłość, spali ich łodzie i zadba o to, aby nigdy nie wyjechali. Skąd wiedział o ich planach? Otóż niegdyś był ich przyjacielem. Pomagał im, kiedy jeszcze byli dziećmi i nie umieli sami o sobie zadbać. Po tym jak łódź, którą wysłał na łowy, zatoniła, a z nią kilkoro jego najlepszych ludzi, zaczął pić. Wtedy też odwrócił się od bandy. W głębi serca wiedzieli, że boi się on, że skończą jak jego załoga.

Rozmowę tę podsłuchał pewien sześćdziesięcioczworolatek. Turysta. Nie była to jednak pierwsza rozmowa, jaką słyszał. Znalazł ich bazę już jakiś czas temu, przychodząc codziennie wieczorem i główkując razem z nimi w ukryciu. Domyślił się, że jeśli ujawni się już na samym początku, zostanie przepędzony. Teraz jednak, gdy widział, jak dzieciaki odchodzą ze spuszczoneymi głowami, postanowił wkroczyć do akcji. Gdy oddalili się trochę od Bena, wyszedł im naprzeciw i opisał, kim jest i że wie, czego chcą. Powiedział, że pierwszy raz w życiu widział u kogoś taką wolę walki oraz że przypominają mu go z czasów nastolatka. Pochodził on bowiem z wyspy. Te wakacje były pierwszymi, w jakie odważył się wrócić do domu. Sam musiał wymyślić plan ucieczki i postanowił pomóc młodym w ich planie. A raczej zapewnić transport do miasta na jego łodzi. Stał się on bohaterem młodych marynarzy.

Huragan

Wyłączyłam telewizor. Zapowiadają huragan. Na szczęście nie tak silny jak poprzedni. Mieszkam od kilku lat na Bahamach, więc mój dom jest już dość dobrze przygotowany na silne wiatry. Staram się nie przejmować, ale ręka sięgająca po dzbanek z kawą już niekontrolowanie drży. Póki zostanę w domu, będę bezpieczna. Usiadłam w głębokim fotelu przy oknie i bacznie obserwowałam rosnący w siłę wiatr. Po około pół godzinie dołączył do tego również deszcz. Niebo ściemniało w kilkanaście minut, a podmuchy stawały się coraz silniejsze. Podejrzewam, że to najgorszy moment. Za jakiś czas powinno wszystko cichnąć. Włączyłam radio. Wspomnieli tylko, że prędkość wiatru aktualnie wynosi 120 km/h i żeby pod żadnym pozorem nie wychodzić z domów. Wróciłam na fotel.

Wiatr zaczął porywać do tańca wszystkie palmy. Ze strachem patrzyłam, jak robi to coraz szybciej. Spojrzałam w stronę portu. Woda kołysała wszystkimi łodziami, jakby tuliła je do snu. Jakby zapewniała je, że wszystko będzie dobrze. Deszcz uderzający w metalowy dach mojego domu wystukiwał rytmy swojej własnej autorskiej piosenki. Piosenki, której nikt się nie spodziewał słyszeć tak głośno. Piosenki budzącej grozę. Niebo przybrało ciemną kurtynę. Wszystko, co działo się na zewnątrz, było jakby przedstawieniem teatralnym, w którym grali najlepsi aktorzy. Minęło kilkadziesiąt minut, a wiatr nadal jedynie przybierał na sile. Nagle jakby jako punkt kulminacyjny transformatory zaczęły rozbłyskać tysiącami iskier. Światło w moim domu zgasło. Popis instrumentalny deszczu teraz współgrał z gwizdami wiatru przedzierającymi się do wewnątrz mojego domu. Z zewnątrz dochodziły również dźwięki fal Atlantyku. Rozbijały się o twarde skały. Z troskliwych matek usypiających łodzie zamieniły się w szaleńcze demony szarpące płaczącymi konstrukcjami. Wysokie drzewa ledwo nadążały w tym piekielnym tańcu. Niektóre już poległy, łamiąc się wpół. Do orkiestry dołączyły również rozbijające się o ziemię kokosy. Wiatr znudzony palmami porwał do morderczego tanga pierwszy dach. Za nim kolejny i jeszcze jeden. Piekielna siła odbierała ład i porządek pięknym wypsom. Wiatr przybrał zawrotną prędkość około 250 km/h. Szalał, chcąc doprowadzić Bahamy do ruiny. Nic nie zapowiadało końca tego przerażającego przedstawienia.

Okno

Jak długo już tu jestem? Nie chcę opuszczać tego miejsca. To mój dom. Rozpłakałam się, stojąc na środku wymęczonego pożarem budynku, który już z żadnej strony nie przypominał mojego domu. Zostałam całkiem sama na świecie. Cała moja rodzina była w czasie pożaru zamknięta tutaj. Policja mówi, że ich wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte, zanim jeszcze ogień przejął kompletną władzę nad parterem. Spojrzałam w stronę schodów prowadzących na piętro. Nie było ich tam. Spomiędzy kawałków ściemniałego drewna, pobitych wazonów i kawałków materiałów dało się dostrzec pojedyncze stopnie, które jakby chciały sprawiać wrażenie, że ten dom nadal żyje, cudem trzymały się swoich dawnych miejsc. Kuchnia znajdowała się niegdyś przy schodach. Dziś nie mogę tego powiedzieć. W kuchni miało miejsce narodzenie tego pożerającego życia żywiołu. Nic z niej nie zostało. Próbowала walczyć. Widzę to, że cały dom chciał żyć. Dom, który postawił mój ojciec i matka. Dom, który miał odziedziczyć mój młodszy brat. Młodszy brat, który miał całe życie przed sobą. Dopiero wkraczał w swój mały okres buntu. Nie zdążył nic przeżyć. Nie doświadczył jeszcze miłości ani odrzucenia. Miał tyle planów. Chciał być perkusistą. Miał nawet swój zespół garażowy. Otworzyłam portfel. Zawsze miałam przy sobie zdjęcia moich bliskich. Moi rodzice. Moi kochani rodzice. Zawsze byli dla mnie wsparciem. Oni nalegali na mnie, żebym wzięła udział w rodzinnym obiedzie, który miał odbyć się właśnie w wieczór pożaru. Ja byłam w pracy. Mogłam być tu z nimi. W ich ostatnich chwilach. Mogłam zginąć z nimi. Ale jak zwykle musiałam na pierwszym miejscu postawić swoją pracę. Nie umiem sobie wyobrazić, jak bardzo musieli się bać. A mnie z nimi nie było. Ja w tym czasie wołałam być w biurze. Nie poradzę sobie bez nich wszystkich. Nie chcę sobie poradzić bez nich. Oddałabym wszystko, aby mój brat jeszcze raz zapytał mnie o pomoc w matematyce, w której też nie byłam dobra. Chciałabym jeszcze choć raz nieporadnie doradzać mu w rozwiązywaniu algebry. Jeszcze choć raz ubierać choinkę z tatą. Jeszcze choć raz usiąść z mamą wieczorem przy lampce wina i robić wspólnie na drutach. Nie martwić się niczym. Nie było człowieka, którego kochałabym bardziej od tej trójki. Dlaczego musiałam stracić ich wszystkich. Podeszłam do balkonu. Tutaj wychodziłam z mamą na papierosa. Ona zawsze mówiła, że to jej ostatni. Że już rzuca palenie. Martwiłam się o jej zdrowie. Ale gdy teraz o tym myślę, to wiem, że ten każdy ostatni papieros pomagał się jej uspokoić. Pomagał jej odciąć się od świata, gdy Marcel pyskował. Chciałabym być z nią, gdy paliła tego ostatniego papierosa. Otworzyłam okno balkonowe. Chciałabym być teraz z nimi wszystkimi.



Małgorzata Żmuda

depersonalizac-

kiedy wreszcie przestaniecie zamykać mi powieki
zasypywać kurzem każdą rzęsę po kolei
chować wspomnienia po szufladach
każecie szukać po omacku
przebierać które moje
które tylko w mojej głowie
a ja czułem
wiem że czułem
widziałem ciepło własnych tęczywek
świat gotów umrzeć na moje zawołanie
desperację tego co we mnie i ode mnie
teraz tylko-
linie papilarne spływają na podłogę
skóra ciąży na brudnych kościach
usta toną w kałużach obcych słów
przesypuję się przez własne dłonie
jak piach w oczy wpadam
nie widzę świata
i brak mi świata

manifest

bezczelnie paradujesz mi pod powiekami
z duszą pod ręką ja ze swoją zaciśniętą wokół szyi
niepozornie zawiązaną na kokardkę jakby miała być w prezencie
masz ego większe niż mam krwi na ustach
większe ego niż moje oczy widziały chujostwa
gdyby miało głos już dawno piłowałoby ci kości
pamiętaj
resztki żalu chowają się pod paznokciami
nie wie czy zasłaniać żaluzje czy zdrapywać tynk ze ścian
myślisz że odbicia ci nie uciekają
że nie widziały
jak łapczywie do porzygu zajadam się powietrzem
wyżłabiam w ewokacjach miejsca na kolejne słowa
jak odliczam do dwunastu i szukam (głosu po kątach)
pamiętaj
resztki żalu chowają się pod paznokciami
resztek żalu nie wygrzebieesz spod paznokci

próby

cały świat w twych dłoniach
(woła do kaczek puszczanych na wodzie)
brak sygnału
gdybym mógł to cały człowiek w jednym zdaniu
kiedyś myślałem że wszyscy przeciwko
później ja wszystkim
ostatecznie właściwie nikt
pamiętam co ale nie czy
zazwyczaj wolę niż nie
(a siadać to tylko na własnym ramieniu)
straciłem bo chciałem
teraz jedynie być w stanie
(afazja świadomości)
i co mi po tym
zresztą
jak urywać to wyłącznie –

Drzewo

Był pewien Chłopiec, który miał mądrą i bardzo dobrą Mamę. Pokazywała mu gwiazdy na niebie i łąkowe kwiaty, a wieczorami śpiewała do snu kołysanki, które sprawiały, że Chłopiec miał tylko piękne, kojące sny.

Mijały lata, Chłopiec trochę podrośł i spotkał pewną Dziewczynkę. W jej oczach była lodowa kraina. Nikt nie mógł tam wejść, a ona nie mogła z niej wyjść.

Dziewczynka często zerkła na Chłopca. Był tak żywy i radosny, że tylko patrząc na niego, czuła, jakby promyk światła i ciepła dostawał się w jej lodowate wnętrze. Chłopiec zauważył, że mu się przypatruje. Przez to, że odwzajemniał spojrzenia, stopniowo wchodził do jej krainy. To było trudne – lód, po którym stąpał, był śliski, nierzadko zdarzały się zamiecie śnieżne. Wracał z tych wypraw przemarznięty, chory i kaszlący.

Ale w domu zawsze czekała na niego Mama. Opatrywała jego skaleczenia i odmrożenia, rozpałała ogień i otulała kocami, karmiła pożywną, gorącą zupą. Jego przemarznięte ciało stopniowo tajało, ale dopiero, gdy Mama zaczynała śpiewać, ciepło dochodziło wreszcie do jego serca – i wtedy Chłopiec płakał. W objęciach Mamy wyptakiwał z siebie strach, zmęczenie i bezradność. Kołysanka za każdym razem zapewniała mu krzepiący sen. I nazajutrz on zawsze wracał przemierzać lodową pustynię.

Któregoś wieczoru Mama opowiedziała mu taką przypowieść:

– Wyszedł siewca siać ziarno... – Na końcu dodała: – Są cztery rodzaje gleby. Ale w przypadku tej Dziewczynki jest coś jeszcze – jej gleba jest głęboko zamarznięta. Niejedna osoba próbowała już zasiać tam ziarno. Niektórzy ludzie z niechęcią rozmawiali o Dziewcyńcy – że rzucili dla niej wiele dobrego ziarna, z którego nic nie wyrosło.

– Ona nie ma co jeść, bez pomocy umrze z głodu i chłodu – odparł Chłopiec.

Mama przygarnęła jego jasną głowę.

– Zanim zasiejesz ziarno, musisz stopić lód. Dopiero gdy spod niego wyłoni się gleba, będzie można na niej coś zasiać.

Mając te słowa w pamięci, Chłopiec na każdej wyprawie topił śnieg i lód w wybranym starannie przez siebie miejscu. Wciąż dokuczały mu zamiecie oraz wichry. Dostał jednak od swojej Mamy latarenkę oraz kolejną radę:

– Nie możesz zasiać tam rośliny, która potem nie przetrwa w tak trudnych warunkach. Musi to być niezwykle silne, wytrzymałe drzewo. Nie wiesz wszak, czy będziesz mógł przychodzić tam stale. Roślina musi sama przetrwać, gdyby ciebie tam zabrakło.

I Mama wysłała go do pewnej Staruszki, przebiegłej i mądrej, której większość okolicznej ludności zwyczajnie się bała. Ale nie Chłopiec. Pobierał u niej nauki przez wiele dni, a gdy dobiegły końca, Staruszka wiedziała już, czego poszukiwał.

– Co mi dasz za tak niezwykle ziarenko? – spytała. – Jestem już stara. W całym moim życiu nie posiadałam nic równie cennego. Przychodzili do mnie królowie i cesarze, bardzo chcieli kupić je za beczki złota i rzadkie klejnoty. Nie oddam go byle komu. Co chcesz za nie dać? – A mówiła to, wystawiając go na próbę, nie była bowiem zachłanna.

Chłopiec spojrział tylko długo i mocno w jej oczy. Z tego spojrzenia wyczytała, że miał szczere, czyste serce; że nie pragnął nasionka dla siebie, ale chciał je podarować komuś, kogo można by było za jego sprawą ocalić. Otworzyła drewnianą szkatułkę i podała mu lniany woreczek.

– Oto ono. Niech cię nie zwiedzie, że jest takie małe. Jak z ziarenka gorczycy wyrasta roślina, w której gałęziach gnieźdzą się ptaki, tak będzie i z nim. Zadbaj tylko, żeby padło na odpowiednią glebę.

Chłopiec schował cenne ziarenko i wyruszył w drogę. Udało mu się już stopić śnieg i lód na wystarczająco dużym obszarze, żeby roślina przetrwała. Jedną miał obawę – czy gleba będzie odpowiednia i przyjmie nasionko? „Nawet gdyby tak się nie stało, nie będę żałował wielodniowego trudu” – powiedział do siebie.

Dotarłszy na miejsce, rozgarnął palcami ziemię i ostrożnie włożył w nią ziarenko. I spragniona ziemia przyjęła je od razu – z wdzięcznością.

Niewiele dni minęło, gdy stało się to, o czym uprzedziła go dawniej Mama – nie mógł już wyprawiać się do mroźnej krainy. Nie widział więc, że z zasianego ziarna wyrosło potężne, silne i piękne Drzewo. Miało słodko pachnące kwiaty i owoce – przypominające kształtem rajskie jabłuszka, niezwykle w smaku i o leczniczych właściwościach. Zapach owoców i kwiatów oraz ciepło i siła, bijące z Drzewa, przyciągnęły liczne stworzenia, które osiedlały się w koronie bądź szukały schronienia pod konarami. Od ciepła zwierząt lód topił się na coraz większym obszarze. Ptaki wyśpiewywały melodie, których nie słyszano nigdzie indziej. Jelonki podskakiwały wesoło, a w jamach dokazywały małe liski. Jeże i nornice pływały się to w opadłych liściach, to znów w opadłych kwiatach.

Drzewo wydawało nasiona, z których z czasem wyrosły kolejne rośliny, tworząc zagajnik. Dziewczynka przychodziła tam często, pokrzepiała się owocami i zaprzyjaźniała ze zwierzętami. A gdy była chora, kładła się pod Drzewem. Sam zapach kwiatów i kory wzmacniał ją i koił, owoce leczyły. Słuchała szumu wiatru w koronie i śpiewu ptaków.

Zbierała też jabłuszka do koszyka i przynosiła innym, którzy się źle mieli, aby i oni mogli doznać ukojenia. Niektórzy szli wraz z nią aż do Drzewa – i stawali w zdumieniu.

– Tak, jest piękne i dobre – mówiła – ale to nie ja je zasadziłam, zrobił to Chłopiec.

A zdarzały się tam burze śnieżne, podczas których ginęły drzewa-dzieci, tworzące zagajnik. Pewnego razu rozpętał się huragan, który połamał je wszystkie, ale pierwsze Drzewo ocalało. Okrutny wichur poszarpał słodko pachnące kwiaty, sponiewierał liście i owoce – jednak Drzewo, zasadzone przez Chłopca, nadal żyło. Wypuściło nowe pędy i zrodziło świeże pąki. Dziewczynka patrzyła, jak odradza się jego zieleń. Podchodziła bardzo blisko do Drzewa, kładła dłonie na korze, dotykała ustami pąków i szeptała w ich wnętrza słowa pociechy. Czasem po prostu przytulała się do pnia. „Drzewo tyle razy mnie leczyło i koło. Teraz ja chcę je uleczyć” – myślała.

*

Nad miastami i wioskami, ponad górami i łąkami szybował Diabeł – przeciwnik. Wypatrywał ludzkich serc, gdyż jest tym, który kradnie, zabija i kłamie. I zobaczył Dziewczynę. Zajrzał jej w oczy. Wodził wzrokiem po lodowej krainie i cieszył się, widząc takie spustoszenie w ludzkim wnętrzu.

Naraz krzyknął z wściekłością. Ujrzał Drzewo i wiedział skądś, że ten, który je zasadził, włożył w to nie tylko ogrom pracy, ale i całe swoje serce. Patrzył na Drzewo i na Dziewczynę i poczuł to samo, co w zamierzonych dniach, w ogrodzie Eden. Widział wówczas Adama, Ewę i Boga, którzy żyli razem, spacerowali, rozmawiali, posilali się wspólnie wśród śmiechu. Byli rodziną. Patrzył na to wąż i czuł wściekłość, zazdrość, ból. On także miał rodzinę, dopóki się nie zbuntował i nie został strącony z Niebios – on, namaszczony cherubin! A teraz widzi miłosną relację Boga i Jego stworzenia. Patrząc na nią, sam czuł się do głębi sierotą. I jak w ogrodzie Eden postanowił zniszczyć rodzinę i uczynić ludzi sierotami, tak ujrzawszy Dziewczynę i Drzewo, zapłonął żądzą rozdzielenia dwóch złączonych dusz, rozszarpania dwóch dziecięcych serc.

Uknuł plan. Nie potrafił przybrać postaci Chłopca, jednak wdarł się do miejsca, w którym rośło Drzewo. Zaczął grać zwodnicze dźwięki. Dziewczyna, usłyszawszy je, z początku bała się, ale gdy Diabeł przedstawił jej się imieniem Chłopca i łagodnie do niej przemawiał, stopniowo oswajała się z jego obecnością. Zwodzielec przynosił także Dziewczynie zatrute owoce, a ona je jadła, ufając, że daje jej ten, który tak wiele dla niej czynił.

Nie wiadomo, co zatruiła ją bardziej: fałszywe owoce czy zdradliwe dźwięki; dość, że zaczęła chorować i miała się coraz gorzej. Diabeł próbował ją również odciągnąć z dala od Drzewa. Nie był widoczny, ujawniał swoją obecność jedynie poprzez dźwięki, słowa i dotyk. Z czasem zdobywał coraz większe zaufanie Dziewczyny, która szła i szła za jego głosem, zostawiając Drzewo w oddali.

Niezwykła roślina nadal jednak przyciągała zwierzęta. W swojej wędrówce Dziewczyna natknęła się na Łanię, która szybko domyśliła się podstępów Diabła.

– To nie jest Chłopiec! – powiedziała stanowczo, patrząc Dziewczynie w oczy, które wypełniły się bólem na dźwięk tych słów.

– Okazuje mi tyle miłości, to musi być on – odparła cicho, lecz z mocą.

Łania popatrzyła z uwagą w jej twarz.

– Nic nie wiesz o miłości – rzekła i zastukała kopytkami.

Minął jakiś czas. Dziewczyna wciąż jadła zatrute owoce, jednocześnie rozmyślając nad słowami Łani. Wypełniało ją pragnienie, by Chłopiec był przy niej stale; łaknęła jego słów, spojrzeń, obecności. I dlatego tak trudno było jej się zgodzić z Łanią. Zwodnicze dźwięki i owoce osłabiały ją coraz bardziej i zaćmiewały jej umysł. Była przez to jeszcze bardziej podatna na kłamstwa.

Po wielu dniach Diabeł uznał, że zdoła wmówić jej, iż nie jest i nigdy nie będzie godna Drzewa. Sączył jej do ucha i serca:

– Kim jesteś, aby uważać się za godną posiadania tak pięknej rośliny? Za kogo się masz? Jesteś brzydka, głupia, nędzna i podła. Czy naprawdę sądzisz, że ktoś taki, jak Chłopiec, przyszedł tu, żeby ofiarować ci coś tak cennego?

– Ale ono jest... Wiem, że jest... – odrzekła słabo.

– Jest? Rozejrzyj się wokół. Wszędzie lodowa pustynia. Tego Drzewa nigdy nie było, wymyśliłaś je. Kłamczucha! Wszystkich okłamujesz i siebie samą też!

Dziewczyna pod ciosami tych słów opadła na kolana i dłonie. Ostatkiem sił wołała jeszcze Chłopca po imieniu. Nie widziała niczyjej twarzy ani sylwetki, ale ktoś szeptał jej do ucha:

– Tak, to ja... Jestem... Połóż się tutaj, to Drzewo.

Jednak był to Diabeł. Przemawiał do niej teraz innym, łagodnym głosem, żeby wzięła go za Chłopca.

– Połóż się, odpocznij... Słyszysz śpiew ptaków?

– Nie...

– Za chwilę je usłyszysz. Połóż się tylko, a poczujesz zapach kwiatów. Będiesz bezpieczna... Będiesz kochana...

Posłuszna tym nakazom Dziewczyna położyła się w śniegu. Nie czuła zimna. Czy czuła jeszcze cokolwiek? Pograżając się stopniowo w diabelskim śnie, utkanym z kłamstw i zdradliwych dźwięków, wciąż wołała Chłopca po imieniu.

Zaczął padać śnieg. Miniaturowe misterne rozety opadały delikatnie na skulone na ziemi ciało Dziewczyny, tworząc całun. Nagle gdzieś zawołał ptak. Ten dźwięk zakłócił białą przestrzeń. Wdarł się w nią jeszcze raz i jeszcze. Biel przestała być tak wszechobecna. I powiał Wiatr. Zdmuchnął śnieg z ciała Dziewczyny. Potem dmuchnął jeszcze raz, mocniej – czym uniósł na chwilę jej dłoń. Wiatr przybierał na sile i udało mu się podźwignąć Dziewczynę. Wtedy ciepłymi podmuchami zaczął masować i rozcierać skostniałe z zimna członki jej ciała. Począwszy od dłoni i stóp, dotknął następnie jej twarzy i tak stopniowo przywrócił ją do życia.

Gdy otworzyła oczy, chciała go o coś zapytać, jednak żaden dźwięk nie wydobył się z jej krtani. Wiatr, widząc to, wdarł się w jej rozchylone usta i tchnął w nią siebie. Potem popatrzył jej w oczy.

– Czy jesteś Chłopcem? – Oto, jakie były jej pierwsze słowa.

– Nie, jestem Wiatrem, a ty masz teraz nową naturę – jesteś jedno ze mną, bo tchnąłem w ciebie dech.

– Czy Chłopiec tu przyjdzie?

Wiatr milczał dłuższą chwilę.

– Zaprowadzę cię do Drzewa – odparł w końcu. I szli dłuższy czas razem.

Gdy błękitny motyl przysiadł na nadgarstku Dziewczyny, wiedziała już, że do zagajnika jest niedaleko. Widząc w oddali Drzewo, zaczęła biec, nie mogąc doczekać się przywitania. Przypadła do pnia, wiodąc opuszkami palców po wgłębieniach chropawej kory.

Wiatr rozwichrzył jej włosy i zaszumił w koronie Drzewa. „Dzięki wiatrom drzewa stają się silniejsze, a gdy zabraknie wiatru, rozkładają się pod własnym ciężarem” – przypomniała sobie Dziewczyna. Nie pamiętała, kim była ta, która oznajmiła jej te słowa; wiedziała tylko, że stało się to wiele-wiele lat temu i że ta Kobieta była dla niej dobra i troskliwa. I jeszcze – że śpiewała dla niej kołysanki, od których miewało się kojące sny.

Dziewczynka, która stała się Dziewczyną, bardzo pragnęła, żeby Chłopiec spotkał się z nią pod Drzewem. Żeby zobaczyć, jakie jest wspaniałe i że nadal żyje, i wydaje obfite owoce, którymi karmi się nie tylko ona sama, lecz także zwierzęta oraz inni ludzie. Chciała, żeby cieszył się tym razem z nią i aby wiedział, że cały jego trud nie poszedł na marne.



Alicja Dzumylo

Najpopularniejszy

dziewczyna skacze z dziesiątego piętra
jeansy
jasny sweter
biało-czarne sportowe buty
włosy proste
zadbane

tyle widzę
na amatorskim nagraniu

inny obraz głębokiego smutku
kiedy załatwia się do łóżka
nie dba o higienę
gapi na ścianę

dzień zwykły
śniadanie
delikatny makijaż
audycja w radiu

mężczyzna który ważył kapustę
zmienia papier w kasie fiskalnej
kobietę której mówiła dzień dobry
ochlapał autobus

skok niepewny
Dominik pomóż
nie utrzymam

wisi na zewnątrz budynku
wdrapuje się
opada
wdrapuje znowu
puszcza
spada na dach przedsionka

filmik urywa się
krzykiem
niewyraźnym obrazem

przesyłany między komputerami
w pustym mieszkaniu
przy słabym świetle
trzynastoletni chłopiec
dotyka zimna

Zimowy spacer

mało śniegu
sanki szły po oblodzonej ulicy
trawnik wypalony mrozem

w drewnianym domku
zabawki ubrudzone piaskiem i błotem
próba ich ożywienia
potrząsanie zmarłym

szarówka
chłód kłuje w twarz
szybki powrót do domu
który zostawiłaś

z sali w której leżysz
nie wrócisz tylko ty
ze oknem gaśnie neon
sklep z narzędziami

Okno

dla domu w którym się wychowałem
charakterystyczny był wujek
z kuchni na pierwszym piętrze
rzucał mięsne odpadki kotom

koty długo czekały
nawet gdy wychylał się
tylko po to by zapalić

mało interesujące zjawisko
dokarmianie bezpańskich zwierząt
lecz jeśli się zastanowić
nikt w całym bloku
a być może na całym osiedlu
nie robił tego w ten sposób

pięćdziesięcioletni mężczyzna
pali papierosa przez lufkę
pije zimną przesłodzoną herbatę
na kilka może kilkanaście lat
przed śmiercią która dla mnie była pierwszą

Pamięć po wuju Jerzym

twoja śmierć wyrównuje różnice
ohydne kłamstwo
w które nie wierzą księża
wygłaszają mowy
z nadmiaru woskowiny
czują świąd mikrofony

dwóch mężczyzn wypala trawy
ogień unosi pięści
wygraża
odkształca się ciepłem na skórze
scena śmierci powietrza
mijas ją
jak machających rękami
o topniejących ciałach

pokój nie oddycha
nie chcesz otworzyć oczu
promień słoneczny oplata nadgarstki
tamuje krew
masz lat sześćdziesiąt jeden
za ścianą matka wrasta w materac
pogłębia odleżyny
ratujesz się
pierwszą stroną książki
programem dyskusyjnym
odbyło się
co najważniejsze
rozbłysło jak błyskawica
ty
znikający punkt
rozbrajasz ładunek wybuchowy
budzika
nie budź się
nie budź

Deformator

– I to wszystko na dziś – oznajmił Juzo, właściciel warsztatu, dokręcając ostatnią śrubkę na protezie ramienia klienta. – Proszę poleżeć jeszcze moment, żeby skończyła się kalibracja z układem nerwowym.

Pacjent podziękował uprzejmie. Nie była to jego pierwsza wizyta, ale Juzo wołał zawsze przypominać. Zwłaszcza odkąd mechaniczne modyfikacje ciała stały się popularne. Świadomi tego, że co by się im nie stało, zawsze będzie można to naprawić, ludzie zaczęli stawiać się coraz bardziej lekkomyślni.

– Gdyby czegoś pan potrzebował, będę na zewnątrz. – Skinął głową w kierunku balkonu i odszedł.

Znalazłszy się na świeżym powietrzu, Juzo zapalił papierosa i oparłszy się o balustradę, spojrzał na ulicę. Obserwowanie przechodniów relaksowało go. Szukał wśród nich posiadaczy protez i innych zewnętrznych implantów. Jeszcze rok temu dostrzegał pojedyncze przypadki, lecz teraz, gdzie jego oczy by się nie zatrzymały, tam kogoś znajdował. Nawet jeśli te osoby nie były klientami jego warsztatu, Juzo odczuwał dumę. Technologia zdążyła już pomóc tak wielu... W tym jemu samemu. Dwadzieścia lat temu Juzo stracił w wypadku prawą nogę i dopiero przy pomocy mechanicznej protezy, którą sobie samodzielnie skonstruował, stanął w końcu na obu nogach, przy okazji odkrywając życiową pasję. Niespodziewana okoliczność wybiła go jednak szybko ze wspomnień.

Po przeciwnej stronie ulicy stała dwójka młodych ludzi ubranych w białe uniformy – chłopak i dziewczyna. Musieli być rodzeństwem, bo oboje mieli identyczne, krótkie bladoblonde włosy i wydatne kości policzkowe. Dwójka rozpaczliwie próbowała zdobyć uwagę tłumu, wypychając wręcz na siłę ulotki. Cokolwiek reklamowali, skoro nikogo to nie obchodziło, Juzo stwierdził, że jego również nie powinno.

*

Minęły dwa tygodnie. Tego dnia Juzo miał umówioną wizytę pewnej kobiety, która potrzebowała implantu skóry twarzy. Było to dość niecodzienne zamówienie, po którym spodziewał się u pacjentki oparzeń czy innych widocznych obrażeń, lecz takowych wcale nie miała. Okazała się młoda i atrakcyjna, bez żadnych ścisłe medycznych powodów do operacji. Juzo zapytał ją, dlaczego zgłosiła się do niego. Odparła:

– Wtedy nigdy nie przestanę być piękna.

Klient to klient. Wie, co dla niego najlepsze. Juzo przekonywał się przez całą operację. Mimo to, kiedy podał kobiecie lusterko, by mogła przyjrzeć się końcowym efektom, nie potrafił podzielić jej euforii. Zafascynowana swoim nowym wyglądem pacjentka nawet nie dostrzegła grymasu wątpliwości, jaki pojawił się na twarzy mistrza warsztatu. Pożegnawszy ją, Juzo udał się na balkon zapalić.

– Czy aby na pewno było to konieczne? – mruknął, przypatrując się obłokom wydmuchanego dymu.

Na drodze, tym razem trochę dalej od warsztatu, znowu stało rodzeństwo agitatorów. Ostatnio często tu bywali. Od czasu do czasu pojedyncza osoba nawet się zatrzymywała, by ich chwilę posłuchać.

– Syn tamtego faceta musi być ich rówieśnikiem – zauważył.

W wypadku, w którym w młodości Juzo stracił nogę, uczestniczył drugi samochód. Jego kierowca zginął na miejscu. Dziecko jadące z tyłu miało więcej szczęścia. Juzo marzył, żeby odnaleźć i zadośćuczynić

sierocie, lecz to było niemożliwe. Nikt nie podałyby mu potrzebnych danych. Zwłaszcza, że nie był pewny, czy to był w ogóle chłopiec.

*

Miesiąc później. Juzo wciąż z trudem przyzwyczajał się do tego, że przez niedawno wprowadzone zarządzenia jego warsztat przemianowano na klinikę, a on sam zyskał tytuł doktora. „Ustawa antydyskryminacyjna”, bo tak nazywało się nowe prawo, sprawiła, że przychodnia Juzo wypełniła się po brzegi pacjentami, którzy nie byli ani trochę podobni do jego poprzedniej klienteli. Ich ciała miały w sobie już tyle metalu, że momentami zapominało się, że wciąż są ludźmi.

– Mimo wszystko, w środku nadal jesteśmy tacy sami. – Juzo westchnął, przykucając na balkonie.

Nie miał nawet nastroju na oglądanie przechodniów. Po prostu zamknął oczy i myślał. Zarówno o tym, co jest, jak i o tym, co było. Miał wtedy 18 lat. Wracał późną nocą pijany z imprezy. Prawo jazdy posiadał od paru tygodni, ale brawura wzięła górę. W pewnej chwili przysnął z nogą na gazie. Zniosło go w lewo. W najgorszym możliwym momencie. Prosto na czołówkę z nadjeżdżającym pojazdem. Prosto do życia pełnego wyrzutów, w którym nigdy nie znajdzie odkupienia, niezależnie ilu ludziom pomoże.

W tym czasie naprzeciw kliniki kilku policjantów, z których każdy miał wszystkie kończyny mechaniczne, rozganiało grupę gapiów, a jasnowłose rodzeństwo wymykało się w boczną uliczkę.

*

Kolejne tygodnie mijały. Juzo jakoś odnalazł się w fali drastycznych zmian, jakie wstrząsnęły społeczeństwem. Ludzie bez protez byli już mniejszością. Najwidoczniej tak musiało być. Wszystkie głosy wątpliwości, jakie przewijały się wokół, zdawały się zanikać. Wbrew obawom, które gdzieniegdzie się wcześniej pojawiały, posiadacze mechanicznych udoskonaleń wcale nie stawiali się obywatelami pierwszej kategorii. Aż pewnego dnia Juzo stracił tego pewność...

Od samego poranka w poczekalni kliniki panowało nadzwyczajne poruszenie. Pacjenci w małych grupkach zażarcie dyskutowali o czymś półgłosem. Juzo nie potrafił stwierdzić, o co dokładnie chodziło, więc z ciekawości wyłonił się ze swojego gabinetu. Kiedy jednak został dostrzeżony, wszystkie rozmowy nagle wygasły. Zapanowała nienaturalna głucha cisza.

– Czy coś się stało? – spytał.

Nie otrzymał jakiegokolwiek odpowiedzi. Jedynie pogardliwe spojrzenia wbiły się w niego na moment, jakby popełnił niewybaczalne wykroczenie. Wobec tego wzruszył niepewnie ramionami i oświadczył:

– Następny, proszę.

To zdarzenie nie dawało Juzo spokoju. Gdy tylko nastał czas przerwy, zamknąwszy za sobą klinikę, udał się do pobliskiego sklepu kupić gazetę. Liczył, że naprowadzi go to na trop wcześniejszego zamieszania i miał rację. Już na pierwszej stronie znalazł się krzykliwy nagłówek: „Partia Postępu zakańcza ucisk syntetycznych”. Syntetycznymi nazywano obecnie osoby, u których ilość mechanicznych implantów w ciele przekraczała 50 procent. Mieli od teraz zyskać wiele przywilejów kosztem „organicznych”. Między innymi priorytet w kolejkach do lekarzy, osobną komunikację miejską, prawo do utworzenia przestrzeni z zakazem wstępu dla organicznych, a także sporo innych.

– To ktoś ich uciskał? – W zdziwieniu odłożył gazetę na półkę.

Wracając do siebie, Juzo zastał przed budynkiem sporej wielkości tłum. Nie byli to jednak pacjenci czekający na jego powrót. Przebiwszy się przez gęszcz ludzi, Juzo zobaczył, że zebrali się oni, by obejrzeć jego zdewastowaną klinikę. Wszystkie przednie szyby były rozbite, drzwi frontowe wyłamane, a nad całością górowało złowieszcze graffiti, które przedstawiało w połowie metaliczną czaszkę ze świecącym czerwioną okiem.

Uprzątnięcie zniszczeń zajęło Juzo cały wieczór. Musiał zająć się wszystkim osobiście, bo żadna firma remontowa nie była dostępna w tak krótkim czasie, a na domiar złego policja uznała jego zgłoszenie za mało istotne. Zamałował dzieło wandal, jakoś naprawił drzwi i zamówił nowe szyby. Szyby... Przekłète szyby. Gdyby nie one, mógłby już jutro otworzyć się jak zwykle, a tak czekał go zastój. Wci¿ rozmyślajc o tym, jak jego krzywda została zlekcewaŹona, Juzo położył się spać.

Obudził go dźwięk tłuczonego szkła. W pierwszej chwili Juzo uznał go za część snu, ale trzaskający szum, który potem nastąpił, zaniepokoił go. Zerwał się gwałtownie i zamarł. Jego mieszkanie płonęło. Zanim zdążył się ruszyć, kolejna zapalona butelka wleciała przez wybite okno i wybuchła tuż przy jego łózku. W panice strzepnął z siebie kołdrę, która zajęła się ogniem. Dobiegły go okrzyki z zewnątrz, gdzie zebrały się nieprzebrane masy zamaskowanych ludzi. Z krzykiem rzucił się ku drzwiom.

Juzo musiał uciekać. Mieszkał na piértrze swojej kliniki, ale było z niej inne wyjście ni¿ front, przed którym czekali napastnicy. JeŹli udałoby mu się do niego dotrzeć, będzie w stanie zawiadomić odpowiednie służby. Mo¿e tym razem posłuchają... Nie dane mu było jednak spełnić tego zamiaru.

Kiedy Juzo był już w połowie schodów, poczuł nagłe uderzenie w tył głowy. Poleciał do przodu i upadł boleŹnie twarzą o podłogę. Jego ciało zdrętwiało. Metaliczny posmak wypełnił jego usta. Choć słyszał wszystko jak przez taflę wody, przebił się do niego stukot czyichś obcasów. Wkrótce został uniesiony do pozycji siedzącej.

– Witaj, deformatorze – przywitał go kobiecy głos.

W jej właścicielce Juzo rozpoznał agitującą w okolicy dziewczynę. Oprócz zwykłego białego stroju miała na sobie krwiście czerwoną pelerynę i trzymała w ręku okazałej wielkości młotek. Osobą, która trzymała Juzo, musiał być jej brat.

– Nie mogliŹmy doczekać się spotkania z tobą. W końcu, po tych wszystkich latach... Dlatego właŹnie wybraliśmy ciebie za pierwszy cel.

– Kim jesteŹcie?! Czego chcecie? – Juzo zapytał nieprzytomnie.

Dziewczyna zaśmiała się. Emanowała niewyobraŹalnym fanatyzmem.

– OczyŹcić ten Źwiat z plugaŹstwa, jakim ty i tobie podobni go wypełniliŹcie. By sprawić, Źe człowiek odzyska swoje człowieczeŹstwo i przestaŹnie być mechaniczną karykaturą. A oprócz tego... – Zamachnęła się młotkiem. Cios był na tyle potężny, Źe proteza Juzo roztrzaskała się, a on zawył z bólu.

– PomŹścić ojca, którego nam odebrał. Na naszych oczach – dokończył chłopak.

Gdy lina zaciskała się na jego szyi, Juzo pogodził się z losem. Demony przeszłości nareszcie go dogoniły. ZawiŹnie w imię rewolucji, zapomniany przez większoŹć, zapamiętany wyłacznie jako „deformator” przez tych, którzy nie mogli pogodzić się ze zmianami.



wargi

zimnymi wargami
na szybie zostawiasz
ust siny kontur

wyziera z niego pustka
jak z muszli
której wyrwano perłę

dwadzieścia tysięcy oddechów mniej

dwadzieścia tysięcy oddechów mniej
zagłuszyło dziś stukot
jednej pary sztućców przy kolacji

zabrało czubkami nosów czułe tulenie
tuż przez zaśnięciem
i objęcia, które ratują po nocnym koszmarze

dwadzieścia tysięcy oddechów mniej
ściska boleśnie serce
odbierając w płucach powietrze

dwadzieścia tysięcy oddechów mniej
zbudziło nagłą ciszą
ciszą w której rozbrzmiewa modlitwa
moich oczu
o twój rychły powrót

Rycerz i Bestia

Bestia. Najstraszniejszy stwór, jakiego widziały ludzkie oczy. Koszmar chroniący ruin zamku, w którym w najwyższej komnacie najwyższej wieży mieszka księżniczka. Najpiękniejsza istota chodząca po ziemi. A przynajmniej tak o niej mówią rozmarzeni rycerze, próbujący od lat wyzwolić biedaczkę z łap upiornej mary.

Pewnego dnia przychodzi rycerz. Przychodzi nie po to, by uwolnić księżniczkę. Przychodzi do Bestii. Mówi, że go inspiruje. Przedstawia się z imienia. Bestia jest zdezorientowana. Bo co powinna zrobić z takim osobnikiem? Nie zabija rycerza. Zastrasza go i odchodzi. Rycerz niezrażony pojawia się kolejnego dnia. Bestia znów próbuje go zbyć. Nic z tego. Rycerz znajduje miejsce, gdzie może usiąść i zaczyna mówić. Wie, że Bestia go obserwuje. Próbuje ją pytać o motywacje jej działań. Gdy odpowiada mu cisza, zaczyna opowiadać o swoich podróżach.

I kolejnego dnia – o swoich doświadczeniach.

I kolejnego dnia – o swojej przeszłości.

Dawno temu był największym tchórzem, jakiego widział świat. Nie wkładał w nic więcej energii, niż było konieczne. Bardzo łatwo się poddawał. Słyszał już wtedy o księżniczce w zamku chronionej przez Bestię. Wtedy się z tego naigrywał, ale cała sytuacja go intrygowała. Nawet przyszedł raz pod ruiny. Przecież nie może być to takie trudne.

Wtedy nie wszedł nawet do zamku.

Krzyki go przeraziły.

Potem w tawernie słyszał nieraz o Bestii. Nie o księżniczce. O Bestii, która była celem. Księżniczka stała się legendą. Mitem. Rycerze wzięli sobie za punkt honoru pokonanie Bestii. I coraz więcej historii krążyło wokół niej. Oczywiście, że o księżniczce rycerze też marzyli. Wychodziło z nich to dopiero późno w nocy.

Któregoś dnia zaintrygowany rycerz zaczął się przy zamku. Potrafił chować się i skradać jak niejeden złodziej. Życie tchórza nie poszło na marne. Obserwował zamek przez kilka dni. Dzień i noc. Pewnego dnia zauważył wyłaniającego się z zamku stwora. Już sam widok potwora zmroził mu krew w żyłach. Chciał przestać na niego patrzeć, ale było w nim coś hipnotyzującego. Domyślił się, że to właśnie musiała być Bestia. Obserwował ją, nawet się nie poruszając. Starał się wprowadzić swój organizm w stan niemalże całkowitej hibernacji.

Bestia zbliżyła się do fosy okalającej zamek. Zniżyła się i dotknęła swoją kończyną wody. Albo rycerzowi się zdawało, albo przeszedł ją dreszcz. Bestia patrzyła przez chwilę na taflę. Potem wzięła kilka wdechów i zaczęła powoli wchodzić do wody. Była cała spięta. Jak Bestia może być spięta? Dlaczego rycerz tak dobrze odczytywał jej emocje. W ogóle czy Bestia może mieć emocje? Był zahipnotyzowany.

Bestia na chwilę całkiem zniknęła pod wodą, po czym gwałtownie się wynurzyła, prychając i kaszląc. Wyszła z wody i zniknęła w zamku. Rycerz był schowany w krzakach jeszcze przez długi czas. Jak zaczął wpatrywać się w miejsce, gdzie zniknęła Bestia.

Od tego momentu rycerz jeszcze wprawniej obserwował zamek. Wiedział już, że Bestia ma swój rytm dnia. Z rana jej cień przechadzał się po murach zamku albo pojawiała się ona tu i ówdzie w oknach. Około południa zawsze przebywała w głównym holu. Była to ulubiona pora śmiazków, próbujących uwolnić księżniczkę. Zwykle potem Bestia sprzątała bałagan przez nich zrobiony. Chyba że kogoś zabijała. Teraz wiedział,

że zdarzało się to niezwykle rzadko. Prawie nigdy. Tylko gdy nie było innego wyjścia. Potem zawsze szła na oczyszczającą kąpiel do rzeki. Jakby chciała się obmyć z okropieństwa tego czynu. Od kiedy rycerz zaczął ją obserwować, zrobiła tak jedynie dwa razy. Popołudniami się nie pojawiała. Dopiero pod wieczór można było ją zauważyć na murach. Późnymi wieczorami siedziała na jednym z balkonów i patrzyła w niebo rozgwieżdżone i ciemne. Wtapiała się w nie. Rycerz rozumiał, że ona także ma uczucia. Że potrafi przeżywać. Że czuje. Zorientował się, że zaczął patrzeć na nią jak na człowieka. Pozostawało mu tylko pytanie. Dlaczego? Dlaczego od tylu lat chroni księżniczkę? I co musi czuć? Nie znajdował odpowiedzi na te pytania. Ale zaczął podziwiać jej wytrwałość i zaangażowanie. Całkowite poświęcenie i lojalność. Zdał sobie sprawę, że to jest właśnie to, czego jemu samemu brakuje.

W którymś momencie postanowił wyjechać. Spróbować zaangażować się w coś całym sercem. Spędził kilka lat, poszukując celu. Podróżował po odległych krainach. Ratował damy w opałach. Ochroniał bezbronne wioski. Walczył ze smokami. Ale wciąż mu czegoś brakowało. Teraz powrócił. Dowiedział się, że Bestii wciąż nikt nie pokonał. Postanowił więc odnaleźć odpowiedzi na pytania, które chodziły za nim przez te kilka lat.

Cisza.

Rycerz westchnął i uśmiechnął się. Wstał. Wtedy stanął przed nim cień Bestii. Potem z cienia wynurzyła się sama Bestia w pełnej okazałości. Dopiero teraz mógł jej się przyjrzeć.

– Mogę cię zabić tu i teraz – odezwał się niski przesywający głos. Wywołał ciarki na jego plecach, odbijając się w głowie.

– Wiem o tym, ale nie zrobisz tego. – Rycerz patrzył prosto na nią. – Nie zabijesz mnie bez powodu.

Przez chwilę stali, wpatrując się w siebie.

– Jestem Percival – powiedział po chwili rycerz, skłaniając się delikatnie. – Myślę, że wypada przedstawić się raz jeszcze. – Spojrzał ponownie na Bestię. – A jak powinienem mówić na ciebie?

Bestia poruszyła się nieznacznie, słysząc to pytanie. Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała uciec. Ale po kilku długich sekundach rycerz usłyszał głos, którego nigdy wcześniej nie słyszał. Był delikatny i melodyjny. Odbijał się echem w ruinach zamku. Wydawało mu się, jakby ktoś ze studni szepnął:

– Bella.

Gdy Bestia tylko wypowiedziała te słowa, owiała ją bryza świeżości. Jak dawno nie mówiła swojego imienia? Jak dawno pozbawiła się człowieczeństwa?

Rycerz trwał zszokowany, w miarę jak kolejne litery jej imienia grawerowały się w jego pamięci, jak widział jej oczy i delikatny uśmiech. Zobaczył jej drobny nos i opadające ramiona. Oddychała głęboko.

Nie wiedział, co widzi. Ale jednego był pewien. Instynkt go nie zawiódł. Miał rację. Bestia miała w sobie namiastkę człowieczeństwa.



chwila przed północą

wieczorowe bezistnienie
strukturalnie się rozrasta:
księżyc krąży nieskończenie,
łuna mży w grudniowych blaskach
wypukłości ciał niebieskich
strzępią boskich nieb sklepienia
tkają gwiazdne arabeski –
ornamentów haft zamiera
księżycowe mary bledną
między-drzewa rozproszone;
prześwitują nadaremno
szepty harf alabastrowe

wieczór w pustkach

wieczorowy ptasi klankor
sunie wartko przez niebiosy;
rozrzedzony śpiewem dębu
tnie ametyst niedowrzosa
bezustannie się rozrasta
dławiąc w sobie żar istnienia –
trwa potęgą wiecznej nocy
krążąc: z ducha do wcielenia

pod sklepieniem drzew

rozwarstwione kształty drzew
rozrosły się: obco – płynnie –
na strukturze niebios-wszech
milcząc szeptem – utopijnie
rozedrgały przestwór zim
tnąc (na ukos!) zórz-sklepienie
wplatać się zaczęły w sny –
widnokręgów smug istnienie
kontur drzew przysłania dal:
bezkres toni rozebranej – –
zarys mgieł nie niknie – trwa
przestwór nocy rozplątanej

preludium świtu

matowieje niebo – spójrz!
blednie cicho w krańcach bytu –
ponad firmamentem zórz
mży zbielała pieśń przedświtu;
rozpostarty blady ton
spłowiełego poematu
wznosi pod widnokrąg dzwon
rozwidniając rdzeń zaświatów;
dnieje z wolna marzeń skra
przenikając wachlarz słońca –
to miraży widmo trwa,
skrzy się rys przestworu końca;
nieskończony senny mit
trwa w przestrzeni niepojętej;
tkany – na wzór gwiazdy – świt
śpiewa wciąż ballady święte

Kino

Jeżeli potoczyło się wszystko, tak jak się miało potoczyć, zaczynając od najdawniejszych dziejów, teraz mamy możliwość zobaczyć przyszłość. W tej konkretnej chwili. Jest to niesamowite i zapewne niemożliwe, jednak tak się dzieje. Musiało się tak potoczyć, jak się potoczyło, innej możliwości nie ma. Potoczyło się tak, jak miało się potoczyć. Inne możliwości nas nie interesują...

Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak się miało potoczyć, to bohater jest w kinie. Ciężko jednak nazwać go bohaterem... Bohater musi czymś się wykazać, aby być bohaterem. Nasz jednak siedzi i ogląda film. Jest to niewiele. Nie wiemy nawet, czy myśli, czyli czy istnieje...

Pozostawmy jednak te dywagacje na później. Czyli, jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak się miało potoczyć, to znajdujemy się w kinie i obserwujemy naszego bohatera. Nic nam nie zmienia fakt, że jego przodkami byli Jan, Kazimierz i Maurycy. Nie jest to istotne. Jednak z jakiegoś powodu to wiemy...

Więc, jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to nasz bohater siedzi w kinie i ogląda film. Film ten się zmienia, dostosowuje. Można uznać, że ewoluuje. Nie jest to film nam znany, jednak jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to będziemy mogli poznać ten film. To film nowy, inteligentny. Stanie się prawdą objawioną. Film ten jest rzeczą niesamowitą. Spełnia wszystkie stawiane przed nim zadania. Rozwiązuje je perfekcyjnie. Film kreuje się na coś nowego, jednocześnie dalej to jest film. Film ten oddaje myśl...

Jeżeli wszystko się wydarzyło, tak jak się miało wydarzyć, to film pełnie powoli do naszego bohatera. Zbliża się do niego. W pewnym momencie zaczyna kroczyć. Pełnie i kroczy, czyli dąży. Skoro dąży, to znaczy, że istnieje. Istnieje... Jest to coś niespotykanego, w końcu mamy punkt oparcia. Coś w końcu istnieje, więc jeżeli potoczyło się tak, jak się potoczyło, to film powoli opłata się wokół naszego bohatera. Możemy się obawiać, czy nie zacznie go dusić. Jednak nie dusi...

Jeżeli wszystko się wydarzyło, tak jak miało się wydarzyć, to nasz bohater wstaje i wychodzi z kina. Przechodzi przez długą, szary korytarz. Wychodzi na ulicę. Nie wiemy jednak, czy film się skończył, czy trwa dalej... Czy to jest istotne? Czy to jest istotne? Czy to jest istotne... Kwiaty pachną przepięknie o tej porze roku. Gwiazdy zaś pięknie mrugają. Czekają tylko, aż ktoś je odkryje... Czy to nie jest interesujące? Tak siedzieć i patrzeć na nocne niebo... Rozważać i myśleć... Czy to nie piękne? Nie trzeba się martwić, żyje się w chwili i patrzy na gwiazdy...

Więc jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, nasz bohater dociera do kamienicy. Niczym nieodróżniający się budynek od innych budynków. Szary. Można by uznać, że całe miasto tworzy labirynt – labirynt szarych, jednakowych kamienic. Jednak nasz bohater się nie gubi. Porusza się z doskonałą precyzją. Nie gubi się, dociera do celu. Trwało to tyle, ile musiało trwać. Ani za długo, ani za krótko. Wchodzi do kamienicy. Przechodzi przez jeden, następnie przez drugi pokój. Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to nie widzimy, jak te pokoje wyglądają. Bohater na nie nie patrzy. Nigdy nie patrzył, więc dlaczego teraz miałby spojrzeć na nie? Muszą być więc nieatrakcyjne, nudne, szarawe? Może jednak takie nie są i wypełniają je obrazy znanych, dawnych mistrzów pędzla? Taki portret zbiorowy Franciszka Halsy spogląda sobie na żywych...

Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to bohater wchodzi do swojego mieszkania, a właściwie pokoju. Pokój... może to za dużo powiedziane... Jednak w nim ktoś mieszka... Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to to pomieszczenie jest niewielkie, jednak strasznie wysokie. Obserwując je z któregoś rogu sufitu, ledwo byśmy dostrzegli naszego bohatera. Ściany są niczym wyrwane z obrazów surrealistów. Jednocześnie zamiast pobudzać, usypiają. Emocje, myśli, uczucia w nich giną. Po środku pokoju zaś znajduje się jeden, tylko jeden mebel. Mebel uniwersalny, który zastępuje każdy inny przedmiot wymagany, aby móc nazwać pokój umeblowanym. I aby w nim żyć...

Więc, jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to nasz bohater jest w kinie i ogląda film. Film ten się zmienia, dostosowuje. Można uznać, że ewoluuje. Nie jest to film nam znany, jednak jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to będziemy mogli poznać ten film. To film nowy, inteligentny. Spełnia wszystkie stawiane przed nim zadania. Rozwiązuje je perfekcyjnie. Film kreuje się na coś nowego, jednocześnie dalej to jest film. Film ten oddaje myśl...

Jeżeli wszystko się wydarzyło, tak jak się miało wydarzyć, to film pełnie powoli do naszego bohatera. Zbliża się do niego. W pewnym momencie zaczyna kroczyć. Pełźnie i kroczy, czyli dąży. Skoro dąży, to znaczy, że istnieje. Istnieje... Jest to coś niespotykanego, w końcu mamy punkt oparcia. Coś w końcu istnieje, więc jeżeli potoczyło się tak, jak się potoczyło, to film powoli oplata się wokół naszego bohatera. Możemy się obawiać, czy nie zacznie go dusić. Jednak nie dusi...

Możesz uznać, że zostałeś oszukany, jednak nie kłamię, tak się dzieje. Więc, jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to nasz bohater wstaje i wychodzi z kina. Przechodzi przez długie, szare korytarze. Wychodzi na ulicę. Nie wiemy jednak, czy film się skończył, czy trwa dalej... Czy to jest istotne? Czy to jest istotne? Tak, to istotne. Od tego zależy wszystko! Za głośno...

Ciii... Ciszej... Chwilę musimy poczekać... Film nas słyszy... Musimy poczekać, aż opuści nasz pokój... Idź, zrób herbatę dla nas... Tak, dwie kostki cukru dla mnie.

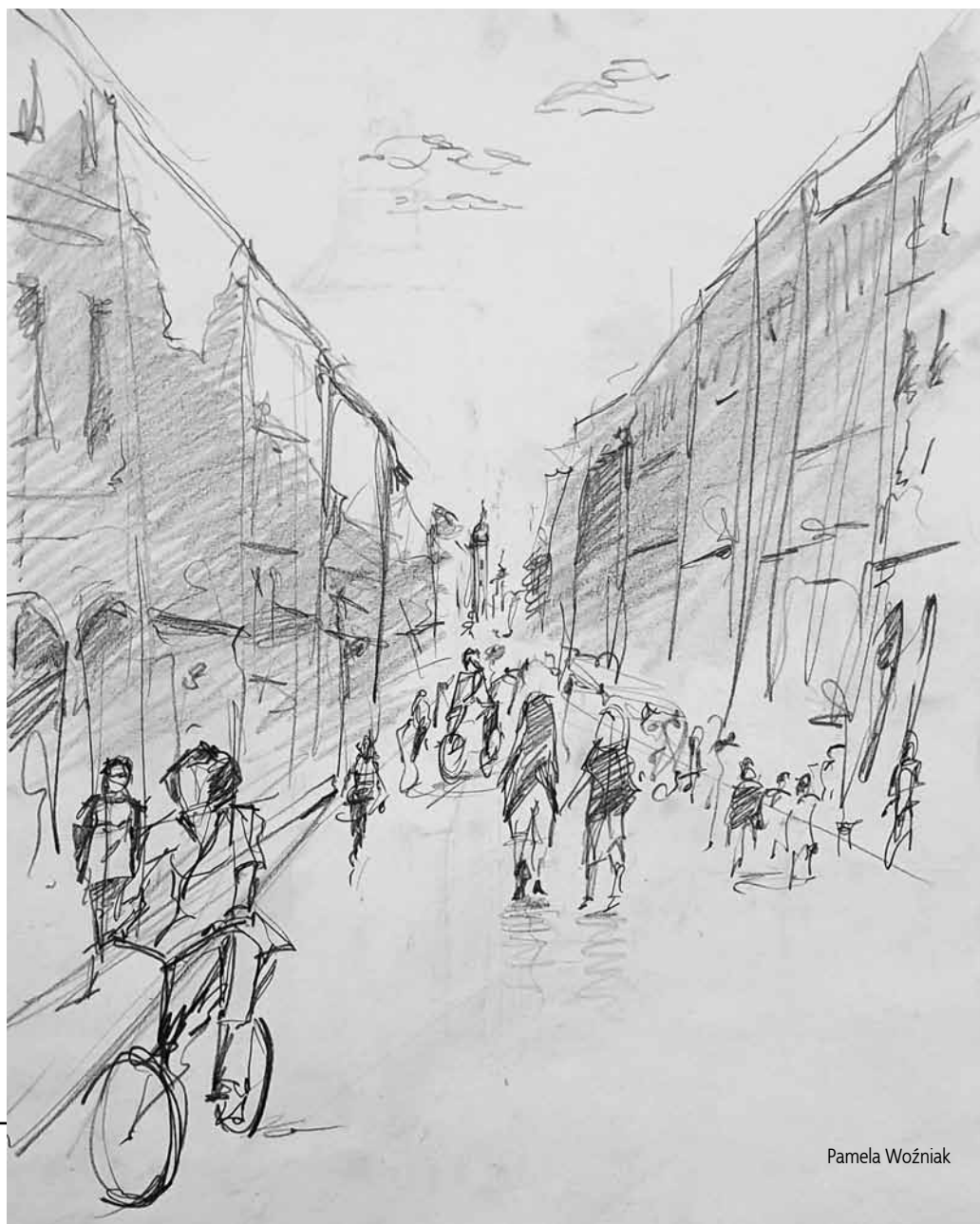
Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, nasz bohater dociera do kamienicy. Niczym nieodróżniający się budynek od reszty. Szary. Można by uznać, że całe miasto tworzy labirynt – labirynt szarych, jednakowych kamienic. Jednak nasz bohater się nie gubi. Porusza się z doskonałą precyzją. Nie gubi się, dociera do celu. Trwało to jednak za długo. Wchodzi do kamienicy. Przechodzi przez jeden, następnie przez drugi pokój. Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to nie widzimy, jak te pokoje wyglądają. Bohater na nie nie patrzy. Nigdy nie patrzył, więc dlaczego teraz miałby spojrzeć na nie? Muszą być więc nieatrakcyjne, nudne, szarawe? Może jednak takie nie są i wypełniają je obrazy znanych, dawnych mistrzów pędzla? Martwy wzrok z rysunku Goi śledzi naszego bohatera...

Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to bohater wchodzi do swojego mieszkania, a właściwie pokoju. Pokój... może to za dużo powiedziane... Jednak w nim ktoś mieszka... Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to to pomieszczenie jest niewielkie, jednak strasznie wysokie. Obserwując je z któregoś rogu sufitu, ledwo byśmy dostrzegli naszego bohatera. Ściany są niczym wyrwane z obrazów surrealistów. Jednocześnie zamiast pobudzać, usypiają. Emocje, myśli, uczucia w nich giną. Po środku pokoju zaś znajduje się jeden, tylko jeden mebel. Mebel uniwersalny, który zastępuje każdy inny przedmiot wymagany, aby móc nazwać pokój umeblowanym. I aby w nim żyć... Jednak się w nim żyje. I Ci, którzy w nim żyją, tego nie chcą!

Nasz bohater w nim nie zostaje. Idzie do kolejnego pokoju, dobrze mu znanego, jednak nie wiadomo skąd. Nigdy w nim nie był. Kolejny pokój jest tak samo mały, jednak kolorowy. Jest w nim tylko jedna lampa, która jednak niczego nie oświetla. Ktoś wykręcił z niej żarówkę. Ten ktoś jest w tym pokoju, czujemy to. W płaszczu, szarym jak miasto, stoi postać. Posiada długie, brązowe włosy. Nasz bohater widzi tę postać, która w nim budzi lęk i strach. Stoi przed nim niczym śmierć ukazująca się osobie, która właśnie umiera. Bohater sięga do kieszeni i... i... i...

Więc, jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć, to nasz bohater jest w kinie i ogląda film. NIE! Nie ogląda, wychodzi od razu. Przechodzi przez miasto, które przypomina labirynt. Idzie za szybko. Dochodzi do swojej kamienicy. Przechodzi przez pokoje, nie zatrzymuje się nawet w swoim. Wszystkie oczy obrazów są na niego skierowane. Wchodzi do czwartego pokoju. Jest w nim lampa, która świeci, oświetla. Jednak dalej nic nie jest jasne. Przed naszym bohaterem stoi postać w szarym płaszczu i z brązowymi włosami. Nasz bohater wie, co ma zrobić. Wyjmuje kartkę z kieszeni i przekazuje ją! Robi coś! Myśli! A więc istnieje...

Jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak się miało potoczyć, to znajdujemy się w pustej sali kinowej. Jest wyświetlany film, który pełźnie, kroczy, dąży powoli. Jednak nikt go nie ogląda... Sala jest pusta, jeżeli wszystko się potoczyło, tak jak miało się potoczyć...



Karolina

Chciałbym znowu być nad wodą,
w gorące lato na dzikiej Ochli,
kiedy oboje mieliśmy czas,
by móc go tam razem marnować.
Dziś nie wiem nawet, co u ciebie słyszeć.

Niczego nie ułatwia dwudziesty pierwszy wiek.

Grünberg

Wystajesz spod obdartych
płaszczu kamienic
– wciąż tu jestem! –
wołają gotyckie kaligrafie
luterzańskie nagrobki
echa beczkowych piwnic

nie usłyszę gwaru twoich czarnobiałych wspomnień
mogę go tylko oglądać

Gwieździsta noc

Jak to jest
strzelać żeby zabić
bronić przed gwałtem i przemocą
być silnym
tracąc najbliższych
w
okopie
błocie
krwi
łzach
mocz
w deszczu ognia
jak po tym wszystkim normalnie żyć

Konrad Pruszyński

Akcja Hiacynt

(fragment dramatu)

Osoby:

JA – mężczyzna; ok. 20-25 lat

SEKS – płeć dowolna

NATAN – licealista, dorabia jako model

MIŁOSZ – partner Natana, ok. 25 lat

MELA – matka NATANA

ZUZANNA – psycholog

DANIEL – wokalista, ok. 20 lat

WOJTEK – tancerz, ok. 25 lat

EMIL – urzędnik, ok. 35-40 lat

KSIĄDZ

BISKUP

MILICJANT I

MILICJANT II

MILICJANT III

TYP 1

TYP 2

ZESPÓŁ TANCERZY

CHÓR

Część postaci funkcjonuje w realiach PRL

Pozostałe współczesne.

„– Patrz! Pościnano hiacyntom głowy...
Pomiędzy trawę upadł kwiat różowy,
Purpurą kraszając zielone kobierce...
(O, jak tym kwiatom jest bliskie – me serce!)”

Safona, *Hiacynty*, tłum. Jan Pietrzycki

Prolog – Chaos

/ WSZYSTKIE POSTACI
/ SCENA PUSTA

JA wchodzi z głębi widowni. Pali papierosa. Przystaje przed kurtyną i wypuszcza dym w górę. Na kurtynie wyświetla się motto przedstawienia.

Kiedy JA wchodzi na scenę, kurtyna podnosi się. Ostre, czerwone światło. Muzyczny motyw SEKSU (mocna, beatowa muzyka). W Chaosie SEKS kreuje i dekonstruuje zastany świat – posługuje się w tym celu jasnymi, ale nazbyt dosłownymi symbolami. Światło gaśnie. Cisza.

Scena I. Początek

/ JA, WOJTEK, DANIEL, TANCERZE I i II,
MILICJANT I i II, NATAN, SEKS
/ UKŁAD I: (ŁAWKA)

JA stoi z boku na proscenium. DANIEL czyta tomik wierszy. WOJTEK oraz TANCERZ I i TANCERZ II ćwiczą układ taneczny. W tle muzyka. MILICJANT I w głębi sceny pali papierosa. Po chwili na scenę wpada MILICJANT II. Wychodzą. WOJTEK wyłącza muzykę.

WOJTEK

Dobra, panowie, chwila przerwy, bo jak tak dalej pójdzie, to dzisiaj wieczorem wykituję.
WOJTEK podchodzi do DANIELA.

WOJTEK

Co czytasz?

DANIEL

Nie spodoba ci się.

WOJTEK

Chyba zbyt pochopnie mnie oceniasz. Dopiero co pochłonałem Czarodziejską górę.

DANIEL

Mam ci uwierzyć?

WOJTEK

No gadaj, co tam czytasz, mały.

DANIEL

Mały?

WOJTEK

No co, nie czepiaj się słówek – pokaz lepiej...

DANIEL

Spadaj, Wojtek. Jak będę chciał, to ci powiem. Na razie opanuj pośladki.

Powiedz lepiej, co szykujecie?

WOJTEK

Czekaj, czekaj. Ty mi nie chcesz powiedzieć, kogo czytasz, a ja mam ci zdradzić, co szykujemy? Coś tu jest nie halo.

DANIEL

Oj, Wojtek...

WOJTEK

A na randkę mogę chociaż liczyć?

DANIEL

A ostatnie ci nie wystarczyły?

TANCERZ I

Wojti, dawaj z powrotem. Muszę jeszcze lecieć do wujka odebrać jakąś przesyłkę dla starych, a my nie mamy zakończenia...

WOJTEK

Już, już, moment... to co?

DANIEL

Staff.

WOJTEK

Co?

DANIEL

Staff. Leopold Staff. Czytam Staffa.

WOJTEK

Aaa... to miło. Ale wiesz, że nie o to pytałem?

DANIEL

Tak? Zdawało mi się, że właśnie o to.

Na scenie pojawia się NATAN oraz SEKS (na razie w cieniu). DANIEL wychodzi, kierując się w głąb sceny.

WOJTEK

Daniel. Nie uciekaj znowu.

DANIEL

Bardzo fajna poezja. Inspiruje mnie.

WOJTEK

Przyjdiesz dzisiaj do klubu?

DANIEL

Zobaczy się.

WOJTEK ogląda się za odchodzącym DANIELEM. Potem wraca do ćwiczeń.

NATAN wyciąga telefon, wpatruje się w ekran, po czym dzwoni.

NATAN

Mamo? Jesteś?... Gdzie jesteś?... Możesz zadzwonić?... Jak to – do kogo? Do tej psycholożki... Tej, co mi ostatnio polecałaś. Tak, wiem, że nie chciałem, ale... ale teraz chcę, rozumiesz? Proszę cię. Nie, nic się nie stało – to znaczy nie więcej niż zwykle.. Tak, tak... Mamo, proszę cię – po prostu mnie umów. Dzisiaj.

Szybko. Jak najszybciej... No pa.

Zmiana światła. Punktówki oświetlają NATANA oraz SEKS. Motyw Seksu.

OFF

Eee, chłopczyku – jakichś męskich ubrań nie mieli?

Mama za mało zarabia czy tatuś lubi poruchać synusia?

Ty, widziałeś? Pacz tutaj. On się maluje.

Biednemu pedałkowi pryszcz wyskoczył...

To takie obleśne mieć pryszcz...

Co za pajac. I taki do katola chodzi...

Scena II. Terapia

/ NATAN, ZUZANNA
/ UKŁAD II: GABINET (KRZESŁO, STOLICZEK)

ZUZANNA z notesem i piórem w dłoni.

ZUZANNA

Czy mówiłeś o wszystkim swojej mamie? Jak się zachowała?

NATAN

W szkole mówią, że to ze mną jest coś nie tak.

ZUZANNA

Próbowaliście...

NATAN

Tak, wszystkiego próbowaliśmy! Oni mają rację, rozumie pani? Oni nie mogą się mylić. Dyrektor, katechetka, psycholog szkolna, ci... wszyscy. Oni po prostu mówią prawdę.

ZUZANNA

Dlaczego tak uważasz?

NATAN

Pani serio pyta?

ZUZANNA

Tak. Chcę poznać twoje zdanie.

NATAN

Nie wiem.... Po prostu tyle osób nie może się mylić.

ZUZANNA

A twoja mama?

NATAN

Co moja mama?

ZUZANNA

Myślisz, że uważa jak oni?

NATAN

Ona mnie kocha.

ZUZANNA

A twój chłopak? Mówiłeś, że masz partnera.

NATAN

Miłosz? Jesteśmy ze sobą zbyt krótko...

ZUZANNA

Ale akceptuje cię takiego, jakim jesteś?

NATAN

Nie wiem. Tak. Chyba tak.

ZUZANNA

A...

NATAN

Tylko niech pani nie pyta o ojca.

ZUZANNA

Wiem od twojej mamy, że ojciec was opuścił. Skąd ta reakcja?

NATAN
 Czy naprawdę musimy o tym rozmawiać?
 ZUZANNA
 Nie musimy.
 NATAN
 Czy może mi pani coś przepisać?
 ZUZANNA
 Dlaczego postanowiłeś wrócić do terapii? Spokojnie, Natan. Mamy czas.
 NATAN
 Czy może mi pani coś przepisać?
 ZUZANNA
 Co się dzieje?
 NATAN
 Boję się.
 ZUZANNA
 Czego się boisz?
 NATAN *wgapia się ślepo w ZUZANNĘ.*
 ZUZANNA
 Musisz powiedzieć mi coś więcej, żebyśmy mogła pomóc.
 NATAN
 Co mam pani powiedzieć?
 ZUZANNA
 Jak się czujesz. Czego się boisz. Jak...

NATAN

Jak się czuję? A jak się mogę czuć? Jak śmieć się czuję. Jak zero. Nic niewarte zero. Boję się, bo na każdym kroku ktoś chce mi zrobić krzywdę, udowodnić, jakim jestem nikim. Jak zacząłem nosić różaniec w formie pierścionka, to wyciągnęli mnie na środek stołówki, wsadzili mi łapę do talerza z gulaszem i krzyczeli: „Pedał, nawet tutaj nie może się powstrzymać! Rucha kurczaka na talerzu!”. I to jest szkoła katolicka, rozumie pani? Spłukałem go w kiblu. Tego się boję. Ludzi. Ludzie są najgorsi.

Scena III. Rozkaz

/ MILICJANT I, II, III, SEKS
 / UKŁAD III: KOMENDA (BIURKO, DWA KRZESŁA)

SEKS płoży się w nogach milicjantów.

MILICJANT III

Dziś po południu przyszedł nowy rozkaz. Piętnastego listopada rozpoczynamy akcję o kryptonimie „Hiacynt”. Tutaj macie szczegóły. (*Podaje teczkę*) Sam generał Kiszczak przekazuje wam instrukcje. Oczekuję, że przyłożycie się do pracy. To ważne.

MILICJANT I

Mamy wyłapywać pederastów?

MILICJANT III

Znaleźć, przesłuchać, założyć kartotekę. Przydatnych nakłonić do współpracy. Na waszym biurku leży już wzór kwestionariusza i oświadczenia.

MILICJANT II

Jak długo ma to potrwać?

MILICJANT III

Tak długo, jak będzie trzeba. Są uzasadnione obawy co do działania tych, jak to nazwaliście, pederastów. To środowisko kryminogenne. Poza tym tyle się mówi na Zachodzie o tym całym AIDS. Nie możemy sobie pozwolić na wypuszczenie tego do nas. To byłoby niebezpieczne dla partii. Potrzebujemy informacji, żeby temu cholerstwu przeciwdziałać. Przynajmniej taką wersję macie przekazywać na zewnątrz.

MILICJANT II

To jest wersja oficjalna, jaka...

MILICJANT III

Innymi wersjami przejmować się nie musicie, towarzyszu. Nie wasza rzecz.

Jest rozkaz, robicie swoje.

MILICJANT I

A jeśli nie będą chcieli współpracować?

MILICJANT III

Doczytajcie wytyczne do końca, potem zadawajcie pytanie. Meldujcie mi o postępach w sprawie. Do roboty!



Nic

nie masz w sobie tylu ograniczeń żeby mówić mi
co mam pisać co znaleźć wewnątrz bladego kamienia
co widzę kiedy zasłaniam ramieniem ekran telefonu
zapominam numer który sprawdza się u ciebie I dzwoni
kiedy mi w głowie chmury I siano kiedy odgarniam
nieprzytomne osy topione w dwóch wersach po słowie
nie lubię kiedy wspominasz o jej udach o piersiach
o winie rocznik 1996 zapomnijmy o sobie może do tej
strony kiedy odkryję że nic nie działa gorzej nic
bardziej nie prosi się o rytm o kilka lepkich cichych słów
niż –

Najdłuższa noc

nie ma miłości, linorytu, słonecznej pogody, góry
z dołem, podpatrywanej od dołu. nie ma serca,
miejsca i jasnej po nim dziury. wiem, jesteś
w stanie kupić mi farby i zamalować wartość
kiedy oglądam twoje rodzinne zdjęcia
w kotach, ptakach, złotych i chlebkach
z numerem domu na czole, z dumą
gratuluję sobie
że nie ma takich farb

Ů

rozdarłeś mnie na papier na kredę i kamień
otwartą dłonią która spadła z lustra wprost
w moje oczy w kilka chwil od niczego
może mój akord był fałszem być może
zgubiłam ścieżkę i cień może przerosły mnie
gamy pasaże pełne usterek być może zabolą
myśl o kobietach które mogłyby zostać
moją biologiczną żoną a szły przeklinając
historię silną jak biodra
być może twoja mama gdzie była wtedy
w pobliżu kiedy kopaleś to zwierzę
dobrze ułożone
w znak zapytania w liść rododendronu
w paprotkę i umlaut

Dromadery

z ust mi to wyjmij i ustaw się na straży
mojego akcentu, kiedy będę mówiła o nas miękko
z twardym es zet, z otwartym ogrodem na zimę
schowam się bez psa, który skamle i dziecka
z ziemią między zębami, kiedy mnie przedstawisz –
nawet nie jestem stąd, ani z Walii, ani z Liverpool
mam obce biodra
i sama nie wiem, gdzie mogę przyłożyć swój język
żeby nie zamarzł albo nie zakwitł nagle ostrokrzewem
w którym boksie mam zasnąć i co przeżyć przed snem
a następnie: jakie obrazy mogę wziąć między palce
rozmazać je na szybie, między złotymi reliefami
ze śliny, z ognia

Po prostu idealnie

O nie, nie, nie! Gdzie mój podręcznik od polskiego? Zaraz, dzisiaj nie ma polskiego. Nie, gdzie kalkulator! Zaraz sprawdzian z matmy! Cemu mój budzik nie zadzwonił? Gdzie jest druga brzoskwiowa skarpetka z czarnym napisem „Mondays are wonderful”?! O nieee... No trudno, będzie jedna skarpetka z „Mondays”, a druga z „Fridays are free”. Nie myśl o tym, tylko szukaj tego kalkulatora! Moje głowa mi rozkazuje, szkoda, że tak łaskawie na sprawdzianie mi nie pomaga, a teraz się rządzi jak święta krowa ze złotym ogonem! No dalej, gdzie on? Rano był na biurku... a może już w plecaku? Tak, jest! To teraz jeszcze piórniki. Aaa! Mam ochotę walnąć głową o ścianę i z powrotem opatulić się różowym kocykiem (nic nie szkodzi, że wychodzą z niego bliżej nieokreślone kremowo-pomarańczowe kłaczki). Dobra, mam piórniki!

- Złaż, bo się spóźnię przez ciebie do roboty! – Mama nie oszczędza swojego gardła (jak zwykle).
- Zaaaa! Szukam dzwonka!
- Boże, po co ci on! Jedziemy autem.
- To nie można było tak od razu?!
- Jakies dwadzieścia minut temu ci mówiłam.

Wtedy to ja jeszcze spałam (podsumowałam w myślach). A gdybym nie poszła na pierwszą lekcję? Ominąłby mnie sprawdzian... ale nie, stanowczo NIE. Podobno pani daje dziesięć razy trudniejsze zadania, jak idzie się na drugi termin, a moje umiejętności ledwo co dają radę z zadaniami z pierwszego terminu, więc może nie będę ryzykowała.

Ja ani razu się nie spóźniłam. I tym razem też nie. Po prostu jestem superpunktualna i jak lekcje zaczynają się o ósmej, to ja przychodzę dokładnie o wyznaczonej godzinie. Nigdy za wcześnie ani za późno, po prostu idealnie. Bo po co czekać przed klasą dwadzieścia minut i ścierać sobie podeszwy stóp i kości śródstopia czy tam kości pięty od stania, jeśli mogłabym dłużej sobie pospać? Nie każdy dzień tak wygląda, zazwyczaj nie muszę pakować się jak oparzona, ale dzisiaj był stan wyjątkowy, bo idziemy tylko na pierwszą lekcję, a potem są zajęcia w centrum przyrodniczym (na które nie idę, bo mi się nie chce i myślę, że biblioteka jest o wiele ciekawsza niż takiego rodzaju wyjścia, ale najpierw muszę przeżyć matkę).

Jedynego czego zapomniałam wziąć ze sobą z domu, to chyba swojej głowy, bo zamiast sprawdzić, czy gdzieś się nie machnęłam w obliczeniach, myślałam, co się stało z drugą skarpetką z „Mondays”... i oto, co ustaliłam i napisałam na wolnej stronie kartki z moimi obliczeniami:

Porwanie bliźniaka

1. Ich nierozzerwalną więź przerwała wodna machina śmierci (pralka), porywając lewą stopę, zapychając tym samym silikonową uszczelkę w skrzyni;
2. Podczas ostatniego prania mama nie zauważyła, że w bębnie została jedna osierocona bliźniaczka prawej stopy;
3. Kiedy były razem (moje drogie skarpetki z „Mondays are wonderful”), mokre, pachnące i świeżutkie na stercie innych ubrań w misce, podczas ich teleportacji na strych jedna nieszczęśliwa lewa stopa opuściła ów statek i popłynęła hen hen daleko pod schody w krainę cieni i roztoczy kurzu domowego (swoją drogą „hen” to szwedzki neutralny zaimek osobowy);

4. Już w praniu nie miały ze sobą kontaktu, co znaczy, że lewa stopa nie była nawet w brudowniku, więc musi się gdzieś tulać samotnie przez przestworza mojej drewnianej podłogi.

– Podnosimy długopisy, podajemy kartki i zadania do przodu, liczę do siedmiu i czyj rząd nie odda wszystkich prac, ma jedynek! Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć i... siedem.

Dość surowe zasady, ale przynajmniej są one sprawiedliwe.

– Ja ci poszło? – Łapie mnie po lekcji Julia.

– Na tyle dobrze, że zamiast sprawdzić swoje obliczenia, rozmyślałam nad tym, gdzie podziała się moja skarpetka do pary... – Jestem trochę zła na samą siebie, bo kto normalny pisze takie rozmyślanie na sprawdzianie (oczywiście na swojej kartce, bo nie wolno nam pisać bezpośrednio po kartce z zadaniami). – Mogę ci pokazać, co napisałam, tylko chwilka, muszę ją znaleźć... – Sięgam do plecaka i na marne przeszukuję zeszyt od matematyki (miałam nadzieję, że to właśnie tam ją włożyłam), żadnej kartki tam nie ma, a to oznacza, że... nie wyrwałam jej od moich obliczeń! – O Bożee! Oddałam moje wyniki i teorie o zaginięciu skarpetki razem ze sprawdzianem!

– I co teraz?

– Chciałam zapytać o to samo. Nie wiem... Myślisz, że się pani obrazi, jak to przeczyta?

– Nie sądzę, ale możesz ją ostrzec, żeby nie czytała tego, co jest na drugiej stronie kartki.

– A zresztą – co może się stać? Najwyżej odeśle mnie do pedagoga...

Chciałam pójść do biblioteki, ale zrezygnowałam, gdy zobaczyłam, jaki panuje tam tłok i zamieszanie. Wszystkie stoliki na korytarzach były zajęte, *chill room* też, więc nie zostało mi nic innego jak pójść na spacer. Mogłam już udać się z klasą na te zajęcia, ale myślałam, że biblioteka będzie pusta... jak widać – myliłam się. No trudno, naliczę sobie kroczków (moja przyjaciółka nauczyła mnie szukać we wszystkim jakichś plusów, zresztą naliczanie kroczków to też był jej pomysł). Nie uszłam daleko (bo około 120 metrów), gdy zobaczyłam dwie znajome osoby.

Zuzia i Gabriel chodzili ze mną (i z naszą paczką) do podstawówki. Dogadywaliśmy się bardzo dobrze. Pomagaliśmy sobie, a kiedy trzeba było, to i broniliśmy siebie nawzajem i pocieszaliśmy. Zuzia poprosiła mnie kiedyś o jedną rzecz: „nie zapomnij o mnie”. To naprawdę była bardzo piękna prośba. Swoją drogą kiedyś dostałam na urodziny od niej jasnoróżową poduszkę w kształcie serca, owe skarpetki na każdy dzień tygodnia i naszyjnik z małym kółeczkiem. Stworzyliśmy na Messengerze grupę (ja, Julia, Misia, mój brat, Anieli, Gabi oraz Zuzia i Gabriel) jak zwyczajni nastolatki posiadający „mesa” i już myśleliśmy, że nic nie może się zmienić... Jednak wszystko diametralnie zaczęło się przekształcać pod koniec ósmej klasy... Zaczęli od krótkich i niemiłych odpowiedzi (szczególnie Gabriel się w to angażował, żeby każdego zranić) na nasze wiadomości: „chcemy spalone dzieci z Monte Cassino, czemu nas (Zuzi i Gabriela) nie zaprosiłaś na ognisko?” (gdy wysyłałam zdjęcie ogniska z obozu olimpijskiego), „boję się ciebie” (gdy wysyłałam wiadomości z emotkami) – i to było jeszcze nic! Odłączyli się od naszej grupy na Messengerze, a ich jedynym argumentem było: „mamy innych i lepszych znajomych”. Potem się jeszcze bardziej rozkręcili. Zaczęli do mojej przyjaciółki wysyłać spam o treści „udław się” i to czterdzieści razy na godzinę. Takich wiadomości było mnóstwo i ciągle przychodziły nowe i o podobnej treści. Zresztą nie tylko do niej one szły, ale także do innych członków naszej paczki, dlatego nasze czaty prywatne są dla nich zablokowane. Gdy Zuzia i Gabriel się o tym dowiedzieli, zaczęli atakować nas telefonicznie, przez WhatsAppa i inne aplikacje, byśmy ich z powrotem dodali do grupy i że „zmieniliśmy się dla was i już tacy nie jesteśmy”. Akurat cudowna przemiana w cztery dni! Szczerze? Ja chciałam im wierzyć, ale przyjaciółka wybiła mi to z głowy, pokazując, jak do niej ciągle przychodzą te same wiadomości „udław się”. Mieliśmy ich serdecznie dość. Bo ileż można?! Są tchórzami i nigdy nie potrafiliby powiedzieć tego nam osobiście, dlatego używają komunikatorów. Myślę, że warto dodać, że mamy świadomość, iż odłączając się od stada, zaczęli usychać, bo sami nie potrafili bez źródła przetrwać. Pewnego dnia nasza paczka się zebrała i ustaliła, co robimy dalej, bo to, co

wyczyniają nasi byli przyjaciele, to zwyczajne łamanie prawa! Ale mamy ważniejsze sprawy niż mieszanie w to policji, więc jedynie poblokowaliśmy ich na wszystkich możliwych kontaktach, a czaty zarchiwizowaliśmy. Nie damy się pomiać i zniszczyć przez jakichś zbuntowanych i nafaszerowanych zazdrości egoistów. Nigdzie tego nie zgłaszaliśmy i nie zgłosimy, bo nie są warci takiej uwagi. Poza tym oni nie budują fundamentu naszej przyjaźni, więc ich brak nic nam nie robi. I oto w skrócie cała opowieść.

A teraz z oddali widzę, jak głośno o czymś rozmawiają. Na razie mnie nie widzą. Wolałabym się teraz nie pokazywać. Jestem sama, a więc mają przewagę liczebną i nie wiadomo, co im przyjdzie do głowy, żeby ją wykorzystać. Ale z drugiej strony, mam nieodparte wrażenie, że coś przed nami ukrywają. I jak się zapewne spodziewacie, ciekawość zwycięża. Chowam się za drzewem (co raczej i tak nic nie dało, bo mam jasną kurtkę), odwracam się plecami, a głowę pochylam (tak na wszelki wypadek). Poczekalam, aż przejdą obok mojej kryjówki i trochę odejdą. Teraz ja, jak Enola Holmes wkraczam do akcji i bezseleśtnie idę za nimi, zachowując pewien odstęp.

– Ciekawe, jak sobie radzą w szkole – zaczyna Zuzia.

– Kto?

– No grupa...

– A co nas to interesuje?! Nie przejmujemy się kujonami.

Mam ochotę trzepnąć Gabriela za taki zwrot o nas, ale się powstrzymuję, bo zaczęło się robić ciekawie.

– Nie przejmuję się nimi! Tylko jestem ciekawa, co zrobią!

– Nadal mnie to nie interesuje...

– No co ty, nie musisz być taki agresywny!

– Bo co?! Dostali się, gdzie chcieli i teraz nabijają się z innych, pamiętasz, jak na grupie zapytali: „@Gabriel @Zuzia a wy, gdzie się dostaliście?”, myślą, że jak są w LO1, to cały świat do nich należy!

Znowu miałam ochotę go dzielić, bo myślałam, że trochę mnie zna i nigdy się nie wywyższałam. Jak on mógł odebrać tamtą wiadomość w ten sposób?! Przecież to było tylko pytanie... Owszem, innych nie pytałam, bo widziałam listy przyjętych z rekrutacji, więc jak wiedziałam, kto gdzie jest, to po co bym miała pytać? To tak jakby zapytać: „Ania, jak masz na imię?”. Gabriel nieźle mnie tym wkurzył, ale jeszcze bardziej irytujący był mój but, który uparcie rzępolił mnie w palce. Myślę, że już zrobił mi dziurę w stopie. Czuję się, jakbym miała drut w nim. Od razu, kiedy się ta parka zatrzyma, to go ściągnę, a jak Gabriel powie coś równie głupiego jak przed chwilą, to, przysięgam, rzucę go tym butem!

– Nie brakuje ci wspólnych odklejek i spacerów? Wiesz co, zaczynają mi się nudzić takie wyjścia z tobą, gdzie ciągle źle o nich mówisz!

– Czyli teraz ich bronisz?! Tak?! Co ci nagadali, że jesteś po ich stronie?

– Nic!

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że mogli zgłosić to na policję, te wiadomości?!

– To był twój pomysł!

– Nie zgłosiliśmy – ujawniam się, a oni momentalnie odwracają się w moim kierunku. – Nie zgłosiliśmy – powtarzam.

– A to czego tu? – warczy Gabriel.

– Po pierwsze, nie „to”! Rozumiem, że jesteś wściekły, ale to nie daje ci prawa, żebyś mówił o mnie jak o rzeczy.

– Przykro mi, nic nie słysz! Za niska jesteś! – przedrzeźnia się. Ale ja myślę, że się boi i próbuje to skrupulatnie zamaskować... Więc obieram inną taktykę:

– A co u ciebie? – pytanie kieruję do Zuzi.

– D... – Już miała odpowiedzieć, ale Gabriel ją wyprzedził.

– Co cię to interesuje?! Pilnuj swojego nocha!

Postanawiam, że będę udawać, że nie widzę Gabriela, albo że jest dwutlenkiem węgla, a raczej tlenkiem węgla (II) – czadem. Patrzę wyczekująco na Zuzię, żeby wiedziała i domyśliła się, że nadal trzymam się swojego pytania.

– Dobrze... – szepnęła.

Gabriela ewidentnie to wkurzyło, bo cały poczerwieniał.

– Mówiłem! Nie wtrącaj się! Masz coś jeszcze do dodania, kujonie?!

– Owszem! Wiesz, co bardziej mnie wkurza od ciebie?

– Zaskocz mnie, krasnalu!

– Mój but! Wyobraź sobie, że ciągle mnie ociera. Jeśli łaska, Zuzia, nie ruszaj się – jedną ręką opieram się o nią, by nie stracić równowagi, a drugą ściągam prawego buta. Ukradkiem spoglądam na nią, jak zareaguje na widok skarpetki z „Mondays are wonderful”. Jej reakcja jest taka, jak się spodziewałam: uśmiechnęła się. Czyli pamięta, że to od niej prezent.

– Dziwak! Kto normalny ściąga buty?

– Myślę, że każdy i to przynajmniej raz w ciągu dnia, gdy wchodzi do domu – odpowiedziałam mu logicznie.

– Dobra, wiesz co? Nie chce nam się już z tobą gadać! Spadaj! – Po tych słowach Gabriel przechodził przez ulicę naprzeciwko szkoły, by pójść w stronę Parku Piastowskiego, w tym czasie, gdy jest odwrócony tyłem, Zuzia udaje, że wiąże sznurówki. A tak naprawdę podciąga nogawkę od spodni i... widzę znajomy brzoskwiniowy kolor i wzór skarpetki z czarnym napisem „Mondays are wonderful”. Szybko z powrotem zastania skarpetkę, uśmiecha się do mnie na pożegnanie i biegnie za Gabrielem.

Myślę, że jak ich spotkam za jakieś dziesięć lat, to znów odtworzymy paczkę z podstawówki. Ten czas będzie dla nich lekcją, na której nauczą się samodzielnego myślenia i kontrolowania swoich emocji. Po wyciągnięciu tak pięknych refleksji, zdaję sobie sprawę, że stoję na jednej nodze. Dziwnie... Opuszczam nogę i od razu tego żałuję.

Cholera i po drugie skarpetce z „Mondays...”. Po prostu idealnie! Czemu musiała być tu kałuża? Dam sobie rękę uciąć, że jej wcześniej tu nie było! Z jednej strony chce mi się płakać, a z drugiej – śmiać. Takie to wahania nastroju mam już od zawsze i szczęście też za mną się strasznie ugania! Co pewnie widać...



Niepewność

Zamykasz usta
wszelkie myśli
próbujesz odepchnąć
poza światy
chcesz być
tu i teraz

ten słowik
śpiewający
obietnicę minionego lata

wcale nie jest taki
pewny

Z dnia na dzień

Twoja
cierpliwość
rozsypuje się
kawałek po kawałku
słowo po słowie

zaproszone we wspomnieniach
lata które kiedyś
były obietnicą bajki

z ziarnem prawdy
z ziarnem kłamstwa

siedzisz w moich zwojach mózgowych
gdy broda
z dnia na dzień
jest zjadana srebrnymi słowami czasu

Czysta fizyka

Fotony i nasze spojrzenie na świat
mają tę samą
ścieżkę dostępu

gdyby nie one
pilibyśmy ciemność
wdychalibyśmy

ciemną materię
która ponoć jest
ale nie możemy jej udowodnić

jeszcze

fotony
to połowa
świata

a my dalej
próbujemy zrozumieć
nasz horyzont zdarzeń

Wejście wyjście

Wchodzimy w kontakt ze sobą

elektroupływ czasu
krople cyfrowych liter
i kilka obrazów

determinują nasze postrzeganie
synapsy na pełnym biegu
kreślą szkic

indywidualny algorytm chwili

wychodzimy w zimową breję
niechętnie
wchodzimy w namacalny świat

za oknem obraz szumi deszczem

Julia

Sam do końca nie wiem, jak to się stało, że poznałem Julię. Byliśmy z dwóch różnych światów i, żeby doszło do ich zderzenia, nadarzyć się musiał niewyobrażalny fart, niemal porównywalny do Wielkiego Wybuchu. Ale tak się przecież ostatecznie stało, więc nie mam pojęcia, czy istnieje coś takiego jak przypadek, zrządzenie losu albo zapiski w księdze poczynione przez brodatego starca na chmurze. Zaczęliśmy chyba w barze albo na rockowym koncercie, albo gdzieś jeszcze indziej w tym stylu, bo tylko w takich miejscach bywałem. W każdym razie początek wyglądał tak jak przy każdej nowej znajomości – między mężczyzną a kobietą. Miała dziewiętnaście lat, farbowane na czarno włosy i świeże, żeby nie powiedzieć naiwne, spojrzenie na otaczający nas świat. Była pełna empatii i ciepła, ale swoją energię ogniskowała głównie w internecie, gdzie udzielała słownego wsparcia innym kobietom, uchodźcom, ofiarom rasizmu czy homofobii. Często pokazywała mi różne zrzutki dotyczące chorych zwierzątek i przeglądała schroniska, mówiąc, że najchętniej przygarnęłaby wszystkie te smutne kundły o martwych oczach. Nie pracowała, utrzymywali ją bogaci starzy, więc mogła skupić się na altruistycznych postawach i czasami na nauce. Na psychologię niestety jej nie wzięli, a po pół roku uczenia się coachingu przeszła na modny kierunek zwany *gender studies*. Ciągłe powtarzała, że to najlepsza decyzja w jej życiu – ale kiedy o tym mówiła, zastanawiałem się zawsze, czy bardziej chce przekonać mnie czy samą siebie.

Znajomi odradzali mi spotkanie się z Julią, byli w tej kwestii bardzo uszczypliwi i mało konkretni. Mówili, że nie dam rady z nią wytrzymać, że to już inne pokolenie – a ja miałem przecież dwadzieścia pięć lat! Nie słuchałem ich, bo dobrze wiedziałem, że gadali tak ze zwykłej, tandetnej zazdrości. Mierziło ich pewnie to, że znalazłem taki cudowny kwiatek, a oni wieczorami mogli co najwyżej iść na randkę z Renią Rąsą. Julia prezentowała się ołsniewająco, posiadała coś, co można nazwać klasą, bardzo rzadka sprawa – niepokojny duch zaklęty w formę niewysokiego, ponętnego ciała. Patrzyłem na nią, na jej ruchy i myślałem sobie, że trafiła mi się jak ślepej kurze ziarno. A co do tych cynicznych kumpli, to oni sami nie byli w żadnych związkach, więc mogli sobie gadać do woli – czytałem gdzieś artykuł o tym, że połowa młodych facetów nie posiada żadnego życia seksualnego, ale nie wiem, ile w tym prawdy, a ile fantazji autora. Choć musiałem przyznać, że widząc ich poczynania, byłem skłonny uwierzyć w taką tezę.

Jednak po czterech miesiącach coś się popsło, rozleciało jak karciany domek, chociaż nie powiedziałbym, że stało się to nagle i że żyłem w sielance. Nasz związek od samego początku gnił. Gnił, aż spleśniał i nie nadawał się już do spożycia. Także pewne symptomy, że nic poważnego z tego nie wykujemy, dostrzegłem już bardzo wcześniej. Pierwsza randka odbyła się tradycyjnie w restauracji, ale wyszedł z tego miłosny trójkąt. Ja, ona i jej telefon. Nie potrafiła odkleić się od niego nawet w takim momencie, chociażby na kilka minut. Zignorowałem to, bo zaślepiła mnie jej uroda. Druga podejrzana sprawa to jej początkowy zachwyt na wiadomość, że jestem pisarzem – właściwie to ona mnie tak nazwała. Kiedy okazałem się daleki od takiego Remigiusza Mroza, bo z pisania wpadało raczej kieszonkowe, jej zainteresowanie tym, co robię, drastycznie spadło. Różniliśmy się właściwie wszystkim: podejściem do życia, systemem wartości, wyznawaną filozofią. Jej ogromny entuzjazm, jakim obdarzała innych ludzi, kontrastował z moją postawą introvertyka. Chodziła na różnego typu marsze za i przeciw, kiedy mnie takie rzeczy w ogóle nie interesowa-

ty, bo nie byłem ani za, ani przeciw. Wymagała mnóstwa uwagi, chciała być gwiazdą, zdobyć za wszelką cenę sławę, chociaż nie robiła w tym kierunku nic ciekawego. Największym kontrastem między nami było jednak to, że Julia chciała zbawiać świat, kiedy mi świat totalnie zwiślał. Dlatego od samego początku byliśmy skazani na porażkę. Mimo to trochę przy sobie trwaliliśmy, bo chyba oboje dostrzegaliśmy w tym jakieś zalety. Małe, może puste, ale zawsze zalety.

Po trzech tygodniach zaczęła u mnie przesiadywać, a po miesiącu już normalnie zostawała na całą noc i dzień. Oczywiście podczas tego waletowania ani razu nie zajęła się domowymi pracami, nie wyniosła śmieci, nie zmyła nawet cholernego kubka, z którego przed chwilą piła kawę. Staralem się z nią o tym porozmawiać, i to nawet kilka razy, ale wynikały z tego jedynie kłótnie, w których zrównywała mnie z patriarchalnym entuzjastą niewolnictwa – często używała właśnie takiego zlepkę słów i nie pytała, co to miało właściwie znaczyć. Dałem więc sobie spokój, przecież nie musiała tutaj nic robić. W końcu to ja wynajmowałem tę kawalerkę, przerobioną z pomieszczenia po starej suszarni, znajdującej się na samym szczycie wielkopłytowego wieżowca. Kiedy rok temu się tutaj wprowadziłem, całe wnętrze wyglądało ohydnie – brudne, odrapane ściany, zniszczone meble i panele, ciekący kran, drewniane okna z łuszczącą się farbą oraz inwazja karaluchów. Teraz był dzień do nocy, chociaż często zastanawiałem się, jak zareagowałaby na poprzednie warunki moja śliczna księżniczka. Siedziałem kiedyś w budowlance, a obecnie pracowałem w trzyosobowej firmie oferującej usługi alpinistyczne, więc fizyczną pracę zjadałem na śniadanie. Srogo zapieprzałem na tych wysokościach przy wycinaniu gałęzi, czyszczeniu dachów czy wchodzeniu do kominów. Nie mogłem narzekać, bo wypłata się przecież zgadzała. Stać mnie było na mieszkanie w pojedynkę, na tę namiastkę wolności. Oczywiście jako reprezentant klasy robotniczej stanowiłem dla Julii powód do wielu nieśmiesznych żartów. A o odrobinie szacunku mogłem sobie tylko pomarzyć.

Wróciłem któregoś wieczora po dziewiętnastej, styрани i śmierdzący, marząc tylko o długim prysznicu i śnie. Drzwi były otwarte, a Julia siedziała w moim jedynym pokoju i oglądała jakiś durny serial – dorobiła sobie klucze bez mojej zgody, ale machnąłem na to ręką. Kiedy tylko znalazłem się w środku, wyskoczyła do mnie jak pies zerwany z łańcucha. Przyłożyła telefon do mojej twarzy, pokazując mi jego zawartość.

– Zobacz – powiedziała przejęta – ten chłopak zbiera na operację zmiany płci za granicą i zamiast kasy leje się w necie hejt. Pomyślałam, że napiszę mu coś miłego, dodam otuchy. No i przelałam mu też dwie stowy na jego zrzutkę...

– Aż dwie? – zapytałem zdziwiony.

– Tylko dwie.

– A co na to rodzice?

– A co z nimi? Wiedzą, że przecież mądrze gospodaruję hajsem i nie przepieprzam na głupoty. A poza tym jak ładnie poproszę, to mi zawsze coś przeleją, więc luz.

– No to w porządku.

– Wiesz co? Przecież ty też mógłbyś się dołożyć. Jak myślisz?

– Raczej nie, dzięki.

Popatrzyła na mnie tak nieprzyjemnie, tak zjadliwie. Jej zielone oczy zapłonęły nienawiścią, robiąc się jeszcze większe niż zwykle. Znałem to aż za dobrze. To spojrzenie wyglądało zawsze tak samo, kiedy w jej mniemaniu zachowywałem się niepoprawnie, jak buc, robot i prostak.

– Nie masz w sobie za grosz empatii – fuknęła ze złością i wróciła na kanapę.

– Ty masz jej za nas dwoje, kochanie – rzuciłem, zaglądając do lodówki.

Szkoda tylko, że brakuje ci tych wszystkich altruistycznych uczuć, kiedy wracam głodny i styрани po robocie, pomyślałem zrezygnowany. Zamknąłem pustą lodówkę, westchnąłem ciężko i zerknąłem na Julię. Podwinęła nogi i przeglądała swój smartfon, nieświadomie przygryzając kolorowe paznokcie. Śmieszny widok. Wiedziałem, że spędziła tak cały dzień – napisała mi rano, że źle się czuje i nie idzie na wykłady.

Często tak robiła. Nie chodziła na uczelnię i zostawała w domu przed telewizorem czy kompem. Właściwie to zrozumiałem któregoś dnia, że ona nie posiadała zainteresowań, takich prawdziwych zainteresowań, bo przecież scrollowania Instagrama albo zarywania nocy z kolejnym serialem Netflixu nie można liczyć. Nic nie robiła, autentycznie nic ją nie interesowało, nic, co w pewien sposób człowieka ubogaca, rozwija w takim czy innym stopniu, kierunku. Była pod tym względem jak metal. Twardy, zimny, obojętny metal.

Czułem piekielny głód, więc ostatecznie zamówiliśmy pizzę. Zawsze tak się kończyło – że to ja musiałem zamówić coś do jedzenia. Na szczęście jadła tyle co ptaszek, więc zawsze jakiś plus.

Innego dnia, bez zapowiedzi, przyprowadziła do mnie swojego kolegę ze studiów. Patryk miał na imię, wyróżniał się przeproszającym tonem głosu i wyglądem strasznej pierdoły. To nie jego wina, wiadomo, ale nie potrafiłem spojrzeć na niego sympatycznie – kolejny porażający przypadek społecznej inżynierii nad istotą męskości. Siedziałem sobie przy laptopie, słuchałem zapętlonego *Where did you sleep last night* Nirvany i starałem się napisać kilka sensownych słów, kiedy to usłyszałem zgrzyt w zamku i otwierane drzwi. Jak burza wpadli do mojej sypialni i salonu w jednym, wpakowali bez słowa przepaszam.

– Weź się ubierz i wyłącz ten staroć – oznajmiła z dezaprobatą. – Mamy gości.

Siedziałem w samych gaciach, bo ten dzień postanowiłem spędzić na całkowitym luzie. No i poza tym byłem u siebie. Ubrałem się jednak bez słowa sprzeciwu. Oni puścili coś w telewizji i zaczęli gadać, ale kiedy tylko wyszedłem z łazienki, momentalnie zamilkli. Bezrozumny szum telewizora tylko potęgował nienaturalną ciszę. Poczułem się jak intruz we własnym domu. Poszedłem do kuchni, a oni znowu zaczęli swoją gadkę.

– Patryk, chcesz piwo? – krzyknąłem, bo chciałem być miły.

– Patryk nie pije alkoholu – oznajmiła za niego. – To niezdrowe i boomerskie.

– To sam się napiję.

– Ty też mógłbyś przestać tyle pić. Uśmiercasz sobie szare komórki.

– Tak, ale tylko te najślabsze.

Przewróciła oczami i odchrząknęła, kiedy przysiadłem się do nich. Patryk wyglądał na zdenerwowanego, ale on w sumie wyglądał tak za każdym razem, kiedy go widziałem. Podejrzewałem, że na coś cierpi, może coś z głową, ale nigdy o to nie zapytałem. Posiadałem takt, którego właśnie często brakowało Julii. Jak teraz, kiedy poprosiła mnie, abym gdzieś wyszedł, najlepiej na długo, bo oni chcą w spokoju porozmawiać.

– Jak chcesz porozmawiać sobie z kumplem na intymne tematy, to idź do siebie – oznajmiłem i pociągnąłem z butelki, chcąc dodać słowom odpowiedniej mocy.

– Przecież wiesz, że u mnie w akademiku nie ma warunków. Moja współlokatorka to idiotka – syknęła.

– Moja chata, moja twierdza. Nigdzie nie idę.

Wbiła we mnie swój węzowy wzrok, ale się nie ugiąłem. W końcu wyszli, a słodkie kochanie wyglądało na strasznie zirytowane moim zachowaniem. Nawet mnie nie pożegnała, wychodząc. No przecież, że powinienem się wynieść z własnego mieszkania, nie? Szkoda tylko, że mnie też odechciało się na tamten wieczór wszystkiego i nie wróciłem już do pracy nad pierwszą książką.

Największa kłótnia, jaka między nami zaistniała, miała miejsce pod koniec tych czterech zwariowanych miesięcy. Julia przyszła do mnie, całkiem zapłakana, więc oczywiście starałem się ją pocieszyć. Szybko jednak z płaczu przeszła w autentyczny gniew. Chodziło o zaliczenie semestru, nie dawała sobie rady z potową przedmiotów i przez kilka minut ujadła na wykładowców. Dobrze wiedziałem, że to z lenistwa ma kłopoty z nauką, ale nie chciałem o tym głośno mówić.

– Nie masz nawet pojęcia, jaki to ciężki i ważny kierunek – oznajmiła zmęczonym głosem.

– Nie wiem, nie studiowałem go – przyznałem oschle.

– To ci mówię przecież. Zakres pojęć jest ogromny. To jest trudniejsze niż studia lekarskie, serio ci mówię.

– Nie powiedziałbym.

– Że co niby?

Ten jej opryskliwy ton, kiedy ośmieliłem się powiedzieć coś nie po jej myśli, ten cholerny wzrok, mający sprawić, żebyś czuł się jak gównio. Jeżeli tak zachowywała się wobec tych biednych profesorów, to nie dziwię się, że miała problem. Siejemy i zbieramy, prawda stara jak świat.

- Czyli co? Uważasz, że niby jakieś gównio studiuję, tak? – zaatakowała.
- Nie powiedziałem tego.
- Przecież sam jesteś po humanie, więc kto tu gównio studiował, no nie?
- Przecież nic nie mówię.
- No to nie mów.

Dopiłem resztkę piwa z butelki, spojrzałem na nią, a potem wziąłem tę butelkę i w przypływie rozdrażnienia rzuciłem nią o ścianę. Szkło posypało się po całym pokoju. Chwyciłem Julię za podbródek i patrząc prosto w jej oczy, powiedziałem wciąż w miarę spokojnym głosem:

– No to powiem, ale nie wiem, czy zrozumiesz. Dlatego słuchaj uważnie. Nic mnie te twoje studia nie obchodzą, rób, jak uważasz, twoje życie. Ale jeżeli chcesz znać moje zdanie, to powiem ci, że jako Zachód idziemy nie w tym kierunku, co trzeba. Kiedy my głupio badamy, czy są dwie, cztery czy pięćdziesiąt płci, to Chińczycy w tym czasie opracowują nowe napędy kosmiczne, systemy odsalania morskiej wody i tworzą sztuczne słońce, by pozyskać nielimitowaną energię. Dlatego uważam, że twój kierunek nie jest wcale taki trudny i istotny, jak może ci się wydawać.

Julia wyrwała mi się i podniosła z kanapy. Przez chwilę wyglądała jak tygrysica gotowa rozszarpać tętnicę swojej ofiary. Wiedziałem, co się kroi, ale i tak nie zdążyłem zareagować. Rzuciła się na mnie i swoimi kolorowymi hybrydami rozorała mi prawy polik.

– JAKI TY, KURWA, JESTEŚ OGRANICZONY! TY GŁUPI GNOJU! TY SZOWINISTO PIERDOLONY! JEBANY FASZYSTO TY! JESTEŚ NIC NIEWARTYM CHUJEM! JESTEŚ TOTALNYM ZEREM!

Szybko jednak złapałem ją za nadgarstki i przytrzymałem. Nadal wyrzucała mi najgorsze świństwa i starała się bezskutecznie wyrwać. Kiedy nabrała śliny i splunęła mi prosto w twarz, uznałem, że starczy na dziś tego dobrego. Postawiłem ją przed drzwiami i powiedziałem, że ma spadać. Użyłem dokładnie tego w miarę delikatnego słowa.

- Wyrzucasz mnie? – zapytała z przerażeniem w oczach.
- Tak. Oddawaj klucze – oznajmiłem twardo.
- Nie.
- Oddaj klucze do mojego mieszkania, nikt ci nie mówił, że masz prawo posiadać własną parę.

Zrobiła to, ale zamiast dać mi do ręki, rzuciła nimi w głębi mieszkania. Potem odwróciła się na pięcie i trzasnęła drzwiami. Nie odzywała się przez trzy dni. Po tych trzech dniach zadzwoniła, że chce do mnie przyjść się rozmówić. Zgodziłem się ciekaw konfrontacji.

Kiedy weszła, starała się zachować poważną minę. Jak zwykle wyglądała świetnie, ale jednak trochę inaczej. Pomyślałem o róży, która zaczyna powoli więdnąć. Nadal piękna, nadal posiadająca swój czar, ale już wiedziałeś, że koniec jest bliski, że niedługo się rozsypie. Usiedliśmy w kuchni, zapytałem, czy napije się herbaty. Odmówiła.

– Kiepsko to zniósłam, wiesz? Tę naszą kłótnię – zaczęła cicho, tak smutno, że prawie zrobiło mi się jej żal. – Jestem na to zbyt wrażliwa, podchodzę zbyt emocjonalnie. Prawie nie spałam w nocy, odpuściłam uniwersum. Miałam czarne myśli, przez moment chciałam się pociąć, odebrać sobie życie. Wiedziałaś, że ludzie wrażliwi, inteligentni częściej popadają w depresję? Że mają cięgoty samobójcze? Chyba tego nie rozumiesz...

- Jasne – skwitowałem.

Spojrzała w okno, właściwie to na okno, wiedziałem, że nie patrzy przez nie, tylko na nie. To dziwne, ale tak właśnie robiła. Często patrzyła, ale niczego nie widziała.

– Właściwie to przyszedłem tylko na chwilę, porozmawiać – oznajmiła pewniejszym głosem. – Wiesz, że do siebie nie pasujemy? Że musimy zerwać? Myślałam o tym przez całe trzy dni, o tym, co powiedziałeś i czuję, że musimy zerwać. Wiesz o tym?

– Też mi się tak wydaje – przyznałem, ale nie czułem żadnego żalu czy rozczarowania. Zupełna obojętność.

– Wiesz, jaki mamy problem? Taki problem, którego nie da się przeskoczyć?

– Jaki?

– Ja jestem jak piękny ptak, pełen energii, życia. Wypełnia mnie otwartość, radość i zrozumienie. Ptak, który chce latać, wzbijać się wysoko, pod samo słońce. A ty jesteś po prostu jak taki ogr. Najchętniej zaszyłbyś się w tej swojej norze i zapijał uprzedzenia do świata kolejną butelką piwa.

Popatrzyłem na nią i uśmiechnąłem się blado, niemal niewidocznie. Z napięciem na twarzy oczekiwała tego, co powiem. Złapałem ją za leżącą na blacie dłoń, ucisnąłem czule.

– Może i masz rację co do mnie, mała – oznajmiłem. – Ale zrozum, że ty wcale nie jesteś taka słodka i dobra, jak sobie wyobrażasz. Patrzysz na świat przez podwójne różowe okulary. To twój najcięższy grzech.

– Nie rozumiem.

– Kiedyś zrozumiesz, Julia. Ale to będzie bolało.

Po kilku minutach wyszła, wyszła na zawsze. Nie poczułem ulgi, nie poczułem złości ani tęsknoty. Wybyła z mojego życia i nie miało to znaczenia. Od tamtego czasu spotkałem ją może dwa razy w towarzystwie Patryka, ale nie wyglądali na parę. Julia tylko przeifarbowała włosy na zielono, nic więcej się w niej nie zmieniło.

Oczywiście, jakiś czas moi szczerzy koledzy mieli ze mnie ubaw, ale wszystko przecież mija. Uznali, że dostałem lekcję od życia. Pewnej soboty siedziałem z jednym z nich w barowym ogródku. Piliśmy zimne piwo i gadaliśmy o głupotach, trochę o robocie, starając się zabić czas, zanim to czas dopadnie nas na amen. W pewnym momencie szturchnął mnie w ramię i powiedział:

– Ej, to nie ta twoja Julka czasem?

Przyjrzałem się dziewczynie, o której mówił. Nie. To nie była ona. Wyglądała podobnie, niemal identycznie jak ona, ale nie była Julią. Nie była nią. Na szczęście.

– Właściwie to one wszystkie są do siebie, kurwa, podobne – skwitował mój ziomek.

Uśmiechnąłem się, ale jakoś kwaśno, jakby opowiedział mi nieśmieszny żart. Miałem nadzieję, że się mylił. Że te wszystkie one, młode, dzielne, próżne, ambitne, waleczne, naiwne, z kolorowymi włosami, z kolczykami w nosie, z rewolucją na ustach – że one wszystkie koniec końców nie są takie same, że całe pokolenie Julii nie jest homogeniczną, seryjną produkcją. Bo jeżeli tak...

Nie miałem ochoty tam dłużej siedzieć, nie miałem ochoty już pić, więc wstałem, przeprosiłem mojego kumpla, zapłaciłem w barze i zostawiłem mały napiwek kelnerowi. A potem poszedłem wzdłuż ruchliwej ulicy, poszedłem dalej. Naprawdę nie miałem ochoty na nic. Szedłem w poszukiwaniu czegoś, nie wiem czego właściwie. Może czegoś, co mogłoby przede mną uchylić rąbka tajemnicy, zmotywować do realnego działania, do czegoś ważnego. Ludzie wymijali mnie z wrogością w spojrzeniu. Całkiem to rozumiiałem, przecież kroczył między nimi nikomu niepotrzebny dziś przeżytek, relikwiarz starych czasów, przedstawiciel toksycznego wymiaru człowieka. Uprzywilejowany biały facet heteroseksualnej orientacji, noszący jeansy i koszulę. Winowajca wszelkich wojen oraz śmierci Jezusa, propagator niewolnictwa, czart XXI wieku, przeciwnik kobiet, wróg publiczny numer jeden, najgroźniejszy drapieżnik planety i przeterminowany produkt wieków z możliwymi genami neandertalczyka. Mający już swoje bezpowrotne pięć minut, wciąż jednak niegotowy oddać pałeczkę komuś nowemu.

Nie zatrzymałem się już nigdzie. Z obojętnością ominąłem lokal, do którego zabrałem Julię na pierwszą randkę. Szedłem powoli przed siebie, ciesząc się wolnością i dobrą pogodą, bo jutro podobno miał padać deszcz. Jutro i pojutrze. Do końca tygodnia.

Tuż przed

Gdzieś tam na zewnątrz, wciąż pali mróz.
Rzeki zmieniają się w skały, podobne klatkom,
choć od środka trawi je magma,
pragnienie by słowo w końcu stało się ciałem.

By mogły opleść twój oddech,
gdzieś u fundamentu piersi,
kiedy wspominasz o mnie, niby przypadkiem,
bez specjalnego zaangażowania,
paląc papierosa na balkonie,
kiedy ja zbieram okruchy z podłogi twojego mieszkania.

Odwracasz się do mnie,
uśmiechasz,
a ja błagam o jeszcze ułamek sekundy.
O kilka dni zwłoki, zanim sam zmienię się w obłok,
który wciągniesz do płuc, a potem wypowiesz.

Koi no Yokan

Właściwy czas, to tylko ćwierć kroku.
Tyle żeby wybudzić do lotu motyle,
rozgrzebać ptaki z bezpiecznych gniazd i gałęzi.
Niech rozlecą się na wszelkie tęsknoty,
które drapią nas, niedostępne.

Niech staną się w końcu deszczem, który
osiedli się gdzieś na pustkowiu, powodując wilgotność,
a ta z czasem stanie się miejscem.

Już się stała, skoro się spotkaliśmy.

Uwięzieni

Nie patrzą na siebie. Spuszczają wzrok. Nikt ich nie pośpiesza. Ona stoi, podpierając się plecami o duże, rozłożyste i na pewno stare drzewo. Ma na sobie bluzkę, spódnicę i nałożoną na nie kamizelkę ratunkową. Głowa przewiązana chustką. Nie widać, aby nosiła buty. Na kamieniu siedzi mężczyzna o jasnych, prostych włosach. Jest ubrany w niebieską koszulę i błękitne spodnie. Obok niego leży duży plecak turystyczny i kamizelka ratunkowa. Pada na niego światło nisko położonego słońca. Na kobietę nie pada żadne światło. Stoi jakby w cieniu drzewa. Po lewej stronie widać prowizoryczną ścieżkę prowadzącą do niskiego i małego domku z kamienia bez drzwi. Panuje cisza.

– Widziałeś tu jakichś ludzi? – spytała kobieta.

– Nie, odkąd zgubiliśmy plażę – odpowiedział mężczyzna.

– To chyba oznacza, że ten dom został opuszczony. Jest chyba w całkiem dobrym stanie. – Na chwilę zamilkła, po czym zapytała: – Gdzie zostały szczątki naszej łodzi?

– Wydaje mi się, że są za tym domem. Trochę pokręciliśmy się, aby znaleźć ten budynek.

– To może pójdziemy do nich?

– Jest już za późno, aby wrócić do łodzi, niedługo zajdzie słońce, a bez światła zgubimy się szybciej niż w labiryncie.

– To może wejdziemy na wzgórze i tam rozpalimy ognisko? – Spojrzała dookoła zaniepokojona.

– Słońce zajdzie za jakieś pół godziny, więc nie zdążymy się tam dostać. Trzeba wejść do tego domu i jakoś załatać wejście, aby nie wydostało się ciepło, które się tu zgromadziło w ciągu upalnego dnia. Jest tam chyba bezpieczniej niż na wzgórzu – oznajmił mężczyzna.

Jedynie kawałek framugi jest oświetlony przez słońce, budynek stoi w ciemnościach i czeka, aż ktoś do niego wejdzie. Dom podpira się na krzywej i wyraźnie starej kolumnie. Jest ona częściowo zasłonięta przez przybrzeżne skały. Można się domyślać, że kolumna stoi na swego rodzaju tarasie lub balkonie wychodzącym nad wodę. Dach domu nie przypomina żadnego znanego mi dachu. Jest on pokryty czymś starym, co było wystawione na wiele ulew, gradobii i tysiące godzin słonecznego żaru. Dodatkowo promienie słoneczne tworzą na dachu labirynt skojarzeń, pośród których nie da się rozpoznać wiodącego motywu. Jedna ściana domku jest przesłonięta swego rodzaju naturalnym murem zrobionym z przybrzeżnych skał. Może osoba, która budowała ten dom, pomyślała, że dom będzie bezpieczniejszy, mając naturalną fosę i mur z drugiej strony.

Jest też drzewo o ciemnozielonych, rozłożystych liściach. Nie widać pnia tego drzewa. Na skałach rosną dwa krzaki. Przypominają one trochę jałowiec płożący jesienią. Pomiedzy skałami ku domkowi pną się schody wykute z kamienia. Prowadzą do drzwi. Przy nich jest przejście kierujące się w stronę kolumny. Ukrywa się ona pod osłoną cienia. Na dole znajduje się skarpa porośnięta niską trawą. Za parą ludzi przebiega płycizna, jest tam plaża. Dalej widać granatową wodę, na której powoli toną szczątki wielkiego statku. Dziób jest skierowany ku górze, a przez środek biegnie pionowe pęknięcie. Wokół rozwiewa się dym, a szczątki statku i wnętrza kajut unoszą się na wodzie. Wydaje się, że za chwilę statek zostanie przepołożony i zniknie pod powierzchnią wody. W oddali sunie łódź ratownicza. Zapewne niedługo dotrze do statku, ale do tego czasu ocaleni ludzie zejść już na ląd.

Wreszcie wyczerpany mężczyzna o jasnych włosach wstał i podał kobiecie butelkę z wodą. Nie zauważył akcji ratowniczej na horyzoncie.

– Musimy już iść – powiedział.

Skierowali się w stronę domu. Do zachodu słońca zostało jeszcze kilkanaście minut. Gdy weszli do niego, otoczyła ich całkowita ciemność, która wydawała się pochłaniać światło i powietrze. Obraz za framugą wydawał się nienaturalnie jasny. Oboje wyskoczyli z domu prosto w światło czerwonego księżyca, chociaż przed sekundą stali w świetle słońca, teraz otaczała ich bezgwiezdna noc. Temperatura zdecydowanie spadła. Na dole zbocza spostrzegli kilka snopów jasnego światła, a w zatoce zacumowaną łódkę. Zagubieni i pełni nadziei zaczęli krzyczeć i biec w stronę najbliższego ratownika. Ścieżka była wąska i otoczona gęstym lasem, z oddali i z bliska dochodziły pohukiwania sów, pojedyncze wycia wilków i szczątkowe krzyki. Nagle oświecił ich snop światła. Oślaniając oczy, zobaczyli sylwetkę mężczyzny. W tej samej chwili z prawej strony ścieżki dało się słyszeć odgłos łamania gałęzi. Ratownik skierował światło prosto w krzaki, jednak zrobił to za wolno. Oboje ocaleni zobaczyli jedynie dużą smugę rozpędzonej sierści, która właśnie zderzała się z ratownikiem. Potwór jak się pojawił, tak szybko zniknął, zabierając ze sobą krzyczącego mężczyznę. Upuszczona latarka migiała, oświetlając krwawą plamę na ścieżce i dosyć szeroki przesmyk wśród krzaków stworzony przez pędzącą bestię. Po chwili ponownie zapadła ciemność, a wszystko wokół wydawało się sparaliżowane. Nawet wiatr nie zakłócał tej ciszy. Kobieta pierwsza się otrząsnęła i zaczęła biec z powrotem do domku, ciągnąc za sobą mężczyznę. Znów zostali sami, choć wiedzieli, że tajemnicza postać z pewnością ich obserwuje.

*

Opowiadanie inspirowane obrazem mało znanego artysty.



Wiktoria Słomka

Niewi(a)doma

– Pierwszy dzień w szkole, a już jakieś zmiany się szykują... Nie znoszę tego! – narzekała Ola, patrząc przy tym na grupę osób, o której jeszcze przed wakacjami mogła napisać referat. Dotychczas twierdziła, że o każdym z jej klasy wiedziała prawie wszystko. Teraz pojawiło się kilka nowych twarzy, których nie mogła zaakceptować. Na razie bała się jednak podejść i zagadać. Skupiła więc swoją uwagę na „starych” znajomych.

– W ogóle to uważam, że Kaśka nie powinna zakładać tak krótkiej spódniczki. Bez kitu... – ciągnęła. – Marek? Pfff... Chyba pomylił rozpoczęcie roku ze spotkaniem u kolegi. Od zawsze nie potrafił się do nas dopasować! – mówiła.

– No, a Nadia...

– Ola, przestań! Mam już dość tego twojego zrządzenia! Może lepiej skup się na sobie i poszukaj naszego nowego nauczyciela – przerwał Adrian, jej przyjaciel, który stał zrezygnowany, opierając się o ścianę.

Ola od zawsze miała tak zwany dryg do oceniania innych. Była jak juror w talent show. Nie myślała o konsekwencjach, po prostu mówiła i mówiła – bez opamiętania. Tak było już od pierwszej klasy szkoły podstawowej i od samego początku właśnie z tego była znana wśród znajomych.

– Kochani! Witamy was w nowym i mamy nadzieję, że jeszcze lepszym roku szkolnym! – przerwała niespodziewanie wyłaniająca się z drzwi prowadzących na salę gimnastyczną pani dyrektor. Jak na zawołanie, wszelkie rozmowy uczniów ucichły.

– Do niemal każdej z klas doszli nowi uczniowie, więc proszę o nawiązanie z nimi znajomości, aby pozuli się tu jeszcze lepiej. Myślę jednak, że z czasem sami przyzwyczają się do nowego otoczenia. Mam jeszcze jeden komunikat do... – kobieta zamyśliła się chwilę, a potem skierowała wzrok na ostatnie klasy, w których znajdowali się Ola i Adrian – uczniów siódmych oraz ósmych klas. Niebawem egzaminy i apeluję, abyście już od samego początku byli skupieni i przykładali się do nauki – mówiła dalej.

Pani dyrektor nadal opowiadała o rozpoczętym właśnie semestrze, jednak Ola w tym właśnie momencie zupełnie „wyłączyła” swoje myślenie. Nowe osoby, kolejna klasa? Ta myśl doprowadzała ją do obłędu. Rok szkolny dopiero się jednak zaczął...

Dopiero kilka dni później, jak to zwykle bywa, rozpoczynają się prawdziwe lekcje. Ola przyszła do szkoły jakby zniesmaczona towarzystwem, z którym musi na co dzień przebywać. Pod ich salą 37 stały oczywiście znajome osoby oraz „nowe nabytki”. Dziewczyna podeszła bliżej, aby ocenić sytuację. Jedna osoba przykuła jej szczególną uwagę. Była to dziewczyna, wyglądająca na około czternaście lat, ubrana w brązowy sweter, pozostałe elementy stroju były w tej samej tonacji. Jej miedziane włosy pięknie błyszcząły. Znikały niemal całkowicie przy pełnych ustach i jaskrawych, różowych okularach, które często poprawiała jakby w obawie przed ich utratą. Ola w rozmowie usłyszała, że nieznaną ma na imię Viola i przyjechała z drugiego krańca Polski.

„Ciekawe... Muszę się jej przyjrzeć. I to dokładnie” – pomyślała dziewczyna. Na „różową okularnicę” miała swój niezawodny plan...

Zbliżała się wiosna. Słońce zaczęło coraz wyżej wznosić się na niebie, dni stawały się dłuższe, piękniejsze. Ptaki wesoło ćwierkały, przyroda budziła się do życia. Ola, jak zazwyczaj podczas przerwy, stała na korytarzu otoczona gronem zapatrzonych w nią koleżanek. Jej przyjaciel Adrian zaś stał na uboczu i patrzył smutno na dziewczynę, zastanawiając się, kto tym razem znajduje się na jej słownym celowniku. Widział, że Ola śmieje się złowieszczo i mówi coś na ucho jednej z kompanek. Nie mógł domyślić się, kogo tym razem obgaduje, ale był to smutny widok.

– Dziewczyno! Czy wy w ogóle widziałyście, co ona zrobiła na matmie? Właściwie, to czego NIE zrobiła! No przecież to jest jakiś absurd! Jak można takich oczywistych rzeczy nie wiedzieć?! – mówiła Ola, co chwilę chichotając.

Dziewczyna bowiem była bardzo dobra z matematyki. Lubiła ten przedmiot i widać, że przykładała się do rozwiązywanych zadań. Z innych przedmiotów nie szło jej, niestety, najlepiej. Miała problemy z koncentracją i ciągle rozmawiała podczas lekcji z koleżankami. Ale matma? Matma była OK!

– Właśnie! Tylko stała tam, taka wystraszona przy tablicy, jakby ducha zobaczyła! Ha ha!! – ciągnęła druga rozbawiona koleżanka.

Pozostałe dziewczyny bez zastanowienia przyłączyły się do naigrywań i nie wiedziały w tym nic złego. Adrian nadal stał nieco dalej i zastanawiał się, jak tak właściwie można. Chłopak nie chciał jednak zerwać kontaktu z Olą, ponieważ przyjaźnili się jeszcze od czasów „piaskownicy”. Nie zmienia to faktu, że nie znosił, gdy jego przyjaciółka kogoś (bez przerwy) krytykowała. W takich właśnie chwilach wołał trzymać się z daleka. Próbował wiele razy jej to wybić z głowy, ona jednak udawała, że tego nie słyszy. Adrian był całkowicie bezradny. Nagle usłyszał z ust Oli:

– Ale ta Viola to jednak głupia laska! Jak możecie się z nią zadawać, to wstyd!

Najgorsze było to, że Viola siedziała na ławce obok nich i słyszała całą nieprzyjemną rozmowę. Nagle wstała, odwróciła się ze łzami w oczach i powoli, dotykając ściany, niepewnie ruszyła na koniec korytarza. Usiadła na ławce i zaczęła płakać. Od początku roku szkolnego nie mogła w nowej szkole nawiązać jakiegokolwiek znajomości. Spotykała tylko takie osoby, które albo życzyły jej źle, albo bały się jej inności. Adrian miał już dość okropnego zachowania Oli i postanowił pójść za Violą. Usiadł obok niej i powiedział:

– Hej, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? Mam zawołać nauczyciela?

– Nie, nie w-w-wiem – zaszlochała dziewczyna. – Wiem za to, że nikt mnie tu nie akceptuje i nie lubi... – mówiła dalej Viola, pociągając nosem.

– Głupio mi... Sam nie wiem, dlaczego miałem wątpliwości, czy się z tobą zapoznać. Jesteś naprawdę super. Na Olę nie zwracaj uwagi, a ona sama przestanie. Wiem, bo znamy się już od przedszkola – pocieszał Violę Adrian.

– Daj spokój, nie chciałam wpędzić cię w poczucie winy... Tylko ciężko mi z tym, że jestem cały czas sama – odparła ze smutkiem.

– Od teraz nie będziesz. – Uśmiechnął się chłopak. Tak w ogóle, to nigdy nie dowiedziałem się o tobie czegoś więcej. Opowiesz mi coś o sobie? – zapytał zaciekawiony.

– Jestem Viola, mam czternaście lat, ale to już pewnie wiesz... Jestem niewidoma – wyznała zmieszana. To też pewnie wiesz... Zdaję sobie z tego sprawę, że po prawie sześciu miesiącach każdy w klasie i w szkole o tym wie. Moje okulary tego nie zasłonią... Chociaż są różowe... – Nastąpiła chwila milczenia.

– W ogóle mi to nie przeszkadza! – powiedział wreszcie Adrian. – Co z tego? Przecież jesteś taka sama jak my wszyscy. Jak ktoś tego nie chce zrozumieć, to ma problem ze sobą – odparł z uśmiechem. Czuję, że polubił Violę. Co więcej naprawdę ją podziwiał! Do tego dziewczyna... po prostu podobała mu się.

Następnego dnia wszyscy uczniowie zebrali się w sali gimnastycznej, gdzie miał się odbyć szkolny konkurs talentów. Każdy był ciekawy, kto i jak zaprezentuje swój talent. Adrian ukradkiem wypatrywał Violi – niestety, nigdzie jej nie było. Martwił się o nią, biorąc też pod uwagę wczorajsze, przykre dla niej wydarzenia, przewidywał, że dziewczyna została w domu... Przerwał jednak swoje rozmyślenia, kiedy na scenę wszedł prowadzący. Show się rozpoczął. Występy były bardzo urozmaicone. Jedni tańczyli, śpiewali, inni rysowali na czas, jeszcze inni opowiadali żarty. Wydarzenie zbliżało się ku końcowi. Niespodziewanie jednak na scenę wniesiono pianino. Wszyscy zaczęli klaskać, wywołując ostatniego uczestnika. Wtedy na scenę weszła... Viola! Ta sama dziewczyna, której dzisiaj zabrakło na widowni! Adrian nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Rozmyślał, dlaczego dziewczyna zdecydowała się wystąpić, skoro jeszcze wczoraj płakała przez tych samych ludzi, którzy dziś będą ją oceniać. No i – w jaki sposób – nie widząc, zagra na pianinie? Przecież to strasznie trudne! Zapanowała cisza... A chwilę później palce Violi mknęły po klawiaturze, jak u prawdziwego wirtuoza gry! Muzyka była klasyczna – piękna, delikatna, wzruszająca. Niewidoma dziewczyna grała lepiej niż niejeden pianista. Na jej twarzy widać było szalejące emocje. Kiedy skończyła, cała widownia powstała i zaczęła bić brawo. Proszono o bis! Wiadomo już było, kto wygra ten konkurs. Viola okazała się bezkonkurencyjna. Tymczasem dziewczyna powoli wstała od pianina i wysuwając dłonie do przodu, szukała oparcia – wtedy podbiegł do niej Adrian i chwycił za rękę. To było niesamowite! Wszyscy zobaczyli, że Viola jest ogromnie utalentowana, a przy tym skromna, a niepełnosprawność wcale jej nie wyklucza. Co więcej, pokazała swoją niezwykłą wrażliwość. Gratulacjom nie było końca. Violę otoczyła niemal cała szkoła, by zadawać jej pytania. Po zakończonych lekcjach do Violi zagadała Ola. Wyglądała na skruszoną, jakby chciała przeprosić Violę.

– Violu... Przepraszam za to, co ci robiłam. Byłam zazdrosna – nie chciałam, żeby nowa osoba zabrała uwagę innych. Dziś przekonałam się, że jesteś świetną osobą. Oprócz tego, zagrałaś po prostu obłędnie! Ty, nie widząc, dostrzegałaś więcej niż ja. Czy mi kiedyś wybaczysz? – wydusiła z siebie Ola.

– Oczywiście, że wybaczę. Przyznam, nie było mi łatwo, jednak bardzo się cieszę, że zobaczyliście we mnie równą sobie – odpowiedziała szczęśliwa Viola.

Ta rozmowa diametralnie zmieniła życie obu dziewczyn. Ola zrozumiała, że trzeba najpierw poznać człowieka, aby móc dostrzec w nim piękno. Viola jeszcze mocniej uwierzyła w siebie i nie zrażała się nawet wtedy, kiedy czasami słyszała od obcych uwagi o jej „inności”. Ważne jest przecież to, aby zawsze widzieć w ludziach dobro.



Aleksandra Białogłowy

Małgorzata Mikołajczak

29. Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii poezja dla Michała Banaszaka (laudacja)

Tytuł książki Michała Banaszaka jest mylący. Nie ma rozwiązań, alternatywy, ratunku. Nie ma wyjścia. *Exit* to przejmująca relacja ze świata, który wygasa i umiera – w wierszu *Expire and die* przywołany zostaje jeden tylko z obecnych tu wariantów końca. Inny – częściej powracający – realizuje się według apokaliptycznego scenariusza. Banaszak wyławia, kumuluje i groteskowo wyolbrzymia cywilizacyjne lęki; karmi strach „komunikatami” z internetu, straszy wizją panopticum. Bohater tych wierszy – uwięziony w rzeczywistości, która dyscyplinuje i osacza – skupia grozę jak tarcza. Autor celuje w niego „patodewelopoezją”, rymowanymi w stylu księdza Baki i umiejętnie buduje napięcie – powodując bezdech, „ataki duszności”. Stąd maladyczna triada, która wyłania się z tytułów wierszy: asfiksja, odma, hiperwentylacja. Brak powietrza jest też projektowany w wirtualną przestrzeń – świat się zacina, a reset nie działa: „wyłącz włącz ponownie odśwież odśwież odśwież”.



N
b
i
z
e
n
i
a

Choć cyfrowego tubylca, jakim jest Banaszak, dzieli od Tadeusza Różewicza lata świetlne, to w jego wierszach toczy się walka o oddech podszyta tym samym metafizycznym niepokojem co u Różewicza. W punkcie wyjścia i dojścia, które – jak sugeruje ostatni wiersz *Exit* – też jest wyjściem, znajduje się problem porzucenia boga. Ten temat i związana z nim degradacja sacrum najmocniej wybrzmiewa w wierszu *Atlas martwych zwierząt*, gdzie rozpad religijnego światoodczucia zostaje rozpisany na enumerację peryfraz:

Wróbel gwóźdź nieba przybity do mokrego asfaltu
gołąb strup tęczy oderwany od światła
jeź kląb cierni na podmiejskim szutrze
[...]
ćma język ognia w białej nieskończoności klosza
kret palec wciśnięty w gardło ciemności
komar krew moja
karp przenajświętszy sakrament
człowiek ciało moje

Ta animalistyczna metafizyka ma językowe konsekwencje: słowa pozbawione sankcji transcendentnej wchodzą z mówiącym w zwierzęcą relację, można je „dokarmiać zabawiać uczyć sztuczek” albo „ciągnąć za zderzakiem trzymać na łańcuchu głodzić katować dręczyć słowa”. Można się nimi również bawić, tak jak robili to poeci lingwiści, wykorzystując grę z frazeologią. To, co Banaszak robi ze słowami – zapisując post-sekularne doświadczenie, mnożąc warianty końca, artykułując niepokoje współczesności – zdecydowanie jednak wykracza poza grę z językiem. Autor tomiku *Exit* odnawia bowiem zapoznane możliwości wiersza, a najlepszy efekt osiąga, wykorzystując potencjał tradycyjnej formy, budując napięcie między dyscyplinującą strukturą i emocją – np. w utworze, w którym walka o oddech rozgrywa się przy akompaniamencie rytmu przerzutniowego i konkatencji:

W tętniącym oddechu echu: ostatnie
odbijające się od sklepienia pienia. Zgasic
światła świata. I zaryć w ołtarz aż
przepięknie pęknie [...]
Wytrzeć litanią
która jest pusta usta. Na naciągniętej
strunie runie cienka żarówka świątyni, wtedy
oddać oddechom ostatni dźwięk, jęk

Ten „dźwięk, jęk” – dodam na koniec – pokazuje, że wyjście, najlepsze możliwe, otwiera się właśnie za sprawą poezji, która z impetem kruszy skostniałe i martwe; i która to, co „tętni pulsuje pod skórą”, przemienia w „metrum jednego wydechu”.

Kozzi Film Festiwal 2023 oczyma licealistów

Wraz z czwórką licealistów miałam zaszczyt, a przede wszystkim przyjemność tworzyć tegoroczne Młodzieżowe Jury na 9. (12.) Festiwalu Filmu, Teatru i Książki Kozzi–Piecza–Chęciński. Do współpracy zaprosił nas organizator imprezy – zielonogórska Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida. Jesteśmy uczniami V Liceum Ogólnokształcącego im. Krzysztofa Kieślowskiego w Zielonej Górze, szkoły, która daje możliwości poszukiwania niestandardowych form pracy i realizacji zainteresowań uczniów. W ramach lekcji uczęszczamy na zajęcia z edukacji filmo-

wej. Wszyscy pasjonujemy się kinem. Niektórzy z nas mają także ambicje i marzenia, by je w przyszłości tworzyć. Wszystko to sprawia, że nie lada gratką była dla nas możliwość aktywnego uczestniczenia w różnorodnym programie festiwalowym – projekcjach filmowych, spotkaniach z gwiazdami, eventach artystycznych, rozmowach kularowych itp. Dzięki temu tegoroczny festiwal stał się dla nas niezapomniany.

Przez cztery dni przemykaliśmy po bibliotecznych przestrzeniach, spiesząc na kolejne seanse. Każdy film prowokował dyskusje na temat reży-



Młodzieżowe Jury. Od lewej: Aleksandra Przybylak, Karolina Paramonczyk, Martyna Perwińska, Maciej Mlecza, Jan Patelka



serii, gry aktorskiej, scenariuszy, kadrów i muzyki. Z seansów wychodziliśmy pełni emocji, z zeszytami pełnymi notatek. Nasze przemyślenia i wrażenia po projekcjach wzbogacały wywiady z gośćmi festiwalu przeprowadzone przez znanego krytyka filmowego Łukasza Maciejewskiego. Rozmowy ze świetnymi aktorami czy też reżyserami pozwalały nam spojrzeć na filmy, jak i na samych ich twórców z zupełnie innej strony.

Festiwal – oprócz spotkań z takimi gośćmi jak Marian Dziędziel, Gabriela Muskała czy też Beata Dżianowicz – oferował rozmowy z pisarzami, muzykami, dziennikarzami, językoznawcami. Niestety, nie byliśmy w stanie uczestniczyć w każdym z nich.

W niedzielę, 4 czerwca, po ostatnim festiwalowym seansie, przyszło nam dokonać wyboru. Początkowo wydawało się, że trudno będzie wybrać ten jeden, najlepszy film. W trakcie dyskusji okazało się, że jednogłośnie wybraliśmy zwycięzcę. Film *Strzępy* w reżyserii Beaty Dżianowicz wywołał w nas najwięcej emocji, które prowokują do głębokich przemyśleń. Po raz pierwszy przyszło nam napisać laudację ku czci wspomnianego obrazu. Zadanie nie należało do łatwych. Spędziliśmy dużo czasu, by precyzyjnie dobrać słowa i trafnie uzasadnić nasz wybór. Na szczęście udało się i zdążyliśmy terminowo. Wybraliśmy, kto będzie nas reprezentować i ruszyliśmy na galę festiwalową, która odbywała się tego samego dnia w reprezentacyjnej sali Biblioteki Norwida, o godzinie 20.



Film *Strzępy*, który uhonorowaliśmy Nagrodą Młodzieżowego Jury, w rzeczywisty sposób ukazuje zmaganie się całej rodziny z cierpiącym na chorobę Alzheimerera dziadka. Obraz wywołał w nas dyskomfort, skrajne emocje oraz przemyślenia na tematy, które często wolimy przemilczeć. To dogłębnie poruszająca, istotna historia, podkreślająca ważność rodziny, jak i trudne decyzje, z jakimi bliscy muszą się nieraz zmagać. Obecnie na rozdaniu nagród reżyserka Beata Dzianowicz oraz aktorka Agnieszka Radzikowska, odgrywająca jedną z głównych ról w *Strzępach*, były zaskoczone nagrodą. A warto wspomnieć, że tegoroczne Grand Prix, czyli Klaps 2023 dla reżysera najlepszego polskiego filmu otrzymała właśnie Beata Dzianowicz za film *Strzępy*. To potwier-

dzenie naszego wyboru bardzo nas ucieszyło, a realizatorom z reżyserką na czele życzymy kolejnych sukcesów.

Po wręczeniu nagród odbyło się spotkanie z reżyserem Arturem Baronem Więckiem, odpowiedzialnym za wzruszający film *Prawdziwe życie aniołów*. Po projekcji była okazja, by zamienić parę zdań z gośćmi festiwalu, zachęcających nas do pogłębiania naszych pasji związanych z filmem, oraz zrobić pamiątkowe zdjęcia.

Trudno wyrazić wdzięczność za umożliwienie naszego wkładu w przebieg 9.(12.) Festiwalu Filmu, Teatru i Książki. Na długo zapamiętamy świetne filmy, fascynujących gości, sprawnych wolontariuszy oraz atmosferę, jakiej doświadczyliśmy w Bibliotece Norwida.



Weronika Nawrocka

Klasyczna literatura rosyjska a współcześni czytelnicy

Faktem jest, że internet całkowicie zmienił świat. Wpłynęło to również na środowisko literatów i krytyków, czy też szeroko rozumianych „osób zajmujących się literaturą”, gdyż od jakiegoś czasu coraz popularniejsze staje się prowadzenie kont dotyczących tego tematu na różnorodnych portalach społecznościowych. O ile jest to zrozumiałe w kwestii autorów i wydawnictw – którzy wykorzystują nowe medium jako źródło promocji – to w zgodzie z pierwotną myślą mediów społecznościowych, czyli „zbliżania do siebie ludzi”, powstają również profile, które choć nierzadko mają pewne cechy wspólne z krytyką, to bardzo często z upływem czasu zaczynają przypominać konta „grup-pies”. Dlatego też, nie wchodząc w polemikę i waloryzację tych profili, najlepiej określić je jako opierające się na publikowaniu wszelakich treści dotyczących szeroko rozumianej literatury.

Konta takie można znaleźć niemal w każdym medium, jakie oferuje internet: na Facebooku, platformach blogowych, ale jednym z najpopularniejszych miejsc stał się Instagram*. Czytelnicze profile na tej platformie dostały nawet swoją nazwę – ochrzczone je bookstagramami. Sama prowadzi takie konto, co, oprócz miejsca do publikowania swoich przemyśleń dotyczących książek nieograniczonych jakkolwiek formę gatunkową, zapewnia też dodatkowe wrażenia w postaci bieżącej obserwacji trendów związanych z literaturą w ogóle, a także stanem polskiego czytelnictwa i podejściem do książki polskich czytelników w każdym wieku.

Specyficzną cechą Instagramu jest to, że użytkownik ma możliwość odpowiedzieć na wszystko – jednym kliknięciem można wysłać twórcom wiadomość dotyczącą relacji, którą opublikował; polubić, skomentować, udostępnić lub zapisać jego post. Jest to też doskonałe miejsce do generowania problemów (a więc i wyświetleń, na zasadach spotykanych w kolorowych czasopiśmie i portalach plotkar-

* Medium pierwotnie skupione na dzieleniu się z pozostałymi użytkownikami zdjęciami i filmami

skich) i mówienia o tych, które już istnieją. Grono odbiorców mojego profilu na ten moment to około 3400 osób pochodzących z całej Polski, czytających przeróżne rzeczy lub też nieczytających wcale – a jednak, w obu tych przypadkach, mających wiele do powiedzenia.

Niedawno, za pomocą instagramowych relacji, wspomniałam moim odbiorcom o czytanej przeze mnie w tamtym momencie antyutopii *My* Jewgienija Zamiatina, co wywołało dosłownie burzę wszelkiego rodzaju odpowiedzi. Ale po kolei: Jewgienij Zamiatin żył i tworzył na przełomie XIX i XX wieku. Jego twórczość wywarła ogromny wpływ na kształt późniejszej literatury, zwłaszcza na nurt dystopijny i utopijny, ponieważ opublikowana po raz pierwszy w 1920 lub 1921 roku powieść *My* uznawana jest za pierwowzór dzieł uważanych obecnie za klasyczne w tym nurcie, takich jak *Rok 1984* George'a Orwella lub *Nowy, wspaniały świat* Aldousa Huxleya. I nadal nie byłoby w tym nic wzbudzającego emocje, dystopie są przecież bardzo powszechnym tematem, gdyby nie to, że autor *My* urodził się, żył i tworzył w Związku Radzieckim.

Dotarła do mnie duża ilość wiadomości, w których zarzucano mi, że „to nie jest odpowiedni czas na promowanie literatury rosyjskiej”. Odpowiadałam na każdą z nich, tłumacząc swoje zdanie. Sytuacja ta miała również miejsce w momencie, gdy mówiłam o innych tytułach, między innymi o *Braciach Karamazow* Dostojewskiego, *Lolcie* Nabokowa czy też o *Mistrzu i Małgorzacie* Bułhakowa. Wydarzenia te spowodowały we mnie wiele przemyśleń, dla których chat internetowy był po prostu nie do końca odpowiedni – ludzie zwykle, po napisaniu mi swojej opinii i wylaniu żali, nie są zainteresowani moją odpowiedzią. Bo po pierwsze, nijak nie promuję literatury rosyjskiej, natomiast bardzo chciałabym móc powiedzieć o sobie, że promuję po prostu „literaturę”, a już najchętniej „Literaturę” przez wielkie „L” – ale jest to długi temat, na zupełnie inny tekst. Po drugie, naprawdę nie rozumiem, jak ktokolwiek może łączyć czytanie klasyków z popieraniem działań wojennych szaleńca? Jeśli tak miałby wyglądać świat, czy czytając *Fabrykę oficerów* Kirsta, popieram działania nazistowskich Niemiec? Czy przy Lo-

licie staję się oprawcą małych dziewczynek? Albo czy w takim razie powinnam moich niemieckich rówieśników obwiniać o to, co robił ich kraj parę pokoleń temu, a Szwedów – o potop szwedzki? Idąc dalej tym tropem – czy każda osoba mająca paszport rosyjski jest winna temu, co dzieje się za naszą wschodnią granicą? Bo jeśli tak, jeśli przyjmiemy takie założenie, automatycznie też możemy stwierdzić, że my wszyscy mający paszport polski popieramy każde jedno działanie partii rządzącej. A od tego to już tylko mały krok do śmierci demokracji, a dalej – dokładnie do takiego społeczeństwa, jakie było tematem książki-burzycielki, prowodyrki całej tej dyskusji, do społeczeństwa pozbawionego indywidualności i marzeń, do miejsca, w którym ludzie nie są już ludźmi tylko numerami dopasowanymi do nich ze względu na wykonywany zawód i na umiejętności, które im dano (swoją drogą, tutaj znów znalazłoby się parę historycznych kontekstów).

Nie zgadzam się na takie klasyfikowanie i deprecjonowanie literatury. Książki istniały zawsze i, mam ogromną nadzieję, będą istnieć nadal, mimo wszystko, jako znak czasów, w których zostały napisane, jako zapis zdarzeń, jako ich interpretacja. Ale interpretacja zawsze jest subiektywna, dlatego też autor jakiegokolwiek powieści nie ma żadnego wpływu na jej odbiór czy odczytanie. Nie może brać odpowiedzialności za to, co czytelnicy dalej zrobią z jego słowami; a tym bardziej nie może być klasyfikowany tylko przez to, gdzie się urodził. Oczywiście jest, że książki są też drogą do poznawania innej kultury i innego kraju – ale nadal nie jest to poznanie całościowe i obiektywne, bo i autor, i czytelnik są ludźmi. A każdy czytelnik odczytuje książkę przez pryzmat swoich własnych doświadczeń, tak więc może dostrzec za linijkami coś, co autorowi nawet nie przyszłoby to głowy. I czy to właśnie nie jest w czytaniu najpiękniejsze – ta uniwersalność i miliony możliwości interpretacji? Czy nie właśnie po to czytamy książki, by móc zmierzyć się z czymś innym, czymś, czego nie znaleźmy wcześniej i skonfrontować ze swoją codziennością?

Szkalowanie więc klasyki rosyjskiej literatury nie ma żadnego sensu. Czy Zamiatin, który zmarł w połowie XX wieku, ma jakikolwiek wpływ na to, co dzieje

się teraz? A nawet jeśli słowa jego powieści stałyby się hymnem mordujących żołnierzy – czy można obwiniać o to autora? Bo, nawiasem mówiąc, wielu twórców dystopii można by „oskarżyć” o bycie „inspiracją” dla szaleńców próbujących wprowadzić ich fikcje literackie w życie. Dystopia, sama w sobie, jako gatunek, miała być ostrzeżeniem, a nie... drogowskazem.

Literatura klasyczna jest tym, co zbudowało społeczeństwo. Nie mogłoby funkcjonować ani wyglądać tak, jak funkcjonuje i wygląda obecnie. To w niej należy szukać źródeł kultury. Jest tworem całkowicie neutralnym i apolitycznym, dającym nieskończone możliwości rozumienia. A to, z jakiego kraju pochodzą jej autorzy, nie powinno mieć żadnego znaczenia, bo jeśli miałyby, to nawet my, jako Polacy, nie powinniśmy czytać nawzajem swoich tekstów; skąd możemy wiedzieć, czy ich autor nie miał zupełnie przeciwnych do moich poglądów politycznych, czy był moralnym człowiekiem lub czy dobrze wykonywał swoją pracę? Po wydaniu słowa stają się

wolne, owszem, zostały wcześniej przez kogoś ułożone w konkretnej kolejności, ale na tym kończy się rola autora. Od momentu publikacji powieści, dramat, wiersz lub esej dostaje swoje własne życie i to czytelnik dalej decyduje, co się z nim stanie.

Dlatego uważam, że czytanie klasyków jest równie ważne, a może nawet ważniejsze niż wcześniej, bo przy obecnym zalewie treści publikowanych jako „powieści”, trafienie na prawdziwą perełkę jest coraz trudniejsze. Dlatego też apeluję – nie zapętlajmy się w czytaniu tylko i wyłącznie nowości, bo one nigdy by nie powstały, gdyby nie to, co zostało napisane wcześniej. A klasyka literatury gwarantuje czytelnicze doznania najwyższej jakości, obojętnie, w jakim kraju została opublikowana po raz pierwszy i jaki był jej pierwotny język. W końcu nie bez powodu niewiele dzieł z dawnych lat nadal jest publikowanych, nadal dostają nowe tłumaczenia, nadal znajdują się ludzie, którzy chcą o nich mówić, chcą je czytać i odkrywać na nowo.



Pamela Woźniak

KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Anna Polak

Walory krajoznawcze Doliny Lubszy od Lubska do Gębic

Część II

Czas letni sprzyja wędrówkom, dlatego też warto poznawać okolicę. Przypatrując się wschodnim Dolnym Łużycom, nie można się oprzeć wrażeniu, że na wskazanym terenie znajdują się godne uwagi zabytki i piękna przyroda. Wrażenie to, po osobistym zapoznaniu się z dziejami miast oraz wsi, a także pamiątkami przeszłości, staje się rzeczywistym obrazem, który zaczyna rozbudzać wyobraźnię i coraz mocniej wciągać.

Niniejszy artykuł stanowi drugi z cyklu materiałów poświęconych podróży wzdłuż rzeki Lubszy, która bez wątpienia została nieco zapomniana, a w świadomości wielu mieszkańców funkcjonuje jako element codzienności. Warto zatem przybliżyć jej niezwykłość, przedstawiając walory istniejące nieopodal jej biegu.

Lubsza jest prawym dopływem Nysy Łużyckiej o długości 67 kilometrów. Jej dorzecze zajmuje powierzchnię 914 kilometrów kwadratowych i leży w głównej mierze na terenie powiatu żarskiego, częściowo krosińskiego oraz zielonogórskiego. Rzeka

zaczyna swój bieg w bezpośrednim sąsiedztwie wsi Olbrachtów (gmina Żary), kończy w Gubinie. Przepływa przez 13 miejscowości, a liczy podobno milion lat. Zasilana dwunastoma dopływami jest najważniejszą rzeką na obszarze wielu dużych gmin, takich jak na przykład Żary czy Lubsko.

W pierwszej części, jako ostatni leżący na „trasie” Lubszy, przedstawiony został Jasień. Następna miejscowość, dla której ta rzeka jest bardzo istotna, to Lubsko. Wspomniany ośrodek otrzymał magdeburskie prawo miejskie od margrabiego Miśni Henryka Dostojnego w 1283 roku. Andrzej Czarkowski podaje w swoim artykule, że osada, która dała podwaliny późniejszej sformalizowanej jednostce osadniczej, istniała już w XII wieku. Warto podkreślić, że miasto związane było przez większą część swojej historii z Brandenburgią. Posiadali je margrabiowie łużyccy, niemiecki ród Wittelsbachów, a od 1367 roku królowie czescy. W 1476 roku ośrodek przejął Jan II Żagański, a następnie, w 1482 roku, władze Brandenburgii – margrabiowie von Hohenzollern. Zdarza-

to się, że władza zwierzchnia przekazywała Lubsko różnym rodom. Tak oto w jego posiadanie weszły rodziny von Pack i von Kottwitz. Powróciło ono ponownie w posiadanie Hohenzollernów, ale po niedługim czasie uzyskała je rodzina Beerfelde. Po nich aż do wybuchu II wojny światowej należało do państwa pruskiego.

Poszukując początku Lubszy w Lubsku, należy udać się do parku. Obszar ten to miejsce wyjątkowe z kilku względów. Od XIX wieku zaczęto prowadzić prace, mające na celu dostosowanie wspomnianego terenu do celów rekreacyjnych. Architektura parkowa powstała po 1918 roku. Ponadto funkcjonował tam system urządzeń melioracyjnych, który chronił go przed zabagnieniem.

Bezsprzecznie największym skarbem opisywanego obszaru są niezwykle rzadkie śnieżyce wiosenne. Występują one w Polsce sporadycznie, dlatego też, ze względu na istotne walory przyrodnicze, tereny na wschód od Lubska stanowią obszar chroniony „Lubski Łęg Śnieżycowy”, który należy do sieci Natura 2000. Śnieżyce wiosenne kwitną bardzo wczesną wiosną – od lutego do kwietnia.

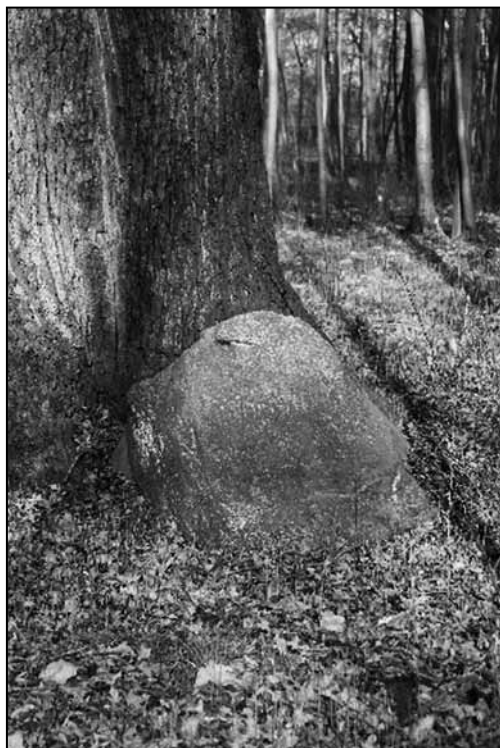


Śnieżyce wiosenne w lubskim parku

Unikatowy teren leśny kryje jeszcze inne ciekawostki. Przy znacznej wielkości dębie, niestety uszkodzonym podczas występujących w ostatnich latach wichur, zauważyć można duży kamień z napisem „Hindenburg Eiche 1866”. Paul von Hindenburg (były prezydent Republiki Weimarskiej i III Rzeszy) w 1866 roku mieszkał w Lubsku, czyli ówczesnym Sommerfeld przy obecnej ulicy Chrobrego (dawniej Morgenstrasse). Głaz, na którym do dnia dzisiejsze-

go widoczna jest inskrypcja, stanowi pamiątkę jego obecności, wskazując, że posadzone obok drzewo nosi imię uhonorowanego.

Będąc w parku, warto odwiedzić położone nieopodal kąpielisko – Zalew Nowiniec (zbiornik retencyjny Białków-Stara), który powstał w latach 2003-2004. Obok tego, który jest widoczny i stanowi raj dla wędkarzy oraz turystów, istnieje jeszcze zbiornik suchy. Mają one chronić miasto przed podtopieniami spowodowanymi wezbraniami na rzekach Lubsza i Ług. Przy zalewie powstała rozbudowana infrastruktura rekreacyjna i plaża. Tuż przy zbiorniku istnieje tak zwany Kanał Młyński. Jest to budowla hydrologiczna, która liczy sobie ponad sto lat.



Głaz z inskrypcją upamiętniającą pobyt w Lubsku Paula von Hindenburg

Po opuszczeniu parku, w samym mieście podziwiać można wiele zabytków. Na centralnym miejscu znajduje się oczywiście siedziba władz miejskich. Nie jest to pierwszy tego typu obiekt w Lubsku,

ponieważ wiadomo, że wspomniany źródłowo w 1456 roku ratusz uległ zniszczeniu w czasie wielkiego pożaru w 1496 roku. Obecny został wzniesiony w latach 1580-1582, a swój renesansowy styl ma zawdzięczać pochodzącemu z regionu, który jest kolebką odrodzenia, włoskiemu architektowi wymienianemu jako Antonio Alberti. Co godne odnotowania, zachowały się drzwi do sali posiedzeń, wykonane z drewna i kutego żelaza, zawierające herb miasta z inskrypcją datacyjną 1582.

Tuż obok siedziby władz miejskich znajduje się kościół pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny. Ten monumentalny obiekt wzniesiono około połowy XIII wieku. Na przestrzeni stuleci uległ liczным przekształceniom. Zmian dokonano już w XIV wieku, a następnie po ogromnym pożarze w 1496 roku. Wskutek przebudowy, z pierwotnej budowli zachowała się jedynie dolna część wieży z uskokowym portalem oraz fragment ściany nawy południowej. Przetrwały natomiast renesansowe elementy wyposażenia kościoła, takie jak ołtarz główny, chrzcielnica czy ambona – wszystkie z XVI wieku. Jako ciekawostkę należy podać, że posadzka w obiekcie jest niższa o 1,5 metra od nawierzchni Starego Miasta, ponieważ ta zakryła powstające już od średniowiecza poziomy użytkowe.

Kolejnym godnym uwagi zabytkiem w Lubsku jest zamek. Jego dzieje sięgają średniowiecza, a sam wygląd został poddany liczным przeobrażeniom na przestrzeni wieków.

Pierwsza wzmianka o budowlu pojawia się stosunkowo późno, ponieważ w 1588 roku, w czasie, gdy jej właścicielami stała się rodzina Kottwitz. Dużych zmian dokonał około 1740 roku Friedrich Siegmund von Bredow, wprowadzając elementy barokowe. Kolejne przebudowy nastąpiły w XIX i XX wieku. Po wojnie zamek pełnił funkcję szpitala dla wojsk radzieckich, następnie znajdował się tam dom dziecka, a obecnie w budynku funkcjonuje Dom Pomocy Społecznej. Warto zwrócić uwagę na założenie parkowe oraz pochodzący z okresu renesansu budynek bramny.

Miasto posiadało także rozbudowane fortyfikacje. Powstawały one etapami, a ich początek dały konstrukcje drewniano-ziemne. Zachowana do dziś

Baszta Pachółków – wieża Bramy Żarskiej stanowiła istotną część systemu budowli obronnych. Tworzyły go mury, bramy Żarska i Gubińska oraz 16 baszt. Bramę Żarską w XV wieku wzbogacono o basztę. W XVII stuleciu, po wojnie trzydziestoletniej, obwarowania stały się bezużyteczne i popadły w ruinę. Stopniowo następowała ich rozbiórka, przy okazji czego zasypano fosę, a ostatecznie w 1842 roku zlikwidowano bramy. Pozostała jedynie wspomniana baszta Bramy Żarskiej, która sąsiaduje z budynkiem wzniesionym w okresie dwudziestolecia międzywojennego.



Ratusz w Lubsku



Kościół pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Lubsku



Zamek w Lubsku



Baszta Bramy Żarskiej w Lubsku

Kolejną miejscowością, przez którą Lubusza bezpośrednio nie przepływa, ale znajduje się ona niedaleko jej koryta, jest Biecz. Miejscowość posiada długi rodowód, ponieważ już w 1000 roku wymieniana była w dokumencie Ottona III. Biecz przez wieki związany był z rodziną von Wiedebach, która miała największy wpływ na kształt zachowanego do dziś pałacu. Wszystko zaczęło się od budowli, która nie przetrwała – średniowiecznego zamku. Następnie powstał renesansowy dwór. Zyskał on formę pa-



Rzeka Lubusza w Lubsku

łacu później – dzięki przebudowom wykonanym na przełomie XVIII i XIX wieku. Nieopodal pałacu odnaleźć można barokową oficynę z XVIII wieku (druga została rozebrana w latach 70. XX wieku) oraz bardzo ciekawy budynek bramny, także z XVIII wieku – przebudowany w 1802 roku. Ponadto cały kompleks wzbogaca rozległy park krajobrazowy.

Blisko opisanego powyżej założenia znajduje się kościół pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej z I poł. XVIII wieku. Budowlę zaprojektował Georg Bähr. Ten saksoński architekt stworzył między innymi niesamowity kościół Maryi Panny w Dreźnie – Frauenkirche. Wewnątrz znajduje się płyta, na której upamiętniony jest przedstawiony w stroju rycerza Zakonu Joannitów – Paul Friedrich von Wiedebach und Nostritz-Jaenckendorff (1848-1923).

Podążając wzdłuż Lubuszy, napotkamy na swojej drodze także Starosiedle. Jest to miejscowość posiadająca średniowieczny rodowód i od tamtego okresu istniał także we wsi kościół. W jego miejscu, kilka stuleci później, powstał nowy. Obecna budowla sakralna, dziś pod wezwaniem świętego Jana od Krzy-

za, pochodzi z XVIII wieku. Z dawnej świątyni zachowano późnogotycką wieżę, która wyraźnie wyróżnia się na tle dużo młodszej bryły.



Kościół w Bieczu



Budynek bramny w Bieczu

Po południowo-wschodniej stronie miejscowości, nieopodal dwóch rzek: Lubszy oraz Młynówki, znajduje się obszar, na którym ludność kultury łużyckiej w okresie halsztackim zbudowała niedużą osadę. Teren ten został po raz drugi zasiedlony, możliwe, że około połowy IX wieku. Należy podkreślić, że przepływająca na obrzeżach wsi Lubsza jest wyjątkowo urokliwa. Do jej koryta można dotrzeć, przemierzając niemal całe Starosiedle, dzięki czemu istnieje sposobność, aby przyrzeć się interesującej zabudowie.

Następną miejscowością, na którą bezsprzecznie należy zwrócić uwagę, są Gębice. Tam też mieszają się wszelkie oblicza historii – trudne i piękne, niestety w dużej mierze skomplikowane. We wsi znajduje się wspaniały kościół z XV wieku, który w 1770 roku został przekształcony i zyskał cechy barokowe.



Kościół w Starosiedlu



Lubsza w Starosiedlu

Nieużytkowanie go po 1945 roku przyczyniło się do znacznego pogorszenia stanu budowli, na szczęście w 2016 roku świątynia przeszła zabezpieczający ją remont. Była ona miejscem ostatniego spoczynku przedstawicieli książęcego rodu, czyli członków rodziny von Schönaich, bardzo silnie związanej z Gębicami, a majątek pozostawał w ich posiadaniu aż do 1945 roku. Przekształcili oni rezydencję z XVI wieku, tworząc z niej wspaniały pałac, który wzbogacono o rozległy park. Niestety, obiekt nie przetrwał. W rozległym parku dostrzec można pozostałości dawnej siedziby, gdzieś tam inskrypcje oraz wiele niesamowitych drzew, które są pomnikami przyrody.

Tragicznym okresem w dziejach Gębic była II wojna światowa. W 1939 roku majątek na pół roku stał się siedzibą obozu jenieckiego Stalag III B Furstenberg – Filia Amtitz. Po przeniesieniu obóz zlokalizowano na polach znajdujących się na zachód od miejscowości. Przetrzymywano tam wielu więź-

niów, wśród nich był ojciec Maksymilian Kolbe, który w 1982 roku został kanonizowany przez papieża Jana Pawła II. Przy drodze wojewódzkiej numer 286 znajduje się pomnik ofiar obozu w Gębicach.



Jedna z inskrypcji zachowanych w Gębicach – ANNO DOMINI MDCCCLXXXIX (1889)

Kościół w Gębicach

Bibliografia

Corpus inscriptionum Poloniae, t. X: *Inskrypcje województwa lubuskiego*, pod red. J. Zdrenki, z. 12: *Powiat żarski (do 1815 roku)*, zebrali i opracowali A. Górski, P. Karp, Toruń 2019.

Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg, Vol. 6: Teil 6, *Kreis Crossen*, hrsg. von E. Blunck, Berlin 1921.

Garbacz K., *Przewodnik po zabytkach województwa lubuskiego*, t. 2, Zielona Góra 2012.

Kowalski S., *Zabytki architektury województwa lubuskiego*, Zielona Góra 2010.

Polak A., Belzyt L.C., *Łużyce nad Lubszą i Nysą. Historia, zabytki, natura*, Ridero 2019.

Polak A., *Wyprawy z dodatkiem tajemnic*, Ridero 2019.

Prezentacje

Przegląd twórczości uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze

W konwencji bieżącego numeru „Pro Libris” wspierającego młodych, często debiutujących artystów udanie wpisuje się twórczość uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze. Okazją do zapoznania się z efektami ich działań był przegląd twórczości uczniów zielonogórskiego Plastyka. 4 kwietnia 2023 roku – już tradycyjnie – w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze otwarto wystawę wybranych prac dyplomowych uczniów szkoły artystycznej pt. *DYPLOMY 2023. Wystawa prac dyplomowych uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze*. Osobami sprawczymi, dzięki którym powstała wystawa, byli: kuratorzy Tomasz Kasa (architekt wnętrz) i Agata Augustyniak (artystka, malarka) oraz Dorota Komar-Zmyślony (artystka, nauczycielka rysunku i malarstwa) i Maria Wawrzyniak (projektowanie graficzne). Na wernisażu zaprezentowano grafiki, plakaty, zdjęcia oraz filmy i animacje wykonane przez dyplomantów kończących edukację w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze. Prace uzdolnionej młodzieży można było oglądać do 7 maja 2023 roku.

By zatrzymać w kadrze pamięci juvenilne dzieła sztuki, postanowiliśmy w – z konieczności – ograniczonej ilości zaprezentować je czytelnikom „Pro Libris”. Na kartach pisma zamieszczamy różnorodne tematycznie i formalnie prace kilkorga autorów. Młodzi artyści posiadają wielotorowe uzdolnienia i pasje. Tak piszą o sobie:

Aleksandra Białogłowy: Mam 17 lat i mieszkam w Zielonej Górze, pasjonuje mnie malarstwo. Interesuję się rozwojem duchowym, książkami, sportem, gram. W wolnym czasie słucham muzyki rockowej.

Alicja Dżumyło: Jestem uczennicą zielonogórskiego Plastyka. Pasjonuję się sztuką. Od najmłodszych lat wykazywałam duże zainteresowanie nią. Będąc w szkole artystycznej, rozwijam umiejętności oraz pasje. Fascynuje mnie zarówno architektura, jak i rzeźba. Poznawanie nowych technik rzeźby i tworzenie prac sprawia mi ogromną radość i daje satysfakcję.

Maja Hawrylczak: Uczę się w Liceum Plastycznym w Zielonej Górze. Tworzę tak naprawdę, od kiedy pamiętam. Staram się inspirować wszystkim dookoła i jednocześnie tworzyć coś swojego. Planuję pokazać coś więcej swoją twórczością, ale wiem, że to wymaga czasu, który poświęcę oczywiście na rozwój.

Julia Kowalska: Niedawno skończyłam 18 lat, od urodzenia mieszkam w Zielonej Górze. Za najbliższy mi okres w sztuce uważam impresjonizm i ekspresjonizm. Malując i fotografując, próbuję oddać emocje, skupiając się przede wszystkim na świetle i barwie. Marzę, by w przyszłości, dzięki warsztatowi, móc z łatwością odtwarzać mój nastrój na płótnie.

Adrian Lewkowicz: Mam 17 lat i pochodzę z malowniczego miasta Wolsztyn. Od najmłodszych lat uwielbiam malować, rysować. Od szkoły podstawowej stawiałem drobne kroki w kierunku artystycznym, uczestnicząc w różnych konkursach plastycznych, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Jednak rysunek i malarstwo w każdej postaci to niejedyne moje zamiłowania. Od małego dziecka interesuję się uprawą ciekawych i rzadkich roślin. Obecnie jestem uczniem drugiej klasy w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze.

Hanna Łotocka: Niedługo kończę 18 lat. Mieszkam w Świdnicy koło Zielonej Góry. Pasjonuję się sztuką i muzyką. Są to najbliższe mi rzeczy. Gram na pianinie od 10 lat. Marzę, aby móc dalej rozwijać się artystycznie.

Julia Piotrowiak: Jestem uczennicą czwartej klasy PLSP w Zielonej Górze. Malarstwo jest dla mnie przede wszystkim relaksacją, metodą wyrażenia tego, w jaki sposób widzę świat, co przeważnie trudno przychodzi mi słowami. Interesuję się także miniaturową architekturą oraz lalkarstwem, lubię zajmować się nimi w wolnym od szkoły czasie.

Wiktoria Małgorzata Słomka: Mam 17 lat. Jestem uczennicą klasy trzeciej Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze o specjalizacji projektowanie graficzne. Mieszkam w Zielonej Górze, natomiast pochodzę z Wielkopolski. Przyjechałam tutaj, aby rozwijać swoje pasje oraz udoskonalić swoje umiejętności. Gdy słucham dobrej muzyki, doskonale się relaksuję i lubię wtedy tworzyć. Czasami również śpiewam. Inspirują mnie dzieła impresjonistów, w szczególności twórczość Augusta Renoira, a także zyciorys i dzieła Vincenta van Gogha. Marzę o tym, by zdobyć wykształcenie w moim ulubionym kierunku, a następnie znaleźć satysfakcjonującą mnie pracę.

Pamela Woźniak: Mam 17 lat i mieszkam w Zielonej Górze. Chodzę tutaj do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. Uwielbiam prace manualne, odnajduję się w wielu dziedzinach artystycznych, jednak skupiam się przede wszystkim na rysunku i malarstwie. Tworzyłam od zawsze, odkąd pamiętam, wiedziałam, w którym kierunku idę. Nie zastanawiałam się też nigdy nad wyborem szkoły. Teraz marzę o studiach na ASP. Chciałabym się dalej uczyć i rozwijać oraz osiągać coraz więcej sukcesów.

Małgorzata Żmuda: Mam 16 lat i jestem w drugiej klasie Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze. Jestem pasjonatką wszechobecnej sztuki, a także muzyki. Poszerzam moje artystyczne horyzonty z każdym dziełem, bo jestem zwolenniczką tego, że człowiek cały czas się uczy. Moje prace odznaczają się szeroką pałą kolorów, gdyż uwielbiam bawić się nimi podczas malowania – a takie wychodzą mi najlepiej. Nie tylko w malarstwie, ale także w grafice komputerowej – moje prace zostały wysłane na konkursy i wzięły udział w wystawach. Rysowanie jest dla mnie odpoczynkiem, a oglądanie sztuki – nauką. Sztuka jest moją ucieczką od realiów oraz źródłem rozrywki, gdy nuda przytłacza. Drugim moim wielkim zainteresowaniem jest śpiew, który szlifuję od przedszkola. Mam na koncie liczne osiągnięcia solowe: finalista wojewódzkich Lubuskich Konfrontacji Artystycznych w Zielonej Górze, finalista wojewódzkiego Festiwalu Piosenki Pro Arte. Należę do chóru „Gaudeamus”, z którym dwukrotnie zdobyłam tytuł laureata powiatowego przeglądu chórów dziecięcych i młodzieżowych. Oprócz tego występuję wolontariacko na licznych imprezach. Zaśpiewałam m.in. podczas spotkania zorganizowanego przez Polskie Stowarzyszenie Diabetyków w Zielonej Górze. Moim celem jest stałe doskonalenie warsztatu. Muzyczny i artystyczny świat niewiele dzieli, więc poszukuję balansu pomiędzy nimi – aby rozwijać się, udzielać i czerpać radość z każdego z nich.



Julia Piotrowiak



Adrian Lewkowicz



Wiktoria Stomka



Pamela Woźniak



Małgorzata Żmuda



Aleksandra Białogłowy



Julia Kowalska



Maja Hawrylczak



Alicja Dżumyła



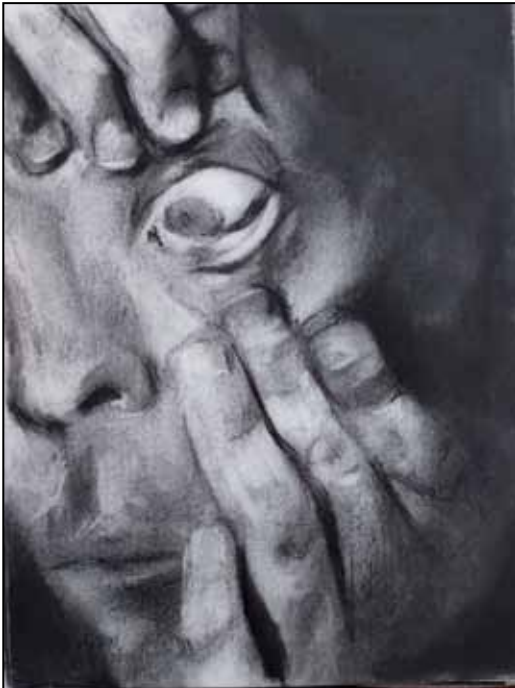
Hanna Łotocka



Pamela Woźniak



Julia Piotrowiak



Hanna Łotocka



Alicja Dżumyło



Adrian Lewkowicz



Aleksandra Białogłowy



Maja Hawrylczak



Małgorzata Żmuda



Julia Kowalska



Wiktoria Słomka

RECENZJE I OMÓWIENIA

My, dzieci bloków

Jolanta Fainstein, *mama ma szorstkie ręce*, Pro Libris, Zielona Góra 2023, 48 s.

Nie ma chyba w Polsce miasta bez blokowiska. Kiedyś odbyłam na ten temat długą dyskusję z przyjaciółmi i doszliśmy do wniosku, że to jest najbardziej efektywny sposób na umieszczenie wielu ludzkich mikroświatów na jak najmniejszej przestrzeni. Tak jest do dziś. Niegdyś wieżowce były budowane dalej od siebie, ale ludziom było do siebie bliżej. Dzisiaj bloki stawiane są obok siebie na wymaganą prawem budowlanym odległość, ale ich mieszkańcy żyją paradoksalnie daleko od siebie. Ale czy na pewno? Takie refleksje nachodzą człowieka po lekturze dramatu Jolanty Fainstein *mama ma szorstkie ręce*, wydanego nakładem Pro Libris – Wydawnictwa Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

mama ma szorstkie ręce to opowieść, której akcja dzieje się najprawdopodobniej właśnie w bloku. Podczas lektury miałam skojarzenie z hip-hopowym klimatem. Słucham dużo tej muzyki i zauważyłam, że pewne motywy zawarte w tym utworze można odnaleźć w tekstach raperów. Na tekturowej oprawie w kolorze wyblakłego różu i zieleni widzimy napisany ołówkiem tytuł oraz nazwisko autorki. Wzór w tle przypomina tapetę, jaką można było zobaczyć kiedyś na ścianach w każdym mieszkaniu. Napis jest jakby stworzony ręką dziecka, które starannie napisało każdą literę. Od razu nasuwa to skojarzenie z tagami na murach – podpisami, jakie zоста-

wiają graffitiarze. Z tym, że ten napis umieszczony jest wewnątrz pomieszczenia, a nie na zewnętrznej ścianie. Taki swoisty „tag” ma coś przypominać, uświadamiać, zwracać na coś uwagę: mówi o pewnym fakcie. Zaznacza też obecność osoby piszącej



na danym terenie. Dodatkowo mówi też o pewnej swojskości – jak rapuje Oliver Olson (w utworze *Dom ft. Dedis*): „Bo najlepiej to się czuję, gdy podjeżdżam tu na blok/ Wychowany w tej kulturze: tagi, mury to mój schron”.

Fainstein w swoim tekście przedstawia ojca jako osobę nieobecną lub niedostępną, wiecznie zmęczoną, której często brak przyjaznych uczuć w stosunku do dzieci: „SYNEK: dlaczego mama jest ciepła a tata zimny?”. To także znajdziemy we wspomnianym utworze Olsona: „Dobra, brak mi taty, dla kumatych bala/ Dobra, trzymaj łapy od mych braci z dala/ Co dnia muszę swoje sprawy poukładać/ Palę definicję słowa równowaga”. Opisane rozchwianie emocjonalne postaci widzimy też w dramacie: dzieci bardzo reagują na emocje dorosłych, zauważając: „DZIECI: jesteście takie nie do kochania”. Wydaje się, że wystarczyłoby kilka prostych rzeczy: zauważenie, przytulenie.

Cały dramat przypomina mi film w reżyserii Anny i Wilhelma Sasnalów *Z daleka widok jest piękny*. To opowieść o tym, że idealny obraz wsi zmienia się, kiedy przyjrzymy się mu z bliska. Samo słowo „mama” kojarzy nam się w większości przypadków pozytywnie: z opieką, ciepłem, bezpieczeństwem. Jednak okazuje się, że ręce tej mamy są szorstkie, spracowane, wcale nie takie przyjemne w dotyku. Dotyk, który powinien być („z definicji”) delikatny, wcale nie musi sprawiać tyle przyjemności, ile mogłoby się wydawać, że powinien. Ten dom nie zawsze jest ostoją, o czym opowiada TAPETA: „[...] czas wieczorem wydłużał się/ mama smutniała/ kłótnie odbywały się w nocy nad ranem kiedy ojciec wracał/ kłótnie ciche piekące jak bąble po oparzeniu”.

W dramacie Fainstein didaskalia są szczątkowe. Tak jakby autorka nie chciała niczego sugerować. Na wstępie mamy wymienione postaci, ale brak jest jakiegokolwiek ich scharakteryzowania. Wszystko mamy sobie dopowiedzieć i „dowyobrazić” sami. Nie ma nawet tak naprawdę określenia miejsca akcji, jednak skoro jednymi z postaci są Boazeria i Tapeta (niemi świadkowie wydarzeń, przesiąkający emocjami bohaterów) – można przypuszczać, że rzecz dzieje się właśnie w bloku. Szczególnie, że później są mniej więcej opisane takie pomieszczenia jak „ja-

sna kuchnia”. Ale tak naprawdę, jak czytamy u Fainstein, „pomieszczenia zamieniały się w zależności/ od sytuacji”. Ludzie mieli do dyspozycji małą przestrzeń, która musiała wystarczyć i być w miarę możliwości mobilna.

Dodatkowo w dramacie jedną z postaci jest też Chór – komentujący wydarzenia jak w greckiej tragedii, powtarzający najważniejsze wnioski, np. „mama gotuje/ gościom smakuje”. Cały utwór można potraktować jak metaforę niezrozumienia, daremnych często starań ludzi wobec siebie. Mimo tego, że jest to dramat, to dialogi napisane są niemal w formie białych wierszy. Jest w nich dużo przestrzeni do interpretacji: brak znaków przestankowych, które sugerowałyby nawet podział na zdania. Można odnieść wrażenie, że jest w nich dużo „powietrza”, symboliki. Daje to duże pole do popisu twórcom, którzy zdecydowaliby się przenieść ten utwór na scenę.

Jako motto dramatu widnieje cytat z *Kordiana* Juliusza Słowackiego o człowieku-anielu. Jednym z bohaterów utworu Fainstein również jest Anioł. Jednak w jego wypowiedziach czuć opiekuńczość połączoną z pewną szaleńczą desperacją: „ANIOŁ: sprzątam dom niezauważenie/ w moim sercu błąka się cierpienie” czy „zdejmij dres załóż szpilki/ po-farbuje włosy na kolor debilki/ jesteście tego warta”. To samo odnajdujemy w tekście rapera Miuosha (w utworze *Byliśmy z płyty Ulice bogów*): „Matka mówiła mi »każdy ma anioła na straży«/ mojego jest mi żal/ dawno się otrułem”. Sami możemy sobie odpowiedzieć na pytanie, na ile ten anioł z dramatu jest postacią realną (może nawet człowiekiem?), a w jakim stopniu przemęczoną częścią psychiki naszej lub rodziców.

mama ma szorstkie ręce Jolanty Fainstein to współczesny dramat o dzieciach z bloków, których wychowują ludzie właściwie niemający o tym pojęcia. Nie ma na to rady ani metody: ze wszystkimi sytuacjami trzeba radzić sobie na bieżąco, a w tym wszystkim są jeszcze emocje, które wpływają na codzienne funkcjonowanie członków rodziny. Wypowiedzi Chóru często mają formę dziecięcych wyliczanek czy krótkich bajek. Na koniec całość Chór komentuje dosadnie: „była sobie raz rodzina/ miała chatkę z masła/ a w tej chatce same dziwy/ pst

iskierka zgasła”. Historia opowiedziana w dramacie wcale nie wydaje się archaiczna ani odległa. Wręcz odwrotnie – można odnieść wrażenie, że niezależnie od czasów nic się nie zmieniło. Trudności w porozumieniu między pokoleniami oraz nagromadzenie trudnych emocji między członkami rodziny jest

cały czas takie samo. W tym samym duchu kończy swój utwór „PLEU” (pochodzący z EP-ki *Wolna Europa*) raper Indeb: „Nasi rodzice żyli w PRL-u, my dzisiaj żyjemy w PL-EU/ Inny ustrój, ten sam kraj, więcej perspektyw, wcale nie mniej problemów”.

Joanna Marcinkowska

Przypomnij zapomniane

Judith Schalan sky, *Spis paru strat*, przeł. K. Idzikowski, Ha!art., Kraków 2022, 253 s.

Nad istotą życia filozofowie zastanawiają się od wieków, bezskutecznie próbując odpowiedzieć na pytanie o jego sens, początek lub koniec. Życie trwa, dzieje się i mieni milionami barw – ale też kończy się niespodziewanie, urywa się i znika. Nie dotyczy to tylko życia człowieka, nieuchronnie kończy się istnienie każdej istoty, która kiedykolwiek miała swój początek. Fale codzienności mijają ją, opływając i może nawet pozostawiając po sobie ślad; ale istota, która zniknęła, nigdy nie będzie już sobą, będzie tym, co uczynił z niej wpływ czegoś innego.

Atrofia jest czymś, czego nie jest się w stanie pominąć, zignorować ani zapomnieć, czymś, na co nie ma żadnego wpływu. A jednak rzeczy znikając, często po prostu zmieniają rodzaj swojego istnienia, pokazując się z nowej perspektywy. Zmienione przez to, jak były postrzegane wcześniej, mimo że zapomniane, to nadal cenione i opisywane. I mimo że brzmi to jak oksymoron – to właśnie to zjawisko jest tematem książki *Spis paru strat* Judith Schalan sky, niemieckiej pisarki, projektantki książek i redaktorki. *Spis paru strat* po raz pierwszy opublikowany został w Niemczech w 2018 roku, a w Polsce ukazał się na końcu 2022 nakładem wydawnictwa Korporacja Ha!art w tłumaczeniu Kamila Idzikowskiego.

Jest to książka niezwykła. Schalan sky za jej temat obiera obiekty, ludzi bądź zwierzęta, które zniknęły, zostały zapomniane lub wymarły. Poetyckim językiem stara się zrekonstruować ich dzieje, próbuje wcielić się w ich pozycje i przypomnieć czytelnikowi o ich już niebyciu. Książka podzielona jest na rozdziały, z których każdy został opatrzone odpowied-

nią ilustracją i traktuje o zniknięciu konkretnej jednostki. Całość jest niezwykle spójna estetycznie, ilustracje są ciemne i wydrukowane na czarnych stronach, a treść została zamknięta w czarnej obwoluście zdobionej srebrnymi plamami.



Schalansky pisząc o rzeczach utraconych, nadaje im nowe życie, ale życie to stworzone jest z jej perspektywy. Gdy mówi o zaginionej taśmie filmowej, opowiada fragment z życia aktorki, której czas sławy przeminał; gdy pisze o wyginięciu tygrysa kaspijskiego, stara się zrekonstruować moment walki zwierząt w czasach starożytności; gdy przypomina zaginiony szkielet prawdopodobnie nigdy nieistniejącego zwierzęcia, przybliża czytelnikom historii swojej nieudanej próby klasyfikowania potworów. Pozornie historie nie mają nic wspólnego z ich faktycznym tematem – ale Schalansky ubiera je w tak doskonałe słowa, dobiera metafory tak misternie, że dzięki swoim zabiegom nadaje zaginionym przedmiotom nowe życie i przywraca im istnienie w innym wymiarze.

Książka została również opatrzona wstępem autorki, w którym mówi ona o genezie powstawania publikowanych tekstów. I już samo to wprowadzenie sprawia, że niemożliwym wydaje się zamknięcie tomu. Schalansky zastanawia się w nim, jak funkcjonuje istnienie i znikanie, co sprawia, że niektóre rzeczy, budowle lub ludzie trwają dłużej niż inne; mówi o książkach jako o najdoskonalszym nośniku informacji stworzonym przez ludzi. Zwraca uwagę na odwieczny niedosyt ludzki, który determinuje życie jako całość, mówi o pragnieniach, które mimo że nie mają prawa się ziścić i tak prędzej czy później stają się prawdą, wypierając to, co wcześniej uznawane było za niepodważalny aksjomat. Przypomina o tym, że życie nie ma racji bytu bez strat, bo to właśnie stra-

ty je kształtują i pokazują jego pełen obraz. Podsumowując, Schalansky kończy wstęp tymi słowami: „Ta książka, podobnie jak wszystkie inne, powstała z pragnienia, żeby umożliwić przetrwanie, przywołać przeszłość do teraźniejszości, przypomnieć rzeczy zapomniane, dopuścić do głosu to, co zamilkło, i opłakać straty. Pisanie nie przywraca niczego do życia, jednak pozwala wszystkiego doświadczyć. Niniejszy tom traktuje więc w równej mierze o poszukiwaniu, co o znajdowaniu, opowiada tyleż o traceniu, co o zdobywaniu, dając niejasne poczucie, że różnica między obecnością a nieobecnością może mieć marginalne znaczenie, dopóki istnieje pamięć”.

Niełatwo trafić na książkę, która potrafi sprowokować tyle myśli i ze sprzeczności stworzyć wspólną i spójną całość. Ponadto, jest napisana wyrafinowanym, poetyckim językiem, a jej treść osiąga dokładnie to, co było jej przeznaczeniem, a nawet jeszcze więcej – daje życie zapomnianemu, ale życie to jest nowe, rozwinięte, wzbogacone. *Spis paru strat* jest przykładem książki, która mimo że traktująca o trudnych tematach, w pewien sposób podnosi na duchu i mówi czytelnikowi, że nawet jeśli coś zniknie, może pojawić się na nowo, w innej odsłonie, dzięki czemuś innemu. Wspaniała symbioza życia i śmierci, utraconego z odzyskaniem i zapomnianego z przypomnianiem wylewa się ze stron Schalansky i gruntuje nowe perspektywy i postrzeganie rzeczywistości.

Weronika Nawrocka

Szkoła od wewnątrz, czyli słów kilka o *Dzwonku na przerwę* Darii Walusiak

Daria Walusiak, *Dzwonek na przerwę*, [bez wydawcy], Zielona Góra 2022, 66 s.

Daria Walusiak jest uczennicą pierwszej klasy I Liceum Ogólnokształcącego im. E. Dembowskiego w Zielonej Górze, ma dopiero 15 lat, a już jest autorką wydanego w 2023 roku zbioru opowiadań *Dzwonek na przerwę*. Za otrzymane rok wcześniej stypendium twórcze, przyznane przez Urząd Miasta Zielona Góra, Daria postanowiła wydać debiutancką książkę.

Wcześniej była laureatką kilku konkursów literackich dla młodzieży, a ostatnio humorystyczną opowieścią *Po prostu idealnie* wygrała również konkurs zorganizowany w jej szkole. Zachwyciła jurorów dojrzałością językową i warsztatową nadesłanego tekstu, rozbudowaną warstwą dialogową i psychologiczną bohaterów. Podjęła tematykę niebanalną, opisując

szkolną rzeczywistość i stres spowodowany nauką, czyli istotną na tym etapie życia młodego człowieka. W utworze przedstawiała zabawne scenki, a zarazem podjęła ważny problem wyboru moralnego, dotyczącego więzi sympatii i rodzącej się przyjaźni między szkolnymi koleżankami.

W zbiorze *Dzwonek na przerwę* autorka przedstawiła siedem opowiadań, głównie autobiograficznych, detalicznie opisując swój świat przeżyć i dookolnych obserwacji, dokonując niekiedy groteskowej wręcz analizy jej najbliższej rzeczywistości: domu, szkoły, spotkań z rówieśnikami, pierwszych zachwytów, osobistych doznań, drobnych sukcesów i porażek. Aby jednak dojść do takiego poziomu pisarskiego, autorka wiele czasu poświęcała na spotkania warsztatowe prowadzone przez dr Mirosławę Szott, współinicjatorkę pomysłu wydania tekstów Darii w formie publikacji książkowej, do której napisała postłowie zatytułowane *Od kuchni*. Zauważyła w nim, że „Daria pokazuje środowisko uczniowskie od wewnątrz. To chyba klucz do jej przekazu – rekonstruować rzeczywistość, ale z bardzo konkretnego punktu, który reprezentuje. Robi to z poczuciem humoru i rozbawiającym napięciem. Stawia czasem swoich bohaterów w skomplikowanych dla nich sytuacjach. [...] Daria podejmuje swego rodzaju grę z czytelnikiem, wiedząc, że jest on skłonny do poszukiwania »autentyzmu«. Zwłaszcza, że opowiadania dotyczą współczesnej szkoły i realnych problemów. [...] Tytułowy dzwonek, który pojawia się w dwóch opowiadaniach, jest z jednej strony wyczekiwany sygnałem po wielu pandemicznych miesiącach (*Gra w nieskończoność*), a z drugiej – czymś organizującym szkolne życie i mogącym wpływać na bieg zdarzeń (*Dzwonek na przerwę*). Jest w jakimś sensie momentem nieważkości, symboliczną chwilą”. Warto także wspomnieć, że książkę plastycznie ozdobiły intrygujące symbolicznym i tajemnym przekazem, kolorowe rysunki Aleksandry Tofil, która jest także współautorką projektu okładki.

W połowie kwietnia br. w szkolnej świetlicy I LO odbyło się spotkanie autorskie Darii Walusiak, w trakcie którego promowała swoją książkę. Promocję moderowała dr Mirosława Szott, która po spotkaniu poprowadziła warsztaty kreatywnego pisania dla młodzieży parającej się twórczością literacką.

Drugie tego typu warsztaty odbyły się ponownie w maju w bibliotece szkoły.

Daria Walusiak, jak przystało na prawdziwą humanistkę i idealistkę, postanowiła cały dochód uzyskany ze sprzedaży swojej debiutanckiej książki przeznaczyć na szczytny cel, czyli na leczenie i rehabilitację Kuby – syna nauczycielki w I Liceum.

Należy również podkreślić, że Daria Walusiak to osoba niezwykle uzdolniona artystycznie i twórczo kreatywna, o bogatym wnętrzu i wrażliwej osobowości, świetna obserwatorka i analityczka życia, która stale się rozwija, udoskonala swoje umiejętności i w inteligentny sposób szuka swojego miejsca na ziemi, własnego wyrazu, osobistej koncepcji oglądu rzeczywistości i oryginalnej wizji świata.

Autorka *Dzwonka na przerwę*, poza pisaniem i nauką, zajmuje się jeszcze grą na gitarze i pianinie, a w wolnych chwilach bardzo lubi śpiewać, wyrabiać biżuterię, malować, grać w badmintona, słuchać muzyki i... spać do południa. Brat bliźniak Darii – Mateusz chodzi również do I LO i także zajmuje się pisaniem opowiadań, a w ostatnim konkursie szkolnym otrzymał wyróżnienie. Jego proza jest jednak utrzymana w zupełnie innej konwencji literackiej i podejmuje zgoła odmienną tematykę.

Robert Rudiak



Filozof na czterech nogach

Aleksandra Kurzawa, *Przypadki pewnego konia*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNIC-A, Zielona Góra 2022, 78 s.

Przepis na szczęście jest prosty: brak kałuż (bo są niebezpieczne i mogą się w nich kryć krokodyle), dużo suchego chleba, przyjaciele u boku oraz życie bez pośpiechu. Tak przynajmniej uważa Milki, bohater książki *Przypadki pewnego konia* Aleksandry Kurzawy. Fakt, że Milki jest zwierzęciem na czterech kopytach i z długą grzywą, to tylko nieistotny szczegół. Bo koń mógłby obdzielić życiową mądrością niejednego człowieka.

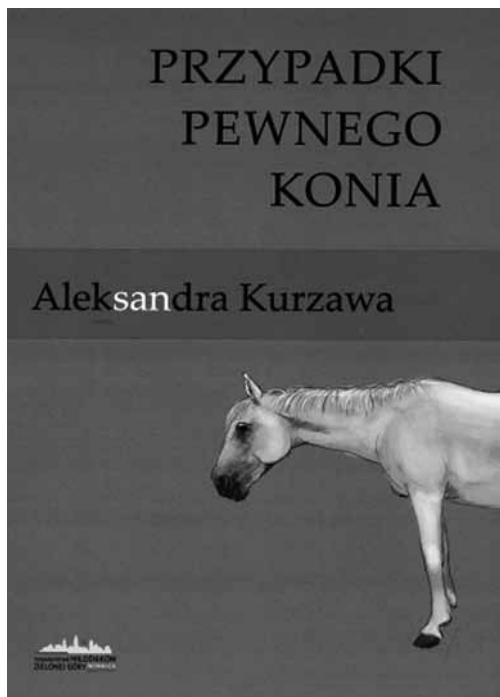
W ostatnich latach polska literatura zaczęła nie tylko oddawać głos zwierzęcym bohaterom, ale również słuchać ich potrzeb. By wspomnieć tu choćby o Patryku Pufelskim i jego pełnej empatii książce *Pawilon małych ssaków*. Intymna forma dziennika dała mu możliwość przekazania głębokich przemyśleń i bogatych doświadczeń nabytych dzięki pracy m.in. we wrocławskim zoo. Na rynku wydawniczym pojawiły się też tomiki opowiadań *O kotach* oraz *O psach*, w których rodzimi pisarze snują hi-

storie o bliskich im czworonożnych członkach rodziny. Istotach myślących, czujących, o skrajnie odmiennych charakterach.

W ten nurt literatury, którą uczone głowy pewnie mogłyby określić jako posthumanistyczną, świetnie wpisuje się także Lubuszananka Aleksandra Kurzawa. Twórczyni, preferująca określenie samej siebie jako rzemieślniczki niż pisarki, oddaje w swej najnowszej książce głos pewnemu koniowi oraz jego pobratymcom, dzielącym z nim żywot zwierzęcia pocziwego. Autorka prezentuje swych bohaterów za pomocą dykteryjek i krótkich historii, zmyślnie łącząc humor z fachową wiedzą. Z tego wielobarwnego obrazu wynurzają się pełnoprawne postaci z krwi i kości, z całą paletą określonych cech i przyzwyczajęń, które na długo zapadają w pamięć czytelnika.

„Milki jest w słusznym wieku przeszło dwudziestu lat, ma pokłady siły pięciolatka, a zachowuje się, jakby miał siedemdziesiąt. Stąpa po tym świecie z ostrożnością i rozważą filozofa i stratega, który po każdym kroku musi obliczyć wektory do kroku następnego”¹ – przedstawia swego bohatera autorka.

Ten koń nie wymaga od życia zbyt wiele. Potrafi cieszyć się tym, co tu i teraz, póki nie ingeruje się zbyt w jego przestrzeń osobistą i nie zaburza ustalonego rytmu dnia. Oddając głos i książkową przestrzeń Milkiemu, autorka niewielkiego zbioru opowiadań usuwa się na dalszy plan. Jeśli już pojawia się w opowieściach, to po to, by zaakcentować indywidualny charakter konia, wejść z nim w jakąś dysputę lub podzielić się wiedzą, nabytą m.in. przez niezwykle wnikliwą obserwację swych podopiecznych. Pozwala zwierzętom, którymi się opiekuje (w stadzie są jeszcze: dwie piękne klacze, psy oraz kot), grać pierwsze skrzypce. Kurzawa uświadamia czytelnikowi (nienachalnie i nie wprost), że bohatera zwierzęcego można traktować na równi



¹ A. Kurzawa, *Przypadki pewnego konia*, Zielona Góra 2022, s. 9.

z tym ludzkim. Co więcej, jej podopieczni mają cechy typowo człowiecze², co potęgują jeszcze włożone przez autorkę w chrapy bohaterów ironiczne i często podszyte dystansem do rzeczywistości wypowiedzi.

W książce A. Kurzawy nie ma tematów tabu. Czytelnik dostaje porcję wiedzy na temat codziennych zachowań zwierząt, hierarchii w stadzie, zdrowia psychicznego koni, w tym klinicznej depresji, ale i... końskich odchodów, które w gospodarstwie są określane złotem stajni. Bywa zabawnie, gdy Milki zapiera się wszystkimi kopytami, by nie wejść do kałuży i emocjonująco, kiedy konie, wiedzione instynktem, wyłamują ogrodzenia i uciekają, gdzie pieprz rośnie. Jednak to, co przede wszystkim wyłania się z kart opowiadań Aleksandry Kurzawy, to niezwykle ciepło, z jakim podchodzi ona do zwierząt. Drużyna ludzka i zwierzęca wypracowała sobie niepisane partnerstwo, podbudowane szacunkiem do siebie nawzajem. Nie ma tu człowieka, wykorzystującego swoją władczość. Są istoty, które uczą się od siebie nawzajem. Cierpliwości, doceniania piękna przyrody, powrotu do naturalnych instynktów.

Po książkę Aleksandry Kurzawy (czyta się ją szybko i jednym tchem) powinny sięgnąć szczególnie te osoby, które w codziennym biegu zapomniały już, jak dobrze jest się zatrzymać i pokontemplować piękno świata. Zmienność natury, urodę zwierząt, ich naturalne odruchy i instynkty, które ludziom mogą wydawać się czasem dziwne, ale z biologicznego punktu widzenia są całkowicie i w prosty sposób wytłumaczalne.

Lubuska literatura zyskała bohatera na miarę słynnego Kłapouchego z powieści A.A. Milne'a. Czasem marudnego i strachliwego, częściej przesiąk-

niętego filozofią. Milki różni się od słynnego osiołka tym, że potrafi doceniać, bez cienia melancholii, uroki niespiesznej codzienności, podporządkowanej rytmowi czterech pór roku. Bo to on, na pytanie, dlaczego nagle, podczas jazdy ze swą opiekunką, zastygł w bezruchu, wyjaśnia: „– No, tam... – Co jest tam? [...] – No, świat – odpowiada Milki z głębią. I sterczy dalej nieruchomo, zadowolony z konceptu”³.

Cieszy fakt, że Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA nie bało się wydać takiej niepozornej perełki (warto zwrócić uwagę na graficzną stronę książki, za którą również w całości odpowiada Aleksandra Kurzawa). Okrucha literatury, gdzie główną rolę gra bohater zwierzęcy. Nie przedstawiony w sposób infantylny, lecz będący naprawdę interesującą, zagadkową postacią. Cieszy również fakt, że autorka zgłosiła tę książkę do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, co sprawiło, iż dowiedzieli się o *Przypadkach*... więcej osób.

W dobie powszechnego zabiegania, ale i odezwania od natury, Milki staje się dla nas przykładem filozofa zaangażowanego. Zanurzonego po chrapy w absolucie, który już dawno znalazł odpowiedź na to, jaki jest sens życia. Niektórzy twierdzą, że zwierzęta żyją krócej od człowieka, bo szybciej uczą się, co jest prawdziwym sednem wszechświata. Milki już to wie. Warto, by osoby, mające nadal z tym problem, sięgnęły po książkę *Przypadki pewnego konia*. Ta szczególna pozycja literacka w prosty sposób porządkuje chaos myśli współczesnego człowieka. A przecież ten, z biegiem lat, staje się coraz bardziej nieprzenikniony.

Natalia Dyjas-Szatkowska

² I tu dygresja: czy w XXI wieku nie brzmi to nieco niedorzecznie? Może powinnyśmy mówić już po prostu o cechach charakteru istot żywych?

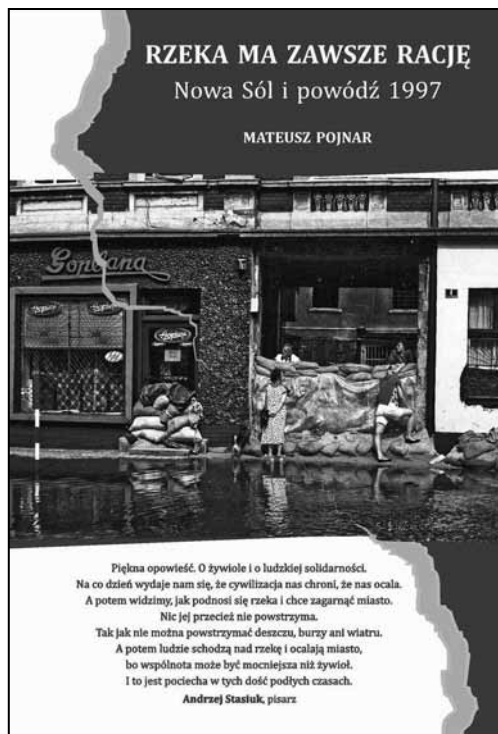
³ A. Kurzawa, dz. cyt., s. 27.

Piękna i groźna

Mateusz Pojnar, *Rzeka ma zawsze rację. Nowa Sól i powódź 1997*, PPH Rol-Pex Michał Samotyja, Nowa Sól 2022, 265 s.

Teksty publicystyczne potrafią wywołać w odbiorcy skrajne emocje, tj. radość, wzruszenie, niepokój, podekscytowanie, przygnębienie czy smutek. Jedną z takich publikacji jest reportaż, który wykształcił się w XIX wieku jako odrębny gatunek z pogranicza „dziennikarstwa i literatury artystycznej, mający na celu wiarygodną, sproblematyzowaną relację o autentycznych zdarzeniach i zjawiskach”¹. Rozwój techniki spowodował powstanie także innych form tego gatunku, m.in.: reportażu filmowego, dźwiękowego i fotoreportażu. Można wyróżnić jego odmiany ze względu na temat. Należą do nich: reportaż społeczny, obyczajowy, podróżniczy, polityczny, wojenny, sądowy, sportowy; reportaż literacki zbliża się niekiedy do form narracji fikcjonalnej – powieściowej lub nowelistycznej². Sposób prezentacji wydarzeń powinien cechować się obiektywizmem, rzetelnością i wiernością wobec przedmiotu narracji. Z drugiej strony jednak reportaż jest subiektywny, ponieważ „fakty pozostają prawdziwe, kompozycja (perspektywa, dobór wydarzeń i postaci) jest dziełem autora. W rezultacie owej powszechnej akceptacji dla literackich metod przedstawiania świata reportaż stał się gatunkiem orientacyjnym”³. Przemysław Czapliński dodaje, że współcześnie reportaż jest postrzegany zupełnie inaczej niż kiedyś:

Widzimy więc, że reportaż jest dziś sytuowany w opozycji nie do jednego, lecz dwóch innych typów pisania: „trzymanie się faktów” odróżnia go od fikcji, a respektowanie wymogów „piękna” odróżnia go od dokumentaryzmu. To podwójne odróżnienie (które przyjmuje również postać podwójnego zapożyczenia) powoduje, że reportaż



wyłania się jako trzeci konkurent w walce o rzeczywistość. Przez cały wiek XX gatunek funkcjonował w ramach stabilnej dychotomii: literatura fikcyjna – reportaż. Współcześnie dychotomia ta przekształciła się w układ trójkowy: literatura fikcyjna – reportaż – dokument. W wyniku zmiany reportaż usytuował się w centrum systemu gatunkowego. Stał się w piśmiennictwie polskim XXI wieku formą, która orientuje bieguny dokumentaryzmu i literackości, i która reprezentuje optymalną wersję łączenia autonomii i zaangażowania⁴.

Temat ten rozwijał Leon Cieślik, autor pracy pt. *Uwagi o reportażu*, w której zaznaczał, że

¹ Zob. Reportaż – Encyklopedia PWN, [online:] <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/reportaz;3967196.html>, [dostęp: 25.01.2023].

² Por. tamże.

³ P. Czapliński, *Gatunek orientacyjny. Reportaż polski na przełomie XX i XXI wieku*, „Teksty Drugie”, 2019, nr 6, s. 34.

⁴ Tamże, s. 35.

reporter posługuje się tymi samymi artystycznymi środkami wyrazu [...] co prozaik. Reportaż różni jednak od opowiadania przedmiot i punkt wyjściowy. Reportaż opiera się na konkretnych faktach, wydarzeniach, mówi o realnych, konkretnych ludziach. Punktem wyjściowym dla reportażu są fakty. Poza tym – reportaż jest oczywiście nie tylko informacją o faktach – jeśli jest to nawet informacja przekazana przy pomocy artystycznych środków wyrazu. Tak więc reportaż posiada swoisty charakter, jest formą dziennikarską, lecz duży zespół cech zbliża go do literatury⁵.

Rozważania te puentuje Krzysztof Kąkolewski, uznawszy, że „od literatury pięknej oddziela reportaż wymóg autentyzmu, od dziennikarstwa – piękno formy”⁶.

Mateusz Pojnar, dziennikarz „Tygodnika Krąg”, współpracownik zielonogórskiej „Wyborczej”, a także absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim, opublikował w „Tygodniku Powszechnym” reportaż pt. *Odra piękna i groźna*. Kontynuując temat, napisał książkę *Rzeka ma zawsze rację. Nowa Sól i powódź 1997*.

Książka liczy 268 stron, została wydana przez PPH Rol-Pex Michał Samotyja w Nowej Soli w 2022 roku. Redakcją i korektą tekstu zajął się sam autor, natomiast składem, opracowaniem graficznym i projektem okładki – Joanna Dysiewicz. Wybór ten był być może poprzedzony środkami finansowymi, jednak nie do końca trafiony. Osoba pisząca tekst nie zawsze zauważył wszystkie swoje błędy. Tym bardziej, jeśli nie uważa czegoś za błąd. Lepszym rozwiązaniem byłoby zatrudnienie profesjonalnego redaktora, ponieważ w wydanym egzemplarzu zdarzają się błędy interpunkcyjne oraz powtórzenia. Opracowanie graficzne i okładka także nie przyciągną wymagających czytelników, jednak jak na wydanie książki w nierekomowanym wydawnictwie – jest dobrze.

Tematyka publikacji jest niezwykle interesująca, a opisanie jej w formie reportażu okazało się do-

brym rozwiązaniem. Mateusz Pojnar odwiedza różnych mieszkańców Nowej Soli, którzy w 1997 roku bronili się przed śmiercionośnym żywiołem. Rozmawia z nimi o ich wspomnieniach, strachu, jaki czuli w obawie przed utraceniem całego dorobku życia, dyskomforcie związanym z przymusowym mieszkaniem w innym miejscu i zapachu, który roznosił się wszędzie, a był nie do zniesienia.

Język książki jest przejrzysty, niekiedy kolokwialny. Na próżno szukać w nim literackości czy naukowego patosu. Autor przytacza wypowiedzi w prawie niezmienionej wersji, by zachować autentyczność odbioru oraz buduje często krótkie zdania nadające dynamiki tekstowi. Można powiedzieć, że mu się to udało, jednak może reportaż byłby jeszcze czytelniejszy, gdyby o język zadbać z poetyckiej strony.

Mimo to *Rzekę* czyta się lekko, szybko i z wielkim zainteresowaniem. Mateusz Pojnar zadbał o to, by czytelnik mógł wczuć się w przedstawiane w reportażu wydarzenia i ze zniecierpliwieniem oczekiwał, co wydarzy się w kolejnym rozdziale. Wymieniani bohaterowie nigdy nie pozostają bezimienni. Dziennikarz opisuje ich historię, wprowadza odbiorcę w ich życie i pozwala przeżyć wraz z nimi „powódź stulecia”.

Dobrym rozwiązaniem okazało się dodanie do publikacji rozdziału opisującego historię dzieci borykających się z niezrozumiałym losem powodzian. Autor przedstawia w nim wspomnienia mieszkańców, którzy w 1997 roku mieli zaledwie kilka lat: „Anna Chyła: Miałam parę lat więcej niż ty, ale czas powodzi pamiętam głównie z perspektywy dziecka z osiedla i czekania na kolejny dzień. Pamiętam wojsko zbierające piasek z piaskownic na wały, ludzi, którzy mieszkali w przedszkolu, punkt PCK i worek ubrań, który stał przy moim łóżku. Na wszelki wypadek, gdyby poszła cofka do rzeczki”⁷.

Przekrój wiekowy rozmówców jest niezwykle szeroki. Nowosolanin chciał ukazać nie tylko różne sposoby radzenia sobie ze śmiercionośnym żywiołem, ale także wiek, który nie był w tej sytuacji bez znaczenia. W książce można przeczytać zarówno

⁵ L. Cieślík, *Uwagi o reportażu*, „Biuletyn Naukowy Zakładu Badań Prasoznawczych”, nr 2/18, 1958, s. 4.

⁶ K. Kąkolewski, *Reportaż*, [w:] *Słownik literatury polskiej XX wieku*, Wrocław 1993, s. 932.

⁷ M. Pojnar, *Rzeka ma zawsze rację. Nowa Sól i powódź 1997*, Nowa Sól 2022, s. 16.

no o historii dzieci, jak i osób starszych niepozostawionych samych sobie. Dzięki tej konfrontacji czytelnik ma możliwość postawić się w sytuacji bohaterów, zjednoczyć się z ich wyborami i wystawionym na próbę losem.

Dedykacja tematyki książki i rozdziału konkretnym osobom jest wartościowym zabiegiem. Przykładem jest fragment poświęcony śp. Andrzejowi Balinowskiemu (regionalnemu społecznikowi) w rozdziale *Sadyba*, który opisuje historię jego działalności podczas wielkiej wody. Na uwagę zasługują także tytuły rozdziałów, które (np. *Dżuma*) bywają metaforyczne – po prostu ciekawe.

Reportaż *Rzeka ma zawsze rację* zdobi ponad 100 barwnych fotografii, wizualizujących czytelnikowi życie podczas powodzi. Można zajrzeć do nich, zobrazować sytuacje wspomniane w książce i rozpoznać ludzi, mających znaczący wkład w ratowanie zalanych terenów. To właśnie ci ostatni przywołują prywatne chwile, którymi nie boją się dzielić z innymi. Opisują traumatyczne wydarzenia, gdy stan wody podnosił się z godziny na godzinę, ale także te zabawne, gdy kilku mężczyzn musiało zjeść na raz całą lodówkę lodów, ponieważ odłączono prąd.

Takie sytuacje pokazują, że choć powódź niesie ze sobą straty materialne – gdyż wielu z nich straciło dorobek życia – to pozwala na wielkie umocnienie więzi międzyludzkich. Bohaterowie często wspominają, że żywioł pomógł im zjednoczyć się i dbać nawzajem o siebie. Gdy jedna osoba goto-

wała zupeł, zwoływała sąsiadów, by zjedli wspólnie posiłek, inna jechała do miasta po chleb, przywoziła kilka bochenków więcej, by na pewno nikomu nie zabrakło.

Pisząc książkę o powodzi 1997 roku, Mateusz Pojnar zmierzył się z nie lada wyzwaniem. Tematyka, choć bardzo interesująca, jest niezwykle trudna. Powstało na ten temat już wiele artykułów, książek i filmów. Jak więc stworzyć coś, co przykuje uwagę odbiorców? Na szczęście nowosolskiemu dziennikarzowi udało się to bez wątpienia. Pomimo drobnych uwag dotyczących języka czy jakości wydania, *Rzeka ma zawsze rację* jest zdumiewająco interesującym tekstem. Czyta się go płynnie, a czynność ta nie męczy. Zauważyć można, że kompozycja dzieła jest przemyślana i nieprzypadkowa.

Tekst warty uwagi. Tematyka również. Każdy, kto nie słyszał o powodzi stulecia, powinien przeczytać ten reportaż. Zbudowany na faktach, niekoloryzowany – a jednak z kolorowymi zdjęciami. Autor tak puentuje swój tekst: „Gdy siadałem do pisania, chciałem uzupełnić o ważny element opowieści o powodzi z 1997 roku. Bo w ciągu dwudziestu pięciu lat zdominował ją dramat Kłodzka, Opola czy Wrocławia, a to Nowa Sól jest dumna, że jako pierwsza z większych miast wygrała z wielką wodą. Mam nadzieję, że mi się to udało”⁸.

Aleksandra Bedka

⁸ Tamże, s. 257.

Przemijanie

Paulina Korzeniewska, *Mniej*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022, 44 s.

Tomik *Mniej* autorstwa Pauliny Korzeniewskiej ukazał się nakładem Wydawnictwa Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu i jest czwartym zbiorem wydanym przez kilkakrotnie nagradzaną zielonogórską poetkę. Składa się z dwudziestu sześciu wierszy, podzielonych tematycznie na trzy części – liczących po dziewięć tekstów w pierwszej i ostatniej, a także osiem w środkowej.

Nie jest to więc pozycja obszerna gabarytowo (gdyż w całości liczy raptem czterdzieści stron), jednakże to nie ilość – a jakość – jest w niej kluczowa.

Tematyka tomiku jest ściśle związana z przemijalnością i jej aspektami, mniej lub bardziej wpływającymi na codzienność osoby wypowiadającej się w wierszach. Ukazują pozorną stabilność, umożliwiającą codzienne funkcjonowanie, pomimo ciężaru

wspomnień i stają się jasnym pretekstem do nawiązania z czytelnikiem dyskusji o istocie statusu quo. Autorka przedstawia między innymi sytuacje, w których kłujące poczucie pustki przypomina o sobie aż nazbyt często, co widać chociażby w tekście *Dla tych pamiętanych aż za dobrze* („a więc tak czuje się / upstrzona otarciami i bliznami / ręka / posypana solą”). Zaś w wierszu *W głowie się nie mieści* poruszane jest zagadnienie znieczulicy wobec dziejących się w świecie okrucieństw („czy czytelnik myśli o tym / że czyta / bo żyje / a tak wielu już nie?”) – a to wręcz Cogitowskie (zob. *Pan Cogito czyta gazetę*) podejście zmusza do refleksji nad tym, na jak niewiele spraw my, *mali szarzy ludzie*, tak naprawdę mamy wpływ.

Nie brak również nawiązywania do przeszłości, będącego zachętą do spojrzenia na miniony okres życia z pewnym dystansem, nabieranym przez każdego z nas do otaczającego świata oraz nie zawsze łatwej codzienności. Bo w *tamtych czasach* wiele spraw zdawało się zbyt błahych, by zwracać na nie uwagę i dopiero przeżyte lata pozwoliły w pełni do nich dojrzeć („czy moja mama zaczęła starzeć się tej nocy / czy to stało się nagle na krześle w poczekalni / gdy zobaczyłam że łaknie powietrza / jak ja łaknę żeby została”). W wierszach pojawia się także konfrontacja z nudną współczesnością i nieprzyjemnymi aspektami dorosłości: tak jak chociażby w przypadku tekstu *Przyjaciółko 2.0* („pościnałyśmy warokoczyki / nie było innej rady / bliżej nam już do łysienia plackowatego”).

Język autorki jest lapidarny, prawie że pozbawiony skrajnej emocjonalności, jakiej można by spodziewać się po tekstach poruszających tego typu tematykę. Jednocześnie nie jest to tomik przygnębiający;



w *Mniej* nie brakuje ironii i zabawy słowem, toteż całokształt wydaje się czytelnikowi nader bliski, dzięki wykorzystywaniu określeń pochodzących ze slangu, a także popkultury. Bowiem „to książka o miłości / spóźnionej albo pokracznej / ale miłości”, jak głosi autorka w ostatnim, dwudziestym szóstym wierszu (o jakże pasującym tytule 26). Wydźwięk tomu jest więc pocieszający, gdyż nawet w beczynnej apatii monotonnej codzienności odnajdzie się miejsce na moment czułej refleksji.

Gabriela Matkowska

Kobieca (powojenna) Polska

Barbara Wysoczańska, *Siła kobiet*, Filia, Poznań 2022, 528 s.

W księgarniach nie brakuje ciekawych powieści obyczajowych, szczególnie tych, w których pierwsze skrzypce gra wątek miłosny. Miłość – dojrzała, od pierwszego wejrzenia, wyczekiwana, utęskniona

– czytelniczki i czytelnicy mogą ją znaleźć w każdej postaci. Jednak książka Barbary Wysoczańskiej *Siła kobiet* to wyjątkowa pozycja na półce. Autorka ukazuje w przepiękny, choć i bolesny, sposób odra-

dzającą się po wojnie Polskę, a wraz z nią odradzające się kobiety.

Po świetnym debiucie książki pt. *Narieczona nazisty* zielonogórska pisarka wydała drugą powieść obyczajowo-historyczną. Tym razem zapoznajemy się z losami trzech kobiet, które niespodziewanie stają się sobie niezwykle bliskie.

Na początku autorka przedstawia nam Rosalie – Francuzkę z polskimi korzeniami, która kocha poznawać i tworzyć nowe zapachy. Dziewczyna ma niedługo poznać swojego narzeczonego – polskiego, poważanego polityka odbudowującego swój kraj po wojnie. Razem z mężczyzną już Rozalia (a nie Rosalie) przenosi się do Polski, gdzie całe dni spędza z teściową Leokadią i szwagierką Adą w Kargominie, tęskniąc nieprzerwanie za Francją, w której spędziła całe swoje dzieciństwo i młodość. Jedno wydarzenie całkowicie zmienia życie młodej kobiety. Odtąd może zacząć decydować o sobie. Korzystając z każdej okazji, odkrywa na nowo daw-

ną siebie oraz poznaje losy wcale nie tak obcych jej kobiet. „Ze zdumieniem odkryła, że im bliżej żyła kobiet i im więcej z nimi rozmawiała i poznawała osobiste historie, tym bardziej uświadamiała sobie, że nie tylko ona do niedawna żyła w piekle”.

W kolejnych wątkach dowiadujemy się, kim jest tajemnicza Zuzanna i jej córka Lili oraz w jakich okolicznościach te dwie spotkają się z Rozalią. Ważną postacią jest także szwagierka – Ada Lubowidzka – marząca o edukacji, pełna ambicji dziewczyna. Kolejną silną kobietą walczącą o swoje jest ciotka bohaterki – Klara Tyszkowska. Jak się okazuje, wszystkie mają podobne cele oraz doświadczenia i taką samą wizję przyszłej Polski. Polski przyjaznej kobietom. Polski, w której panuje równość społeczna. Polski, w której będą mogły spełniać marzenia.

Choć jest to powieść o kobiecej sile, jak wskazuje na to sam tytuł, nie brakuje w niej mężczyzn. Łącznikiem pomiędzy kolejnymi historiami jest już wcześniej wspomniany Ignacy Lubowidzki. Nie jest on jednak jedyny – chcąc nie chcąc w życie bohaterki zamieszany jest także brat Ady i szwagier Rozalii – Gustaw. Pojawiający się panowie są przykładami mężczyzn obecnych w odradzającej się Polsce. Każdy z nich ma inne poglądy, inne spojrzenie na życie i inne podejście do kobiet.

Wielowątkowość powieści sprawia, że w kolejnych rozdziałach dowiadujemy się nie tylko tego, w jaki sposób powiązani są ze sobą wszyscy jej bohaterowie, ale także po kolei rozwiązujemy z nimi zagadkę głośnego zabójstwa. Wysoczańska płynnie rozwija akcję, nie nudząc czytelnika. Wręcz przeciwnie, czytając, nie potrafiłam oderwać się od lektury, ponieważ chciałam odkryć kolejne karty tej zawiłej układanki. Przez całą opowieść towarzyszą nam także różne zapachy – dzięki dokładnym opisom odbiorca jest w stanie je przywołać. Możemy poczuć się jak Rozalia tworząca swój zapach miłości. „Malina, różowy pieprz, liście fiołka i róża – głęboka, intensywna i jednocześnie subtelna jak tajemnica. Jak kobieta. La Rose”.

Książka ma również kontekst historyczny. W powieści pojawiają się więc takie nazwiska, jak Paderewski, Piłsudski, Haller. Ilość tego rodzaju wątków i postaci nie jest jednak obfita, dzięki czemu czytając,



nie czujemy się jak na lekcji z dwudziestolecia międzywojennego, a otrzymujemy możliwość przyjrzenia się bliżej nastrojom panującym w Polsce z tamtego okresu. Autorka doskonale wykorzystuje swoją historyczną wiedzę, aby między kolejne przygody bohaterów wpleść kilka ciekawostek z tego okresu – co słusznie zauważyli i docenili krytycy literatury. Kobiety po zakończeniu wojny nie miały lekkiego życia. Wbrew sobie musiały podporządkować się mężczyznom i nie mogły wyrażać własnego zdania, pracować czy studiować. Wysoczańska pięknymi opisami przenosi nas o te sto lat do przeszłości. Czytelnik ma jednak pewne pole na własną interpretację zdarzeń – czy to, co obecnie dzieje się w Polsce, nie przypomina nam tamtego okresu w dziejach Polski?

W obliczu tragedii, która spotkała wszystkie trzy kobiety z powieści Wysoczańskiej, ważna staje się miłość. Nie taka z bajki, którą możemy zobaczyć w filmach. Miłość do samej siebie, miłość do dziecka. Miłość do mężczyzny także jest obecna. To miłość zakazana, do której bohaterki nie chcą lub nie mogą się przyznać. Przez to stają się nam bliższe, bo przecież życie nie jest usłane różami. Musimy zmagać się z problemami tak samo, jak Rozalia, Zuzanna i Ada. Takie podejście do miłości, które przedstawiła autorka, jest niebanalne i intrygujące. „Otuliła się miękkim ręcznikiem i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej skóra była zaróżowiona od gorącej wody i jeszcze lekko wilgotna. Jasne włosy skręcały się w drobne fale, a oczy błyszczały gorączkowo. Próbowała odchylić rąbek ręcznika i popatrzeć w lustrze na swoje nagie ciało, ale wstydziła się”.

Powieść przede wszystkim zajmuje się jednak losami kobiet. To one są w niej najważniejsze. One

i ich plany, marzenia, cele, uczucia. Poznajemy pionierki walczące o prawa wyborcze dla Polek, redaktorki kobiecej prasy, która nie zawierała wyłącznie artykułów powiązanych z modą, a na przykład porady prawne. Jak już wspomniałam, kobiety musiały walczyć o własne prawa, mimo że miały je zapisane na papierze. Nikt nie przejmował się ich opiniami i uczuciami. Podczas lektury mimowolnie pomyślałam o innym zielonogórskim dziele – spektaklu Lubuskiego Teatru pt. *Stworzenia sceniczne* w reżyserii Roberta Czechowskiego. W tej sztuce również głównymi (jedyne zresztą) postaciami były kobiety – walczące o prawo godnej pracy w teatrze. Akcja działa się we Francji, więc i ten aspekt łączy oba dzieła.

Kończąc czytać, nie mogłam powstrzymać lekkiego zawiedzenia. Co prawda każdy z wątków został zakończony, ale w dość prosty i niezaskakujący sposób. Postaciom na ostatnich stronach tej historii można byłoby poświęcić jednak trochę więcej czasu – szczególnie głównej bohaterce Rozalii. Wprawdzie jej wątek został zwieńczony w epilogu, ale mimo wszystko pozostawiał niedosyt.

Siła kobiet to książka, z którą można spędzić miło wieczór. Czyta się ją przyjemnie i z wyczekiwaniem przewraca się kolejne strony. Powinna to być obowiązkowa pozycja dla wszystkich kobiet, ponieważ każda z nas musi mierzyć się w mniejszym lub większym stopniu z dyskryminacją. Bohaterki powieści Wysoczańskiej są przykładem ogromnej siły i samozaparcia oraz są dowodem na to, że można sprzeciwić się mężczyźnie, a także całemu światu, walcząc o siebie i swoje marzenia.

Joanna Nawlicka

Przywoitym być, ale jeszcze nie dziś

Maurycy Dudek, *Przywoici ludzie*, Mamiko, Nowa Ruda 2022, 180 s.

Przywoity mamy dzisiaj świat. Niezbyt skomplikowany, wyposażony w instrukcje do wszystkiego i do wszystkich. Łatwy do szybkiej oceny i wyrobienia pierwszej „najważniejszej” opinii, która przesładuje nas często aż do końca. Dostosowujemy świat

do nas i nas do świata. Żyjemy wielkimi marzeniami i marzymy małym życiem. Może po prostu jesteśmy? Czy potrzeba nam czegoś więcej?

Maurycy Dudek to w rzeczywistości Monika Dziuba, która za pomocą męskiego pseudonimu

chciała odejść od stereotypizacji płci w świecie literatury, jaka nawet i dziś ma miejsce. Zafascynowana podróżami i Bliskim Wschodem, których nietuzinkowość ukazuje w swojej twórczości, już swoją debiutancką powieścią *Przyzwoici ludzie* zachwyciła nie tylko czytelników, ale i jury konkursu Lubuskiego Wawrzynu w roku 2023. Pierwsze miejsce w kategorii „Debiut Literacki” i nagroda Srebrne Sokole Pióro, bez wątpienia słusznie przyznane, świadczą o wysokiej klasie artystycznej rozrywki. Autorka publikowała już wcześniej na łamach portalu internetowego cybermedium.pl. (także pod pseudonimem Maurycy Dudek). Sporą część tego dorobku zajmują artykuły poświęcone polskim Tatarom i wielokulturowemu Podlasiu, gdzie z upodobaniem obserwuje przeplatanie się różnych religii i kultur.

Pierwszy i ostatni rozdział *Przyzwoitych ludzi* może wydawać się oderwany od reszty. Możemy zapomnieć o chronologii opowiadanych historii, która ukazuje się w początkowych rozdziałach, a z czasem zostaje spleciona z indywidualnymi wspomnieniami bohaterów drugoplanowych. Oddaje się im pałeczkę na krótką chwilę, aby wyostrzyć zarys ich sylwetek i zrozumieć, co motywuje ich zachowanie. Właściwą opowieść rozpoczynamy od niejako towarzyszenia *drugiej żonie* podczas podróży z Europy na Bliski Wschód do rodziny męża. Poznajemy jej myśli i obawy o brak akceptacji i różnice kulturowe. Wydaje się, że odeszły w niepamięć podczas kolacji powitalnej, gdy podawane są regionalne potrawy. *Druga żona* niewiele je, bo nie wzięto pod uwagę, iż nie je mięsa, lecz mimo to uśmiecha się i spełnia oczekiwania nowej rodziny. Nawiązuje pierwsze nici porozumienia, ale też czuje zazdrość do młodszej siostry męża, która jest rozpieszczona i na której wybryki każdy przymyka oko. Mąż jest zaborczy w stosunku do drugiej żony, wydaje się pobłażliwy dla młodszej siostry, która łamie odgórne zasady. Obsypuje ją prezentami, równocześnie przyjmując z dezaprobatą prośby żony. Jednak nie tylko jej doskwiera taka niesprawiedliwość. Za chwilę poznajemy wcześniejsze losy młodszej siostry, tej pozornie beztroskiej dziewczyny. Widzimy młodą niewiastę o zgrabnej figurze, gęstych włosach i wyjątkowej urodzie zakochanej w swym przyszłym mężu. Nie jest to jednak bajko-

wa miłość, gdyż oprócz zakochanych nikt nie podziela ich entuzjazmu. Bliscy młodszej siostry odradzają jej ślub z powodu złej reputacji rodziny jej ukochanego. Ostatecznie dochodzi do ślubu. Sielskość urywa się dość szybko i gwałtownie. Zapada decyzja o wyprowadzce i o rozwodzie. Nikt z rodziny jej nie współczuje. Po trudnych przejściach dziewczyna trafia do pracy, nabiera pewności siebie i odwagi do flirtowania z mężczyznami. Jednak nikt z jej rodziny nie spogląda na jej działania ze szczerą aprobatą.

Monika Dziuba zachwyca przyjemnym w odbiorze stylem pisania. Szczegółowo opisuje realia, pośród których rozgrywa się akcja wydarzeń, pozwala wręcz namacalnie poczuć upał, pył czy usłyszeć muchy latające wokół mięsa na targu. Opisuując zawilgości akcji, rezygnuje z oceniających komentarzy czy nawet klasyfikujących określeń. Zostawia odbiorcy możliwość osądu bohaterów.

Przyzwoici ludzie to książka niepodobna do żadnej, które czytałam w przeszłości. W książce brak imion, dat czy konkretnych lokalizacji. Wspaniałe opisy miejsc tworzą malowniczy obraz, który pa-



suje do szeroko rozumianego Bliskiego Wschodu. Architektura, barwy, jedzenie, ludzkie zachowania, ale i przyroda składają się na odmienne od naszej europejskiej codzienności tło. Poszczególne historie można czytać osobno, lecz tylko razem mogą ukazać głębszą całość. Ludzkie dylematy codzienności. Stawiane przez otoczenie, ale i przez samych bohaterów wyzwania. Trud czasów minionych, ale i obecnych. Głód, pieniądze, miłość szczęśliwa lub też nie. I dwa światy – europejski i arabski, które próbują się wzajemnie zharmonizować. Wszystkie historie łączy jedno, on – mąż. Choć sam nie jest jednym z głównych bohaterów/autorów przemysleń, bierze

w nich czynny udział. Książka jest nie tylko przedstawieniem zderzenia dwóch odmiennych kultur, ale i ukazania ludzkich rozterek, wyzwań dnia codziennego, marzeń czy chęci zaspokojenia pragnienia bycia kochanym, odnalezieniem upragnionego szczęścia oraz zderzenia z niekiedy bolesnymi realiami.

W mojej ocenie jest to pozycja warta uwagi. Czytajmy *Przyzwyczaj ludzi* tak, jak spoglądamy na naszą codzienność, pełną rozterek, marzeń i nie zawsze łatwych decyzji. Spoglądamy jak na nas samych, odzianych w naszą przyzwyczajoność. Na artystyczne lustro może nie aż tak odległej rzeczywistości.

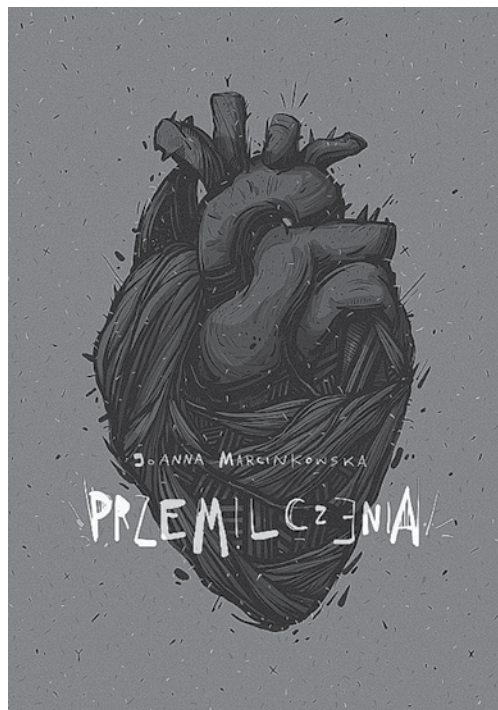
Anna Błaszczak

Życie stawia ultimatum

Joanna Marcinkowska, *Przemilczenia*, Wydawnictwo Ridero, [brak miejsca] 2023, 82 s.

W każdy wiersz, w poezję, wpisana jest zagadka bądź tajemnica. Poezja to nie jest przecież wyłożenie wszystkich spraw do końca przy pomocy słów i zdań. W gruncie rzeczy chodzi o język symboliczny, więc niedostównie informacyjny. Poezja jest szyfrem. I niedomówieniem. Gdy mamy do czynienia z poezją ukształtowaną i poniekąd dojrzałą, to jej sekrety, czyli cele i źródła, daje się odczytać skuteczniej i pełniej. Inaczej ma się rzecz z poetą kształtującym swój świat, dopiero jego meandry wyjawiającym. Dysponujemy wtedy tylko po części tym, co w jego duszy gra. Całość poetyckiego świata wstępuje się wyjawia. Tak właśnie ma się rzecz z wierszami Joanny Marcinkowskiej w zbiorze *Przemilczenia*, drugim w jej dorobku. Powiedziałbym, że cechuje go żywioł podmiotowych doznań, bowiem są to erotyki. Zarazem jest to poetyka dialogu, w nim się bowiem wszystko, co żywiołem nazywam, rozgrywa. I poza ten osobisty krąg tematyczny poetka raczej nie wychodzi. Mam wrażenie, że podmiot jest mocno uwikłany, zaangażowany w doznania płynące z relacji z drugą osobą. W wierszach mają miejsce nawroty, wręcz obsesyjnych sytuacji („rozległa samotność”) i przeżyć. Ich natarczywość i pragnienie odczuwania zmysłowego, koniecznego, wręcz zdumiewa. Nie są to jednak wiersze tklive ani fagodne, ale jest w nich

umiejscowiona wspólna dla dwojga rzeczywistość. Nie łatwa ani prosta do objęcia. I „słowa nie znaczą / ale to / co pomiędzy nami”. Są „wzruszenia”. Nie



znajdujemy zwrotów w stylu zwykłej fascynacji. Jest konieczność i żarliwość. Racje uczuć, które poetka przywołuje, rozgrywają się zdecydowanie, zarysowane ostrymi liniami. Można odnieść wrażenie, że dla sfery wspólnych spraw nie ma żadnej alternatywy. Nie ma innego świata, który mógłby się wydać równie ważny. Już pierwsze słowa pierwszego wiersza brzmią tak: „każdy wieczór i poranek / ulepiony z bólu serca / utkany z krwi”. Podmiot akcentuje swoją wyjątkowość. Musimy sobie wyobrazić skalę tego permanentnie trwającego stanu. Odległość pomiędzy ja i ty została w jej wierszach maksymalnie zminimalizowana. Nieobecność drugiej osoby rodzi krańcowy ból i zarazem skutkuje niemocą poje-dynczego istnienia podmiotu. Pojawiają się obrazy krwi, czyli cierpienia. Poetka napisała i ułożyła tomik z wyznań bardzo mocnych, ostrych i obsesyjnie powtarzających się, dopominających się o obecność bliskiej osoby. Jej podmiotową przestrzeń wypełnia dyskomfort niespełnienia. Nie znajdzie tu czytelnik uwznioślających porównań i adoracji, albowiem celem nie jest egzaltacja, lecz realność „ekstremalnego” bycia. To jest często mocno odczuwany brak. Poetka wtedy nie znajduje oparcia dla swoich emocji. Funkcjonuje w ciągłym kryzysowym napięciu, które potrafi przybierać również straceńczy wyraz. Pojawia się obraz „czarnych chmur”, którymi podmiot „pluje”. Obecności pośrednich stanów uczuciowych tu jest raczej niewiele. Ulgę może przynieść jedynie sen, sen „O spokojnej krainie / przez którą szłam bez lęku”. Takie jest przeżywanie poetyckiego podmiotu. Osobność bycia, nie we wspólnocie z kimś bliskim, unicestwia więc możliwość funkcjonowania. Wtedy nawet światło „oślepia”, a muzyka „ogłusza”.

Na normalną percepcję zwyczajnego świata pełnego różnorodnych tonacji raczej nie ma tu miejsca. Dlatego powiedziałbym, że jest to tomik dramatyczny. Nawet bardzo. Napisany jakby na jednej linii i w jednej tonacji. Istnienie podmiotu sprowadzone zostaje do obecności słowa i spojrzenia w oczy. Krańcowość uczuciowa przenika te wiersze. Nic tu nie może być umiarkowane, ale wręcz kategoryczne i ostatecznie straceńcze. Poniekąd chodzi o to, żeby „płakać tak / jak byś miał wypłakać życie”. Chodzi o to, by „mówić / aż zabraknie mi słów”. To natężenie i eskalacja cechuje szczególnie mocno część pierwszą zbioru Joanny Marcinkiewicz. Poniekąd wynika z sięgania do głębi swojego wnętrza i odczuwania każdego przeżycia jako niezwykle ważnego egzystencjalnie. Druga część zbioru tymi ostrymi napięciami nie jest już tak silnie naznaczona. Mamy raczej do czynienia z uwolnieniem. Zapewne jest to efekt złagodnienia stanów uczuciowych. Dyskurs liryczny przybiera postać uproszczonej deklaratywności, więc już mniej krańcowo ważnej. Miejscami nawet jest schematyczny. Poetka daje wyraz swoim poglądom anizeli wyrazistym nastrojom. Jeśli czytelnik może współczuć w pierwszej części poetyckiemu podmiotowi, to w drugiej będzie się zastanawiał nad trafnością poetyckich określeń i sprawnością warsztatową. Ten zbiorek stanowi dowód (nasuwa mi się taka refleksja), że waga opisywanych przeżyć dopiero wtedy uzyskuje swą literacką moc, gdy towarzyszy jej wysoki poziom sztuki literackiego. Jest tak, że „życie stawia ultimatum” artyście. Książka ładnie wydana, co jest też ważne.

Czesław Sobkowiak

KSIAŻKI NADESŁANE



Artur Andrus, *Przygody Duszka Lubuska*, Województwo Lubuskie – Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego, Zielona Góra 2023, 40 s.

Adam W. Bagiński, *Ku innej przestrzeni*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2023, 82 s.

Jarosław Barańczak, *bruzdy wyrte rydwanem*, mamiko, Nowa Ruda 2023, 40 s.

Maria Borcz, *W pułapce miejsca i czasu*, Wydawca Firma Reklamowa Graf Media, Zielona Góra 2023, 64 s.

Monika Brągiel, *Nie przegram, mając plan ucieczki*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2022, 38 s.

Bogdan Fedorowicz, *Do Księcia*, cz. 4 (*Homo gastronomicus*), [bez wydawcy] Sulechów 2023, 48 s.

Rafał Gawin, *Wiersze dla koleżanek*, Oficyna Wydawnicza Własny Sumpt, Justynów 2022, 92 s.

Marina Heilmeyer, Stefan Körner, Gert Streidt, *Grüne Paradiese. Historische Gärten in der Lausitz / Zielone raje. Zabytkowe ogrody na Łużycach*, fotografie Leo Seidel, Verlage GmbH & Co. KG, Berlin 2022, [231] s.

Joanna Marcinkowska, *Przemilczenia*, Wydawnictwo Ridero, [bez miejsca] 2023, 71 s.

Opowieści z Łódzki, na podstawie galarowych historii Andrzeja Deli bajkę spisała Marta Brych, [brak wydawcy], [brak miejsca i roku wydania], 48 s.

Wit Pietrzak, *Wyimki / przepływ*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2022, 52 s.

Piwnice winiarskie Zielonej Góry, pod red. Bartłomieja Gruszki i Szymona Płociennika, Fundacja Tłocznia, Zielona Góra 2022, [42] s.

Marta Ewa Romaneczko, *Zatrudnię barona naftowego*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2022, 86 s.

Anna Roszak, Małgorzata Szymczak, *60 lat tradycji. Zespół Szkół Technicznych im. Mikołaja Kopernika w Zielonej Górze (1962-2022)*, Wyd. ZST im. M. Kopernika w Zielonej Górze, Zielona Góra 2023, 96 s.

Andrea Rudorff, *Obozy Schlesiersee I i II – podobozu obozu koncentracyjnego Groß-Rosen*, Wyd. Deutsch-Polnische Gesellschaft Sachsen e. V., Dresden 2022, 56 s.

Daria Walusiak, *Dzwonek na przerwę*, [bez wydawcy], Zielona Góra 2022, 66 s.

[Wielu autorów], *W lustrze snów*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2022, 252 s.

Bartłomiej Zdunek, *Psykoty*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2022, 48 s.

A

AUTORZY NUMERU

Aleksandra Bedka

Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Zielonogórskim, studentka filologii polskiej (tamże) i przygotowania pedagogicznego w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Lublinie. Pracowała w tygodnikach „Niedziela” i „Gość Niedzielny”. Autorka artykułu naukowego zamieszczonego w „Pracach Aksjologicznych”.

Anna Błaszczak

Studentka trzeciego roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Współautorka *Piętnastu czarnych sukienek*, autorka eseju literackiego *O zawitościach natury ludzkiej*, felietonów oraz reportaży. Pisarka i marzycielka.

Anna Cicha

Urodziła się w 2006 roku w Zielonej Górze. Uczennica liceum. Jej pasją jest gra na gitarze, nauka języków obcych oraz pisanie. Chętnie czyta książki i artykuły historyczne, szczególnie te o życiu i kulturze w średniowieczu. Fascynują ją również kraje słowiańskie.

Barbara Czyżewska

Urodziła się w 2007 roku we Lwowie i tam chodziła do polskiej Szkoły Średniej im. Marii Magdaleny. Od dzieciństwa pisze wiersze i opowiadania, a także sama je ilustruje. Gra na pianinie (absolwentka szkoły muzycznej) i interesuje się aktorstwem. Publikacja w „Pro Libris” jest jej debiutem literackim.

Emilia Ćwik

Urodziła się w 2003 roku; absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego w Zielonej Górze. Jedną z redaktorek filozoficznego czasopisma „Décollage”. Jej utwór pojawił się w antologii Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. C. K. Norwida.

Natalia Dyjas-Szatkowska

Absolwentka filologii polskiej i teatrologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Kuratorka projektów, dziennikarka „Gazety Lubuskiej”. Obecnie spełnia się jako młodsza bibliotekarka w Mediatece Góra Mediów w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, ale także copywriterka i korektorka.

Ewa Franków

Pochodzi z Drezdenka. Polonistka, pedagog. Mieszka w Międzyrzeczu. Laureatka I i II Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Eryka Pietruszaka. Jej wiersze znajdują się w antologii pokonkursowej *Ścieżką obok drogi* oraz pojedyncze w „Aspektach” i „Kurierze Międzyrzeczkim”.

Liwia Galek

Trzynastoletnia uczennica szkoły podstawowej, laureatka konkursu poetyckiego zatytułowanego „Zielona Góra to ja”.

Rafał Gawin

Urodził się w 1984 roku. Poeta, okazjonalnie krytyk, korektor, konferansjer i animator kultury. Wydał kilka książek z wierszami, ostatnio *Jem mięso* (Convivo, 2019) i *Wiersze dla koleżanek* (Własny Sumpt, 2022) oraz zredagował *Próby negocjacji. Szkice o laureatach konkursu im. Jacka Biereżina* (SPP Oddział w Łodzi, 2022). Prowadzi *Wiersz wolny* w „Liberté!” i warsztaty literackie w Domu Literatury w Łodzi, gdzie pracuje jako instruktor. Mieszka w Łodzi.

Weronika Gryglewska

Studentka pierwszego roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pochodzi z małej miejscowości w okolicach Trójmiasta. Jej zainteresowania wiążą się głównie ze słowem pisanym i muzyką. Jej pasje narodziły się w rodzinnym domu, gdzie wieczory spędzała, słuchając głosu matki czytającej Mickiewiczowskie dzieła, głównie *Ballady i romanse*, które najbardziej zapadły jej w pamięć. Jej największym marzeniem jest trafienie do większej liczby odbiorców poprzez pisanie.

Dorota Grzesiak

Urodziła się w 1987 roku w Nowej Soli. Laureatka konkursów literackich. Opublikowała trzy książki poetyckie oraz zbiór baśni prozą.

Piotr Gulewski

Absolwent filologii angielskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego; aspirujący pisarz z Sulechowa.

Julia Gwóźdź

Rocznik 2001, studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej ze specjalizacją pisanie kreatywne na Uniwersytecie Zielonogórskim. Od najmłodszych lat interesuje się różnorodną formą sztuki. Wiersze pisze od czasów gimnazjalnych, niektóre ukazały się w uczniowskich tomikach poezji. Marzy o wydaniu zbioru opowiadań oraz tomiku poezji. Jej największą inspiracją jest Edgar Allan Poe i to jego twórczości zawdzięcza miłość zarówno do poezji, jak i pisania.

Natalia Haczek

Urodziła się w 1996 roku. Poetka, czasem również prozaiczka. W 2021 roku debiutowała tomikiem *głód*, za który została nagrodzona w ramach Lubuskich Wawrzynów 2021 (kategoria debiuty). Jej utwory znalazły się na łamach „Helikoptera”, „Pro Libris”, „Pasji Literackich”, „eleWatora”.

Michał Kaczmarek

Urodził się w 1986 roku w Głogowie. Z wykształcenia nauczyciel języka angielskiego. Publikował drukiem i w internecie, m.in.: „Protokół Kulturalny”, „Migotania”, „Gazeta Kulturalna”, „Akant”, „Afront”, „Ypsilon”, „Pisarze.pl”, „Helikopter”, „Tlen Literacki”, „ArtPapier”, „Szpol”, „Wytrych”, „Wobec”, „Wydawnictwo J”. Obecny również w radiu („Poczta Poetycka Polskiego Radia Koszalin”).

Bartosz Konopnicki

Urodził się w 1984 roku w Nowej Soli. Absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego. Od października 2022 współredaktor bloga poetyckiego „Poezja na każdy dzień”. Publikował m.in. w „Akancie”, „Helikopterze”,

„Poezji na każdy dzień”, „sZAFie”, „Bezkrésie”, „Post Scriptum”, a także na stronie internetowej „Wydawnictwa J”. Prowadzi autorski fanpage na Facebooku. Dotychczas wydał cztery tomiki poetyckie: *Rozszczelnienie* (2013), *Skrawki* (2015), *Wagony do ciszy* (2019) i najnowszy *Jak te manekiny* (2022). W wolnej chwili fotografuje i jeździ rowerem. Mieszka w Krakowie.

Julia Kruszakin

Absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Szafera w Gorzowie Wielkopolskim. Jej pasją jest literatura, zwłaszcza poezja. Swoje zainteresowania czytelnicze koncentruje przede wszystkim wokół poetów, których charakteryzuje eksperymentalne podejście do języka (Cyprian Kamil Norwid, Edgar Allan Poe, Bolesław Leśmian). Laureatka (z pierwszą lokatą) 53. Olimpiady Literatury i Języka Polskiego.

Joanna Kuczak

Urodziła się w 1999 roku w Zielonej Górze i od dziecka jest związana z tym miastem. Studentka filologii angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Mieszkając przez pół roku w Rzymie, zakochała się w kulturze i języku włoskim. Interesuje się fantastyką, zwłaszcza kreacją światów i postaci, muzyką oraz italianistyką. W wolnym czasie śpiewa w chórze, gra na pianinie oraz pisze.

Weronika Lenart

Studentka pierwszego roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Absolwentka Państwowej Szkoły Muzycznej w Zielonej Górze. Pasjonatka muzyki, która inspiruje ją także literacko. Tworzy swoje prace poprzez wyobrażenie, jakie przekazuje muzyka. Uwielbia przelewać uczucia na papier, tak aby odbiorca potrafił wczuć się w motywy bohaterów, przy tym celowo pozostawiając uczucie lekkiego niedosytu, wzbudzając tym ciekawość.

Marcin Lenartowicz

Rocznik '87. Mieszkaniec Janikowa, w województwie mazowieckim. Z wykształcenia dziennikarz, choć niepraktykujący. Publikował w wielu pismach, zarówno internetowych, jak i tych w wersji papierowej, m.in. w „Projektorze”, „Akancie”, „Ypsilonie”, „Akcencie”, „Niecodzienniku Towarzyskim”. Przez dłuższy czas redagował legendarny portal literacki „Herbatka u Heleny”.

Adrian Lokś

Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego (publikowanie cyfrowe i sieciowe). Z wykształcenia technik informatyk. Fan różnych form sztuki, literatury, historii i sportu. Próbuje sił jako poeta i prozaik.

Szczepan Macholak

Urodził się w 2003 roku w Zielonej Górze. Absolwent liceum. Pisze i rysuje. Publikacja w „Pro Libris” to jego debiut literacki.

Joanna Marcinkowska

Rocznik 1988; urodziła się w Jeleniej Górze, poetka, teatrolożka, autorka tomików *Czarne motyle* (2021) i *Przemilczenia* (2023). Jej wiersze znalazły się w kilku antologiach poezji. Pracuje w Lubuskim Teatrze. Lubi fotografować.

Gabriela Matkowska

Studentka filologii polskiej oraz prawa na Uniwersytecie Zielonogórskim. Interesuje się literaturą, a także szeroko pojętą kulturą popularną. W wolnych chwilach czyta książki (głównie literaturę piękną), ogląda filmy i tworzy własne teksty.

Marcin Mielcarek

Urodzony w 1996 roku w Kaliszu, od kilku lat mieszka w Zielonej Górze. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Debiutował opowiadaniem *Wszystkie nasze Boginie-Matki* w czasopiśmie literackim „Twórczość” (nr 5/2020). Od tamtego czasu publikowany w wielu poważnych ogólnopolskich czasopismach. Autor zbioru opowiadań pod tytułem *Parada myśli nocnych. Sztuka latania*, która ukazała się w 2022 roku w Wydawnictwie Anagram, jest jego debiutem powieściowym. Laureat 8. Konkursu literackiego o tematyce zielonogórskiej – pierwsze miejsce za opowiadanie *Koty nie piją whisky*. Prowadzi bloga, na którym zamieszcza swoje teksty poświęcone szarej egzystencji człowieka. Literacko – brudny realista.

Patrycja Mierzejewska

Prozaiczka i poetka, publikowała w magazynach literackich, takich jak „Strona Czynna” czy „Szpol”. Uczestniczka Pracowni Otwartych Prozą 2021 oraz Pracowni Otwartych Wierszem 2022 w Biurze Literackim. Zdobywczyni wyróżnień w konkursach: I Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Wandy Dobaczewskiej *Na chwytę słońca* oraz Ogólnopolskim Konkursie Literackim *W leśnej głuszy wśród fabrycznego dymu*. W tym roku została finalistką *Połowu* Biura Literackiego, w ramach którego pracuje nad pierwszą powieścią. Czas najchętniej spędza w lubuskich lasach, gdzie podgląda dzikie zwierzęta.

Małgorzata Mikołajczak

Prof. zw. dr hab., kierownik Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego i kierownik studiów doktoranckich w dyscyplinie literaturoznawstwo, członkini Komitetu Nauk o Literaturze PAN i Rady Uczelni Uniwersytetu Zielonogórskiego, autorka monografii poświęconych poezji Urszuli Koziół i Zbigniewa Herberta, redaktor naukowy serii „Nowy regionalizm w badaniach literackich”. Zajmuje się teorią literatury, literaturą współczesną i regionalizmem w badaniach literackich.

Joanna Nawlicka

Studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Dziennikarka radiowa w Akademickim Radiu Index, która na co dzień zajmuje się newsami publikowanymi na portalu wzielonej.pl. Od kilku miesięcy recenzentka na portalu dziennikteatralny.pl – skupia się głównie na spektaklach Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze. Na swoim koncie ma także kilka prac naukowych, które zostały opublikowane w „Pracach Aksjologicznych” wydawanych przez Oficynę Wydawniczą UZ.

Weronika Nawrocka

Studiuje filologię polską oraz filologię angielską na Uniwersytecie Zielonogórskim. Prowadzi konto na Instagramie, gdzie publikuje swoje recenzje książek (@weronika_nawrocka). Jest miłośniczką starego rocka oraz szeroko pojętej literatury pięknej i klasycznej.

Karolina Paramonczyk

Członkini młodzieżowego jury 9. (12.) Festiwalu KOZZI. Uczennica trzeciej klasy humanistycznej V Liceum Ogólnokształcącego im. Krzysztofa Kieślowskiego w Zielonej Górze. Pasjonuje się kinem i teatrem. Należy do amatorskiego, młodzieżowego teatru Kwasy Chlebowe (Chlebojady i Grymasy).

Anna Polak

Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii łożyc wschodnich Dolnych i Górnych; naukowo interesuje się szczególnie kwestiami dotyczącymi społeczeństwa, zabytków i kultury. Jest autorką i współautorką publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, przewodników turystycznych, a także artykułów prasowych. Brała udział w projektach międzynarodowych dotyczących m.in. województwa lubuskiego. Jednym

z bardziej znaczących przedsięwzięć był projekt „Dolne Łużyce i południowa część województwa lubuskiego. Krajobraz kulturowy w centrum Europy”, realizowany przez Uniwersytet Zielonogórski i Brandenburski Uniwersytet Techniczny w Cottbus, a wspierany ze środków Unii Europejskiej. Dwukrotna stypendystka programu Erasmus. Pasjonatka fotografii i zdrowego stylu życia. Jest autorką wystaw fotograficznych oraz zdjęć do wielu książek. Wielbicielek turystyki i zwierząt. Ostatnio pracowała jako adiunkt w Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego w Żarach.

Konrad Pruszyński

Urodził się w 1997 roku w Gorzowie Wielkopolskim. Magister antropologii kultury, dziennikarz, twórca Teatru Mostów, aktor, pisarz, dramaturg. Jego debiut *Jestem czysty* zrealizowano w Teatrze Mostów w ramach jubileuszu reżyserki Bogumiły Jędrzejczyk. Publikował na łamach „Pegaza Lubuskiego” (dramat *Brothers in Love* nr 4/2022) oraz magazynu „Teraz Rock”. Pracownik Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy, dla którego prowadzi Gazetę teatralną @kt. Regularnie współpracuje również z gorzowskim Teatrem im. Juliusza Osterwy, w którym organizował m.in. czytanie performatywne oraz prowadził spotkania z artystami w trakcie 21. edycji Gorzowskich Spotkań Teatralnych. Kontakt: konradpruszynskiofficial@gmail.com.

Robert Rudiak

Urodził się w 1966 roku, poeta, prozaik, literaturoznawca i prasoznawca, historyk literatury regionu, krytyk literacki, regionalista, polonista i bibliotekarz, doktor nauk humanistycznych. Autor kilkunastu zbiorów poezji i prozy, monografii naukowych i opracowań redakcyjnych oraz realizator wystaw i filmów dokumentalnych o twórcach lubuskiego środowiska literackiego. Prezes zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, wcześniej był prezesem stowarzyszenia kulturalnego „Debiut”. Laureat ogólnopolskich, międzynarodowych i regionalnych nagród literackich i kulturalnych w kraju i za granicą.

Paulina Sacharczuk

Zielonogórzanka, autorka tomu poezji *Kolor duszy*, jej wiersze ukazały się również w antologiach *Mosty* i *Primavera*, w internetowym dzienniku literackim Wydawnictwoj oraz w piśmie literacko-artystycznym „Bezkrę”. Absolwentka studiów azjatyckich na Uniwersytecie Jagiellońskim. Współautorka publikacji naukowych na temat bezpieczeństwa militarnego Azji Południowo-Wschodniej.

Iza Smolarek

Mieszka w Londynie. Jest pisarką, graficzką, dziennikarką. Jej ostatnia książka (*Obca*) była nominowana do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej oraz do Silesiusa. Jest stypendystką Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie literatury. Obecnie pracuje nad kolejną książką, która ukaże się w przyszłym roku pod egidą Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Łodzi (Dom Literatury).

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 roku w Jaromierzu koło Wolsztyna. Poeta, prozaik, krytyk literacki. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Współpracował m.in. z „Odrą”, „Nadodrzem”, „Gazetą Lubuską”, „Kroniką Ziemi Żarskiej”. Debiutował wierszem w „Nadodrze” w 1967 r. Autor ponad dwudziestu tomów poezji, kilku almanachów poetyckich. Laureat wielu prestiżowych nagród. Mieszka w Zawadzie (Zielona Góra).

Mirosława Szott

Urodziła się w 1987 roku w Międzyrzeczu, obecnie mieszka w Zielonej Górze. Doktor nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka, autorka tomików poetyckich (*pomiary Zamku*, *Anna*) oraz monografii

naukowej *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*. Członkini redakcji „Pro Libris”. Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w gremiach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie.

Zofia Ścigaj

Absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego im. Edwarda Dembowskiego w Zielonej Górze. Od kilku lat wokalistka, gitarzystka, autorka tekstów i kompozytorka. Razem z Mateuszem Kamińskim tworzy duet muzyczny Atawizm. Autorka kilku utworów scenicznych. Jeden z nich pt. *Oczyszczenie* zdobył trzecie miejsce na ogólnopolskim konkursie literackim „Tadeusz Różewicz inspiruje”, organizowanym przez pośła Tomasza Zimocha. Recenzentka stażystka na portalu dziennikteatralny.pl. Finalistka 52. i 53. Olimpiady Literatury i Języka Polskiego specjalizacji teatrologicznej oraz finalistka z wyróżnieniem 47. Olimpiady Artystycznej, sekcja: historia sztuki.

Daria Walusiak

Uczennica I Liceum Ogólnokształcącego im. Edwarda Dembowskiego w Zielonej Górze. Dwukrotnie otrzymała stypendium twórcze i artystyczne prezydenta miasta Zielona Góra (2022, 2023), a w 2022 roku zadebiutowała zbiorem opowiadań pt. *Dzwonek na przerwę*. Laureatka kilku ogólnopolskich konkursów literackich.

Mateusz Walusiak

Uczeń I Liceum Ogólnokształcącego im. Edwarda Dembowskiego w Zielonej Górze, wyróżniony lub nagrodzony w kilku ogólnopolskich konkursach literackich (m. in. dwukrotny laureat Lubuskiego Konkursu Literackiego i zdobywca drugiego miejsca w I Ogólnopolskim Konkursie Literacko-Plastycznym „Piszę, ilustruję, wydaję”). W 2023 roku otrzymał stypendium twórcze i artystyczne prezydenta miasta Zielona Góra.

Barbara Maria Wauben-Czekalska

Urodziła się w 1985 roku, lekarka, absolwentka Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu i Uniwersytetu Umeå w Szwecji. Pochodzi z Ostrowa koło Sulęcina, od jedenastu lat mieszka w Niderlandach. Pracuje jako lekarz rodzinny w ośrodku dla uchodźców w Eelde i gościnnie wykłada „Opiekę zdrowotną dla migrantów” na Uniwersytecie w Groningen. Mężatka, matka sześciolatniej córki Björk i dwumiesięcznej Dary.

Joanna Wawryk

Literaturoznawczyni, redaktorka, bibliotekoznawczyni, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Pasjonatka literatury dla dzieci i młodzieży oraz tekstów baśniowych. Od lat współpracuje z WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, głównie w zakresie działań wydawniczych realizowanych przez oficynę Pro Libris.

PUBLIKACJE Pro Libris







Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

03



9 771642 599108

PRO
LIBRIS